



NARCYZA ŻMICHOWSKA

---

## **Poganka**

NARCYZA ŻMICHOWSKA

# Poganka

POWIEŚĆ PRZY KOMINKOWYM OGNIU OPOWIADANA

## I.

Wyobraźcie sobie państwo zieloną *oasis* w pustyni Sahary, wyobraźcie w świecie dzisiejszym, w świecie złota, srebra, miedzi i gałganów na bankowe papiery przerobionych, rodzinę liczną, ubogą, a szczęśliwą — w tej rodzinie — lat temu dwadzieścia sześć, o godzinie pierwszej po północy, przy najpiękniejszym świetle księżyca, pełnią swoją rozświetlającą najpiękniejszą noc sierpniową, urodziło się dziecię płci męskiej, dziewiąte z kolei — a rzecz dziwna, rzecz nadzwyczajna, przyjęte taką radością, takim błogosławieństwem jak upragniony pierwszy potomek gasnącego już imienia, oczekiwany dziedzic wielkiego majątku — lecz nie — bluźnierstwem jest to porównanie — dziecię przyjęte taką miłością jak wszystkie dzieci w miłości zrodzone — tym dziecięciem ja byłem. — Nad przygotowaną dla mnie kolebką nie zaciężyła żadna skarga, ni to starszej siostry, że w domu nowy kłopot będzie i nowych trudów się przysporzy, ani dobiegającego swej młodzieńczości brata, że mu jedna ręka więcej do rozszarpania spodziewanej puścizny przybędzie, ani drobniejszego rodzeństwa, że się zaczną dla niego chwile przymusowej cichości — narzuconego rozsądku, uskąpionych<sup>1</sup> pieszczot — ani matki, że z danym życiem jej życia się ujmie, — że ją noce bezsenne, karmienie, prace hodowania czekają — ani ojca nawet, że ciężkie czasy, że wychować będzie trudno, że na obmyślenie zawodu, sił i sposobu już nie wystarczy — dziwna rzecz, stokroć dziwna, tego wszystkiego nie było.

Matka z siostrami ze starej bielizny poszyły pieluszki moje. — Jeden z braci na niespodziewankę<sup>2</sup> upłócił zupełnie nową kołyskę, a ojciec, kiedy mnie pocziwa babka na pokazanie w poduszce przyniosła, przeżegnał mnie krzyżem świętym. — „Oto człowiek świata się narodził” rzekł tylko i ze łzami w oczach i z uśmiechem na ustach poszedł co prędzej do żony swojej, pocałował ją w czoło, pocałował ją w rękę i nie odszedł, aż póki osłabiona, lecz ciągle niewymownej słodyczy jaśniejąca radością, z nowo narodzonym przy boku, nie zasnęła spokojnie.

I takie były moje narodziny. — Przez długi czas nie miałem imienia: zwano mię tylko maleńkim — synkiem — pieszczotką — a narady odbywały się długie, jak zwać miano na później, — Teresa, moja mała poprzedniczka w rodzeństwie, załatwiła wszelką wątpliwość; kiedy jej na starych obrazkach opowiadał jeden z braci historię synów Jakubowych, tak się rozmiłowała w małym Beniaminku, że gdy wieczorem wznowiono o wkrótce nastąpić mającym chrzcie moim rozmowę — dziewczynka siedząca w tej chwili nad kołyską, uroczyście wzniosła swój paluszek do góry i powiedziała stanowczym głosem:

— Ty, maleńki, będziesz Beniaminkiem.

Od tej chwili nadano mi imię Beniamina.

Pocziwa Teresa! zapomniano jej powiedzieć, że Beniamin pierwszą wolą matki swojej zwał się Benoni, a Benoni, to znaczy „syn boleści”, a matka moja, rodzeństwo moje pochwyliło wyraz dziecięcia, bo im do serca przypadła, a ojciec go zatwierdził, bo takie było miano jego wielkiego bohatera — jego ideału wśród sławnych mężów — Franklina. — Z tej czci dla Franklina możecie państwo odgadnąć cały charakter mego ojca, jeśli tylko trochę choć biegłymi jesteście w zauważaniu tych stosunków tajemnych, a zawsze

<sup>1</sup>uskąpiony — dziś raczej: poskąpiony. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>niespodziewanka — dziś: niespodzianka. [przypis edytorski]

logicznych, które upodobania i różne sympatie człowieka z treścią jego własnej natury łączą. — Co do mnie taki mam w tym względzie przynajmniej niechybny instynkt, że raz gdy w galerii Luwru widział pięknego młodego człowieka, jak się długo z najspokojniejszym obliczem zatrzymał przed Katonem Valasqueza, co sobie piersi tak krwawo, tak okropnie rozdziera — powiedziałem zaraz — to zły człowiek — i sprawdziły się słowa moje — ten człowiek był anatomem ludzkiego serca, spotkałem go później na salach sądowych ciekawym bardzo widzem, a w ostatniej chwili świadkiem przeciw obwinionemu — na moje sumienie wierząc, obwinionemu niewinnie. — Lecz wracając do osobistej biografii, już wiecie, pod jakim wpływem — w jaką atmosferę niejako dostałem się na tę ziemię — zstąpiwszy według dawnych — wstąpiwszy według nowszych — a odrodziwszy się według najpodobniejszych do prawdy mniemań. — Jak mnie tak długo usypiano, pieszczono, kołysano bez mojej wiedzy, jak ja rozwijałem się w tym ciepłe uczuć, w tej pogodzie szczęścia, — jak mi cała treść mojej istoty nasiąkała niejako tą pieśnią miłości różno i wszechstronnej — och! gdybym mógł pamiętać! — ale ja nic — nic nie pamiętam — a jednak to było już życie moje — to była już przyczyna jakaś późniejszych następstw, chwila rodzicielka wszystkich chwil, wszystkich lat moich. — Kiedy się pierwszy raz poczułem i obejrzałem na świecie, znalazłem już jej owoc w głębi ducha mego i stał mi się tym, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. — Każdy mnie kochał — ja się ocknąłem kochając każdego, ale to kochając tak niezbędną koniecznością organizmu, jak się oddycha, je — pije — przed kochaniem nie było dla mnie przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku — lecz nie dosyć na tym — ci wszyscy moi poza mną kochali jeszcze wszystko w różnych objawach — w różnych jej kształtach — a było coś pięknego, świętego w wyborze tych kształtów i tych objawów — każdy coś kochał na swoją własność szczególną — tyłkoż bierzcie to w dosłownym znaczeniu, kochał, nie lubił.

Moja najstarsza siostra Julcia kochała dumki ukraińskie — a mój brat Adam kochał niebieskie oczy córki bliskiego sąsiada — a mój brat Józef kochał ziemię, której uprawą się trudził, a moja siostra Ludwina kochała wodę bieżącą i kwiaty niezerwane — a mój brat Karol kochał psa, konia i strzelbę swoją dwururkę — a moja siostra Bronisia kochała gwiazdy i niebo — a mój brat Cyprian kochał obrazy — a moja siostra Terenia kochała powieści, a mój ojciec kochał książki, a moja matka kochała ludzi — i tak dla mnie pierwsze wrażenia z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Najdawniejszy obrazek, w którym Julcię pamiętam, to jakaś ławeczka drewniana pod otwartym oknem. Dzień był bardzo ciepły niby, ale taki pochmurny, jak gdyby kto ołowiu po niebie rozlał. — Julcia nad szyciem schylona śpiewała taką rzewną, takich przeciągłych, a coraz smętniejszych tonów piosnkę — że widać nie mogły się w ciężkim rozplynąć powietrzu, tylko mi wszystkie siedzącemu przy jej nogach o piersi się odbijały i zacząłem płakać. Julcia spojrzała na mnie — przez chwilę umilkła, lecz w tym milczeniu, mój płacz cichy zrazu wybuchnął prawdziwej boleści łkaniem, wtedy siostra przytuliła mi głowę do kolan swoich, upieściła gładzącą włosy ręką i znowu śpiewać zaczęła — a ja znowu zacząłem cichuteczko płakać i było mi z tymi łzami tak dobrze, tak miło, jak nigdy z podarowanym przez starą piastunkę ptaszkiem — wesołą makolągwą — co do mnie w klateczce, na każdy widok skrzydełkami trzepotała.

Adama pamiętam najpierw wchodzącego do pokoju z jakąś białą, biało ubraną dziewczynką. — Kto to jest? spytałem go. — To siostrzyczka wasza, odpowiedział z uśmiechem. — Nasza siostrzyczka Adasiu? powtórzyłem zdziwiony, a czemu ja jej nie znam — gdzie ona była? — Osiemnaście lat temu była w niebie jeszcze! — Gdy zaś z niedowierzaniem patrzyłem to na niego, to na nią; — w niebie, rzekł znowu — spojrzij tylko w oczy tej siostrzyczce, widzisz, jaki to szafir jasny i czysty, czyż w dzień najpogodniejszy niebo inne bywa? Spojrzałem, dziewczynka zarumieniła się i głośno rozśmiała, ja wykrzyknąłem z radością. — Ach prawda, takie same, Adasiu, jak oczy naszej siostrzyczki. — Nigdy nie mów naszej do mnie, Beniaminku — bo to twoja i wasza siostrzyczka, ale nie moja — pamiętaj, że nie moja. — To ty biedny Adasiu, że masz mniej od nas jedną siostrzyczkę. — Czy ja biedny? spytał brat, odwracając się do białej dziewczynki z uśmiechem, choć mu słowa na ustach drżały. — Dziewczynka owinęła się prawie jak kwiatek ślazowy koło ręki mego brata — głowę miała spuszczoną, a jednak bez namysłu, pewniejszym daleko niż głos pytającego głosem, odpowiedziała mu prędko. — Nie, ty nie biedny, ty bardzo bogaty Adamie. — Ja szczęśliwy przydał, jak gdzieś na dnie serca wymówionym sło-

wem i nie wiem czemu wziął mię na ręce, a uściśnął tak tkliwym, tak drżącym, gdy dziś o nim myślę, to mi wolno powiedzieć, tak namiętnym uściśkiem, że go nawet spytać zapomniałem o wytłumaczenie dla mnie zupełnie niezrozumiałych wyrazów. — Później — nawet niedługo — pojąłem całą świętość ich znaczenia. — W naszej rodzinie miłość nie była ani tajemnicą towarzystw salonowych przyzwoitości, ani zgorzeniem przed okiem dzieci bacznie ukrywanych. — U nas miłość, to szczęście życia, ta najpiękniejsza prawda Boża szła z podniesionym dumnie czołem — wśród spółczucia, wśród skromnego uszanowania i uznania serc życzliwie przyjaznych. — Raz kiedy po przeczytaniu przez Walerię poezji Bohdana, Adaś zbliżył się do niej i wzięwszy w obie ręce ową złotowłosą główkę, w same nieco otwarte usta pocałował, kiedy Walercia od czoła po ramiona tym całunkiem zakraśniała, kiedy mimowolnym rzutem przechyliła się ku siedzącej obok niej matce mojej i skryła się jak ptaszek w jej objęcia — toć ja dobrze dziś pamiętam jeszcze, nikt z nas się nie uśmiechnął nawet, nikt żartem chwili szczęścia kochankom nie rozstroił; Matka tylko Adasiowi znak dała, żeby się schylił ku niej, i trzymając ciągle Walerkę do łona przyciśniętą — na głowie schyłego tkliwy, jakby powierzony tylko, a święty jak błogosławieństwo z głębi własnej piersi wyciągnięty, złożyła pocałunek.

Józefa najstarszym przypomnieniem widzę wśród żniwiarzy na polu. — Śmieje się, snopki wiąże, na wyładowanych zbożem wozach z fernalami się ściga, a na jeden ładowany mnie winduje i ja siedzę przy nim jakoby na tronie, a on mi pokazuje ziemię, królestwo wszech ludzi, przeszłe państwo moje, które ja prawem natury odziedziczę, a w którym pracą rządzić będę — i nazywa mi wszystko ślicznymi słowy — żyto srebrem, pszenicę złotem — czerwieniejącą tatarkę purpurą; a ja mu wierzę, że to jest właściwie srebro, złoto, purpura — że innych nie ma w świecie. — Józio po drodze zrywa dla mnie ukoralone już gałęzie jarzębiny, którą na kilka staj rodzice wysadzili gościniec — ja sam trzymam pęki uzbieranych modraków — kąkoli — bratków — kłosów dojrzałych żyta — niedojrzałych owsa — i mieszam te białe i te zielone kity w różnych zastosowaniach — to między grona jarzębiny, to między modraków równianki — i czuję, że mam wszystko — że natura w korzyściach — w piękności swojej, natura cała — natura zawsze moją. Tylko sobie słowami tego nie mówię, ale uczuciem, czynem, chwilą w życiu mam. —

Ludwinę moją najmniej ładną, najcichszą, najtęskniejszą z całego rodzeństwa siostrę, pamiętam najdokładniej w obrazku, nad którym może najdłużej, może najpierwej główka moja rozmyślać zaczęła. — Przy końcu naszego sadu za rzędem wierzb bujnie rozrosłych, płynęła rzeczka maleńka — bezimienna, wąska, tak że się zdało przeskoczyć ją można, a żwirem drobnuteńkim na dnie wysypana, że tylko liczyć, tylko zbierać jego ziarna różnokolorowe — nad tą rzeczką usiadła sobie Ludwina tuż przy brzegu, przegięła się nieco i w wodzie do połowy odbiła się jej postać — a woda odbitą kołysała równie, ciągle, spokojnie jak do snu. — Zmęczony bieganiem przykleknąłem obok Ludwinki i zacząłem gałązką pluskać w srebrne kropelki.

— Nie budź mnie, Beniaminku — szepnęła tylko siostra — i to tak cichutkim głosem, że ledwo dosłyszeć mogłem.

— Czy ty śpisz Ludwinko? — spytałem.

— Śpię, śpię, braciszku — odpowiedziała jeszcze ciszej, ale ja patrzyłem w jej oczy i widziałem, że oczy choć ku wodzie spuszczone, niezamknięte, niezaspane były.

— Och! żartujesz — zawołałem z pustotą, i uderzyłem jeszcze mocniej, aż się cała nadbrzeżna woda zmąciła.

Ludwinka drgnęła, jak gdybym to ją był moją gałązką uderzył.

Obudziłeś mię — rzekła bardzo, bardzo smutnie — i ja zaraz poczułem, że coś złego, coś najgorszego zrobiłem, przykróść temu, co już cierpiał.

— Ale kiedyś ty nie spała — rzekłem na ostateczne usprawiedliwienie — tyś nie spała, Ludwinko — dodałem z prośbą. — Siostra nic mi nie odrzekła na to, tylko mię wzięła na ręce i pochyliwszy się wraz ze mną, na uspokojoną wodę lekko palcem wskazała. — Zobaczyłem siebie i Ludwinę. — Jak zwierciadło zabawiał mnie ten obrazek, lecz z wolna, im dłużej w niego patrzyłem, tym zupełnie ogarniała mię jakaś senność, a nie oczu, nie ciała, bo oczy miałem roztwarte, bo ciało silnie w jednymże utrzymaniu wygięciu — była to raczej senność mojego odbicia — jakiejś cząstki ze mnie, co na drobno łamaną falę rzeczki padła i w jej kryształach chwiała się jednostajnie bez przerwy

— bez zmiany. — Ale na błękitnym tle nieba, którego barwą rzeczka jakby własnym swoim kolorem płynęła, tuż nad naszymi głowami właśnie osunął się odłamek srebrnego obłoczku i przerwał jedność widzenia — zaraz pobiegły za nim oczy moje dziecinne — lecz obłoczek i na niebie, i w rzeczce gdzieś zginął.

— A gdzie on — gdzie on? Ludwiko?

Ludwika nie patrzyła za obłoczkiem, jednak widziała jego przejście i zrozumiała pytanie.

— Daleko — odpowiedziała mi tak jak pierwaj szepnięciem jedynie. — Gdzie to jest daleko, moja Ludwinko? — ja nie wiem gdzie to jest daleko. — Ludwika zamyśliła się czy nad sposobem wytłumaczenia, czy nad treścią wyrazu, nie wiem — po chwili wstrząsnęła główką — jakby resztę uspienia lub resztę wrażeń z czoła odpaść jej przez to miało i rzekła nieco wyraźniejszym, ale zawsze tak stłumionym jak przy zwierzeniu tajemnicy głosem.

— Pytasz mię gdzie to jest daleko Beniaminku? — oto patrz — chćiej gonić za tą wodą, co tak wolno płynie, nie dogonisz — nie dogonisz — woda ucieka do Sanu — San ucieka do szerokiej Wisły — a Wisła ucieka do głębokiego morza — a morze? ja ci nie powiem gdzie to jest. — Morze daleko. — A teraz tam na końcu tej łączki widzisz, jak niebo tuż do ziemi przytyka, idź po szafirowy kawałek tego nieba — idź przez łączkę — niebo będzie za polem — idź przez pole, niebo będzie za lasem — idź przez las — niebo będzie znów za łączką — znów za polem — lasem — rzeczka, a gdzie jest niebo. — Ja ci tego nie powiem. Niebo jest daleko — daleko. — A teraz przynieś tu klatkę z twoją makolągwą wyżywioną, wypieszczoną, przez całą zimę — teraz jest wiosna Beniaminku, kwiatki kwitną, drzewa się zielenieją, ptaszków mnóstwo śpiewa wszędzie. Otwórz klatkę braciszku — otwórz — zobaczysz, jak makolągwa, co cię kochała, co ci z dłoni ziarnka jada, z ustek wodę ocukrzoną piła, zobaczysz, jak makolągwa ku wiosnie, ku nowym kwiatom wyleci, a tobie będzie smutno za nią i spytasz może — Ludwinko, gdzie ptaszyna? — a ja ci tego nie powiem Beniaminku, bo ptaszyna daleko — och daleko! dalej niż woda rzeki, którą gonisz, dalej niż niebo, którego chcesz dostać, dalej niż nadzieja, dalej niż niepodobieństwo — dalej jest to braciszku, co nas w życiu opuszcza — co nas kochać przestaje. — I Ludwinka znów pochyliła się nad wodę rzeczki, tylko jej obrazek zadrzał trochę więcej niż przedtem i rozstał się pod dwoma kroplami, które nań spadły po chwili. — Obejrzałem się, twarz Ludwika była bardzo spokojna, ale długie, jasne rzęsy jej siwych oczu świeciły jeszcze czystą lezką ostatnią. — Na patrzącego niespokojnie Ludwinka wzniosła długie, smutne spojrzenie.

— Beniaminku — rzekła jednak dość wesołym głosem — po co pytać, gdzie to jest *daleko* — oto lepiej biegnij się bawić kwiatkami — kwiatki zawsze blisko — a najczęściej nisko rosną braciszku — i lekko zsunęła mię z kolan, lecz ja nie pobiegłem według jej rady, tylko sobie poszedłem brzeżkiem rzeczki i próbowałem, czy też ja się dostanę daleko — do morza albo do nieba. Szedłem, szedłem ciągle, za ogród — za pole — i domek nasz z oczu straciłem i gdy mię nóżki boleć zaczęły, gdym przed sobą zobaczył las ciemny, nieznany, a końca rzeki nie zobaczył — gdym ręką wyciągniętą iglastych krzaków jałowcu się dotknął, a nie dotknął ściany nieba — wtedy dopiero zrozumiałem, co to jest „daleko” — i zrozumiałem co to jest „kiedyś w przyszłości”.

Ja tam „kiedyś” dojdę, rzekłem sobie, kiedyś — jak starszym będę i wracałem uspokojony tym zamiarem i po drodze zbierałem kwiatki dla mojej siostry Ludwinki. — Uzbieranymi zniemacka zasypałem w tymże samym miejscu, tak samo nieruchomie nad wodą siedzącą.

Ludwinka zgromadziła je wszystkie, popatrzyła chwilę i zwracając się ku mnie:

— Szkoda — rzekła — szkoda tylu kwiatków Beniaminku. Potem wzięła, wybrała co świeższe, co trwalsze, co w ciepłe rąk moich nie zwiędły i każdy kwiatek kolejno i starannie w wilgotnym piasku nadbrzeża sadzić zaczęła, jak czasem dzieci w swoich sztucznych jednogodzinnych zasadzają ogródkach. — Pomagałem jej w tej pracy, odgadłem ja, dziecię, ją, marzycielkę kobietę — lub raczej nie odgadłem, uczułem tylko, co ona czuła i gdy wszystkie zasadziłyśmy, kwiateczki świeżością zajaśniały.

— Im tu będzie lepiej — odezwałem się swobodnie — lepiej niż tam na polu pod skwarem słońca, nawet dłużej będą żyły.

— Ale gdy wędnać przyjdzie, to smutniej zwiędną — odpowiedziała siostra, a ja nie pytałem o słów tych znaczenie — to były także słowa mojego instynktu.

Brata Karola nie przypominam sobie wyłącznym wspomnieniem w pierwszych chwilach mojego dzieciństwa, bo Karol z nas wszystkich najmniej w domu przesiadywał. Przy rozdziale ogólnej gospodarskiej pracy jemu się część leśna, bardziej domyślną należnością niż wyraźną ugoda dostała. — Może już dziewięć lat miałem, kiedy się pierwszy raz stanowczo osobną w moim życiu wyrył pamiątką. Zdaje mi się, że go dziś widzę jeszcze, rześki dwudziestoletni chłopak, opalony jak góral, ciemnowłosy, czarnooki, w zielonej bajowej burce. — Świsnął i na świnię poskoczył ku niemu wielki czarny brytan. — Karol go dla tej barwy przezwiał Molochem, lecz nieraz żał mu było, że tak najszlachetniejsze, najulubieńsze mu zwierzę, czartowskim mianem zbezczeszczył; — chciał mu je zmienić nawet, ale mu w tym Ludwinka przeszkodziła — „Niechże i Moloch zacznie być dobrym, choćby jako zwierzę tylko” rzekła do niego. — A Karol, jakkolwiek wszystkim dość częsty i dość żwawy stawiał opór — to nigdy Ludwince. Ludwinka była jego wybraną, jego najukochańszą z ukochanych, więc też Moloch został Molochem. — A był to pies rzadkiej cnoty — rzadkiej siły i odwagi — zadziwiającego instynktu — nigdy nie ukąsił nikogo; lecz kiedy mu się kto nie podobał, to go na ziemię wyrzucił i trzymał go spokojnie, ale mocno dopóty, dopóki kto z domowych obronić nie wyszedł. — Karol nigdy nie byłby zaufał tak przyjętemu od Molocha gościowi — i kiedy chciał o kim powiedzieć, że złym jest człowiekiem — to mawiał zwykle: „Poterałby go Moloch, oj poterał, jak się należy”. — Wspanialszego ani łagodniejszego w całym psim rodzie nie widziałem stworzenia, choćby czasem jaki pokojowiec i szczeknął, i rzucił się na niego — to Moloch dumnie tylko machnął ogonem, otrząsnął się jakby z wody lub kurzawy i szedł dalej w niezachwianej powadze swego majestatu. — No, nie śmieście się państwo, że wam tyle o tym Malochu prawię — w całym życiu nie spotkałem podobnego jemu... człowieka.

— Ha tak, człowieka nawet — co najsilniejszy swej siły by nie nadużył. — Są silni świętymi, ale najsilniejszy — jeden wśród nich najsilniejszy — może zresztą przypomnieć sobie — ja przypomnieć nie umiem — okropnie w tych latach ostatnich mego życia na pamięci podupałem. — Jednak dziwna rzecz, jak wszystko, co dawniej było, wszystkie te najpierwsze obrazy i znam dobrze, i patrzę na nie czystym okiem, i widzę je dokładnie. — Och ten ogromny, ten poczciwy Moloch, jak on wybiegł ze swojej budy i swemu panu się radował, gdyż nie użyję na Molocha tego słowa, łasił — Moloch się nigdy nie łasił nikomu, Moloch witał, Moloch się cieszył, bawił, albo wywracał na ziemię. — Karol przyjął uśmiechem szczerzy objaw Molochowego przywiązania, poklepał go po karku z taką miną, z jaką to czasem oficer żołnierza po ramieniu klepie, kiedy mówi o nim do drugiego oficera — patrz, to tęgi wiarus. — Potem Karol zawołał: „Zitta” — i ze stajenki naszej wybiegła w poskokach składna jak sarenka, kara jak noc klaczka, prawdziwie tureckiej rasy, już okulbaczona i pąsowym pokryta czaprakiem. — Tę klaczkę ojciec przypadkowo nabył bardzo tanio źrebięciem jeszcze, małym i słabym nawet, od wojskowych kwatery swoje porzucających. — Darował ją Karolowi pod warunkiem, żeby on sam na jej utrzymanie zarobił. — Ten warunek z bogaci<sup>3</sup> mię później przy narodzinach zupełnie nową kołyską; bo chłopiec, co by za konia był pewnie krwi swej nie pożałował, nie pożałował i czasu. — Wyuczył się koszykarstwa, wiązał miotły, splatał słomiane płachty do podłóg sieniowych, i w pobliskich miasteczkach przedawał, a co ładniejsze to nawet do samego Lwowa posyłał. — Tym sposobem Zitta miała zawsze pod dostatkiem najwonnejszego siana, najsmaczniejszego obroku — a jak dorosła, to się i siodło znalazło. Spotykały też nieraz Karola i sute w tym względzie wsparcia — na kolędę często po kilka korców owsa przysypano mu do jego składu, a przed rokiem w dzień urodzin, przy łóżku śpiącego jeszcze siostry rozwiesiły ów pąsowy czaprak, w którym Zittie tak prześlicznie było. — Napoleon, co w paczce czekolady — książęcy tytuł Lefebvrowi przesłał, nie zrobił mu pewnie miłszej niespodzianki. — Karol z radości nie mógł przyjść do siebie, bo on po zaporosku swoją Zittę kochał, on ją sam karmił, poił, upiększał, a pewno nie byłby jej sprzedał za wszystkie Galicji i Lodomerii skarby. — Zitta była jego czarną orlicą, jego dziką Murzynką, jego zakłętym w konia płomieniem. — A było też widzieć, jak Zitta patrzyła na niego swoim zmyślnym, dziwnie połyskliwą białością, ode łba odciętych okiem. Jak mu czasem ów łeb na ramieniu, z jakąś lubością

<sup>3</sup>zbogacić — dziś: wzbogacić. [przypis edytorski]

wschodnią, miękką, wdzięczną a namiętą oparła — jak na głos jego przybiegała z daleka, a posuwisto, a lekko, a chyżo, a doprawdy nie dopatrzyłby człowiek, czy tam ona kopytami ziemi dotknęła się nawet. — Oj Zitta! Zitta! niedawno śniło mi się o niej — i mówcie tam sobie co chcecie moi państwo, ja po tym śnie przez cały dzień nazajutrz weselszy i młodszy byłem. — Otóż więc we wzmiankowanej chwili moich wspomnień widzę Karola wśród wszystkich jemu najmilszych przedmiotów, bo zapomniałem powiedzieć, że miał na plecach swoją dwururkę Augustówkę — fuzja jak cacko — świecąca — leciuchna, niby klejnocik kobiecy, a pewna, niechybna, jakby sama do celu trafiała; zdawało się, że strzelającemu dość ją było wziąć do ręki i spuścić kurek, choćby z zamkniętymi oczyma. — Karol, który lubił wszystko imieniem znaczyć, nazwał ją sobie: „kochanką”. Raz, jak zaczął mówić o jej doskonałościach, o jej piosence dla ucha najmilszej, to aż się ktoś z mniej go znających zapytał: „czy daleko stąd mieszka ta młoda osoba?”. — Młodą osobę Karol przedstawił z największą powagą, ku największemu zdziwieniu pytającego. — No, chłopcze, zawołał wtedy, czy chcesz się przejechać ze mną? — Ja na odpowiedź wyciągnąłem ręce do góry, żeby co prędzej siodła się uchwycić, ale bez strzemięcia trudno mi było nań wskoczyć. Brat się uśmiechnął, widząc moje usiłowania i gwizdnął właściwym sobie sposobem. Na gwizdnięcie Zitta przykłękla, cienką swoją żyłastą szyjkę tak wyciągnęła ku mnie, że ją mogłem rękami objąć, a gdy objąłem, gdy się na grzbiet jej przerzuciłem, Zitta zerwała się równymi nogami i tylko jakby na umocnienie mnie siedzącego, karkiem silnie wstrząsnęła. — Obwińże go dobrze burką, żeby nie zmarzł! odezwała się przez okno patrząca matka.

— Obwinę, obwinę, bądźcie spokojni — odkrzyknął Karol i wziął mię przed siebie, do piersi jedną ręką przycisnął, a drugą lekko uzdeczki potrząsnął. Na ten znak Zitta sunęła — sunął Moloch i w kilka minut już dom i wioskę straciliśmy z oczu.

Dzień był prześliczny, mroźny wprawdzie, że aż śnieg skrzypiał, ale taki jasny, taki ubrylantowany słońcem, że aż w oczy ćmiło. — Pędziliśmy z bratem — pędzili, aż na koniec i w bór się wjechało — ja się nie mogłem nacieszyć iskierkom różnolśniącym po drzew gałęziach, po drodze naszej rozsianym, i tej czarnej Zitcie i temu czarnemu Molochowi, wśród owej dokoła rażącej białości. Nagle Zitta strzygła uszami — Moloch stanął i sierści najeżył. — Bratu rozděły się nozdrza, cmoknął ustami, jakby chciał powietrze ucałować i konia zatrzymał.

— A to co będzie Karolku? — spytałem.

— Cicho, cicho, to wilk.

— O wilkach słyszałem tylko z powiastek Teresi, powiastki były okropne, lecz i moja ciekawość wielka. Brat się przechylił, popatrzył mi w oczy i tę rękę, którą mię obejmował, bardziej na lewy bok przesunął. — Spojrzeniu jego dość spokojnym odpowiedziałem spojrzeniem, jednak ręczyć nie śmiem, czy pod ręką brata coś tam w piersiach moich silniej nie zastukało.

— Dobrze, dobrze! wcale nieźle, — poszepnął Karol sam do siebie, a potem głośniejszym głosem dodał:

— Zabijemy wilka, Beniaminku!

— Jak to, czy i ja go zabiję?

— I ty, chłopcze — tylko uważaj, baczność — przytul się do mnie plecami, tak, dobrze — teraz — wziął fuzję, wymierzył — teraz daj tu obie ręce, trzymaj, gdzie ja trzymam — i ułożył mi palce na kurku i na moich dopiero swój własny położył. W czasie tych przygotowań mały punkcik na drodze z dala czerniący przybliżył się wolno, poważnie jak monarcha w granicach państwa swojego — było to ogromne wilczyisko. Moloch warknął, Zitta parsknęła, Karol zawołał „psyt” i znów wszystko ucichło, a wilk szedł naprzód nieustraszony — zuchwały. Ten wilk, dowiedzieliśmy się później, był sławny w okolicy. Dopiero na kilkanaście kroków od nas dał ogromnego susa. Moloch także nie mógł wytrzymać — rzucił się naprzód, ale Karol głośno zawołał znowu — leżeć — i Moloch przyległ, skowycząc wściekle i tarzając się po śniegu, jakby z rozpacz upokorzenia. Wilk stanął — w tej chwili brat mi palec nacisnął — strzał wypadł i śnieg się zarumienił czerwoną farbą. — Ale prędzej niż to wszystko mogliśmy spojrzeniem objąć, zwierzę skałeczony rzucił się prosto do piersi Zitty — klacz preraźliwie zarżała i tak gwałtownie cisnęła na bok, że ja, który się ani siodła, ani brata nie trzymałem w tej chwili, spadłem jak kulka na ziemię. — Kiedym się zerwał równymi nogami — pamiętam w najdrob-

niejszych szczegółach obraz, który mi się przedstawił. Takich obrazów mam kilka w mej duszy — mimo wiedzy prawie odbiły się na niej tak dokładnie — tak silnie, że czasem aż się sam wydziwić nie mogę, skąd mi do pamięci wracają wycieniowane zupełnie jak obecność. — Z tego obrazu na przykład widzę doskonale nie tylko mego brata, co z siodła zeskoczył — przede mną stanął i obie ręce rozgarnął, by mię własnymi piersiami lepiej od wszelkiego niebezpieczeństwa zasłonił, nie tylko Zittę, która się wspięła, pod przemożnymi łapami wilka, co choć targany przez Molocha jej napierśnika trzymał się jeszcze — nie tylko Molocha, co w kudły przeciwnika łeb zanurzył, w rozszarpane mięso tak pysk utopił, że mu go nawet już widać nie było — nie tylko wilka owego, jak na tylnych łapach wzniesiony odwrócił się do nieprzyjaciela, gwałtownym karku przegięciem; ale widzę krwawo migotliwe jego spojrzenie, buro-żółty połysk sierści — widzę wszystkie zęby w rozwartej paszczęce i mógłbym je anatomowi wyrysować bez uchybienia żadnego.

Karol po tej pierwszej chwili niespokojności usunął się przede mnie, wziął fuzję i z najzimniejszą krwią do rąk mi ją podał znowu — jednym rzutem oka wymierzył — za palec mój pociągnął i wilczysko ani zipnęło już nawet. — Brat prosto poszedł do Zitty, piersi jej trochę okaleczone chustką przyłożył, rzemieniem trzęzi obwiązał, Molocha pogłaskał, za uszy wytargał, w łeb szeroki pocałował, potem skoczył lekko na siodło i znów gwizdnął, żeby Zitta przede mną uklękła. — Przez całą drogę rozmawialiśmy, jakie to śliczne z tego wilka będzie futro pod nogi dla matki — rozmawialiśmy o wielu innych rzeczach — tylko jeden wyraz żadnemu z nas do ust się nie przyplątał — wyraz „bojaźń”. — Karol nie wspomniął go i w zapytaniu nawet; dał mi uczuć szczęście pierwszego zwycięstwa jako najnaturalniejszą własność, jako przynależne mojej ludzkiej istocie zdarzenie. — Później coraz częściej brał mię z sobą na polowanie — i kiedyś zabił pierwszego dzika, aż mię uściskał z radości, lecz uściskał dlatego, że dzik był pysznym odyńcem, a nie dlatego wcale, że mu dałem na pięć kroków do siebie przypędzić i tak celnie trafiłem, jak gdyby kulę życzenie poniosło.

Siostra Bronisława jedno słowo tylko rzuciła w życie moje. Nie pamiętam, która to już była rocznica mych urodzin — przypadała, jak widać, w tej chwili rozwijania się, kiedy człowiek zaczyna głowę podnosić i w niebo spoglądać. — Późnym wieczorem siedziałem na kamieniu pod szeroką, cienistą lipą na samym środku dziedzińca rosnącą. Bronisława siedziała przy mnie, milczeliśmy oboje; ale powietrze, ziemia, niebo całe, odzywały się do nas jakimś wyraźnym, choć nie wyrażonym głosem rojących nad trawami owadów, hukających żab po stawach, drżących w chłodzie listków drzewa. — Księżyc znowu był w pełni, gwiazdy wszystkie tak przed nim zbladły, że gdzieś z dala od niego ze dwie ich ledwie świeciło, a białe chmurki goniły się po ciemnobłękitnej przestrzeni jak rozigrane trzody białorunych owiec niewidzialnego pasterza albo jak stada śnieżnych gołąbków, albo też rozkładały się w srebrne pióra żeglujących po wodzie łabędzi, unoszących się orłów. — Czasem nawet przepłynęła jakaś łódka z tajemniczymi postaciami; czasem niby anioł w długiej powłóczystej szacie, bo i czegoż ja tam nie widziałem! — aż siostra wzięła mię za rękę. — Beniaminie — rzekła, gdyż ona jedna nigdy pieszczotą nie zmieniała imienia mojego.

— Beniaminie, czy słyszysz?

— Och! słucham ciągle siostrzyczko, wszakże to łąki i drzewa tak grają.

— Beniaminie, czy widzisz? — spytała znowu i wskazała do góry.

— Och, patrzę ciągle siostrzyczko, bo to piękniejsze niż wszystkie Cypriana obrazki.

— Beniaminie, a czy czujesz co w twojej własnej piersi? — i przyłożyła mi rękę do serca.

— Ja czuję — odpowiedziałem po chwili — że tak mi dobrze, jak kiedy Julcia śpiewa, jak kiedy mię mama na kolana weźmie, jak kiedy mię Karolek na swoją Zittę wsadzi — i lepiej jeszcze, bo mi jest tak dobrze, jak wtedy kiedy nie ze zmartwienia płaczę i kiedy w radości śmiać się nie mogę, jak kiedy chciałbym was wszystkich jednym objęciem uściskać i wszystkiemu jednym rzutem oka zapanować. A to wszystko razem jest... ja ci nie umiem powiedzieć, czym to jest siostrzyczko.

— A ja ci powiem, Beniaminie — tylko pamiętaj na całe życie swoje — to co słyszysz w tej chwili — co widzisz przed sobą, co czujesz w sobie — to wszystko — śpiewne, piękne, jasne, szczęśliwe — to wszystko jest Bóg...



I zachowałem słowa Bronisławy, jako sama kazała, na całe życie moje — i przerzuciłem wiele ksiąg mądrych i niemądrych — kłamstw i prawd nasłuchałem się wiele, namarzyłem więcej jeszcze; lecz w każdej chwili, i po każdym przejściu wracały mi te w dzieciństwie od siostry usłyszane wyrazy. Na nich rozwinął się ciąg ducha mojego, zaprzeczyłem sobie samemu, nie zaprzeczyłem im. — Byłem zmartwiony a bolejący — lecz choć nie czułem, widziałem przynajmniej zawsze, że wszystko śpiewne, piękne, jasne i szczęśliwe to Bóg — że mądrość to Bóg — że szczęście to Bóg — że miłość to Bóg... Cały ów wieczór na kamieniu pod lipą z Bronisławą przesiadany był wstępną życia mojego modlitwą.

Jeśli Karol i Bronisława tak wyraźnym, lecz jedynym w mej przeszłości odbili się wspomnieniem, daremnie bym za to Cypriana i Terenię chciał w tych pierwszych latach dzieciństwa jakąś wyłącznością odznaczyć sobie, widzę ich w każdej godzinie, mam w pamiętce każdej — Cyprian malował mi lub przez innych namalowane pokazywał obrazki. — Terenia o każdym z nich i jemu, i mnie cudownie opowiadała historie — lecz gdybym chciał powtórzyć te, co na mnie więcej zrobiły wrażenia, to by końca temu i przez dziś, i przez jutro nie było; ja przecież w czternastym roku dopiero ich słuchać przestałem, a kiedy zaczął, doprawdy? — sam nie wiem. Z nazwiskami otaczających mnie rzeczy, jednocześnie usłyszałem tysiące dziwnych wyrazów, jak np. zaczarowana księżniczka, piękny rycerz, cudowny sygnet, czarodziejski zamek, diamentowe podziemne pałace — ogniste duchy na chmurach lecące — i to wszystko ułożyło się jakoś w naturę moją, nie na zabobon, nie na słabość charakteru, ale prędzej bym powiedział na jakąś dziwną siłę fantazji; — kiedyś — gdy wam się uiszcze z wywołanej życzeniem waszym powieści mego życia i gdy znowu tak jak dzisiaj zbierzemy się na dobrą chwilę przed ten ciepły kominek, byle tylko wiatr nie świszczwał, to państwu opowiem, którą z tych bajek Tereni. Was to przecież nie znudzi, Henryku, Teklo, Edmundzie — ci, co życia nie znają, ci, co je poznali aż do stracenia ostatniej nadziei, aż do odzyskania najpierwszej spokojności, ci lubią bajki cudowne — wszakże prawda moi drodzy? — Ach te bajki, i te obrazki Cypriana! lecz Cyprian już wchodzi w szaloną biografię moją — a mnie jeszcze myśli i słowa w dawniejszy czas uciekają ku świętym pamiętkom. — O moim ojcu jużście słyszeli, mój ojciec taki poważny, taki uczony, taki dobry i łagodny. — W szczupłym domku nie było osobnego pokoiku na jego księgi i papiery; lecz kiedy zasiadł do czytania, to bez nakazu, bez przymusu, prostym rzeczy i zwyczajów układem, tak wszystko cichło dokoła, że mógłbyś brzęczenie muchy usłyszeć. — Ja w tym wzrosłem — i nie pamiętam nawet, żeby mi kto w podobnych razach spokojność zalecał. — Kiedy ojciec książkę roztworzył, matka szła po cichu na palcach przez pokój; siostry i bracia wychodzili najczęściej lub które sobie nieruchomie z robótką w kąciку zasiadało. — Jednego dnia i ja tak zostałem, przerzucając ostrożnie, żeby mi nic a nic nie szeleściły karty starego jakiegoś dzieła in 4-to<sup>4</sup>, w którym były wszystkie wizerunki królów polskich. — Och! mój Boże, jak to ja pamiętam, Cyprian gniewał się na nie, a szczególnież że Wandzie dano rogatą czapkę — a Jadwidze ogromną kryzę, w której niby garbata i jakby dusząca się wyglądała. — Lecz ja nie byłem tak surowym krytykiem, mnie co dzień jak coś nowego bawiły i myszy gryzące Popiela, i ogromna peruka Wiśniowieckiego, i łańcuchy Zygmunów; bo też przyznać trzeba, że na wszystko zupełnie osobnym patrzyłem pryzmatem.

Tego dnia jednak na połowie skończyłem mój przegląd i zacząłem nie w książkę, lecz w twarz naprzeciw siedzącego ojca, bardzo uważnie się wpatrywać, bo za okno wywieszona makolągwa prześlicznie śpiewać zaczęła i miałem ogromną chętkę wybiegnąć do niej, a bałem się ojcu przeszkodzić, tym bardziej, że drzwi się jakoś trudno zamykały i otwierały — kto wie nawet, czy kłamka nie za zbyt wysoko dla mej ręki była osadzona. — Patrząc ciągle uważnie, spostrzegłem, jak naraz ojciec brwi zmarszczył i taki groźny twarz jego przybrała wyraz, jak gdyby się na kogo rozgniewał. Potem wsparł głowę na ręce i przez chwilę nie patrzył na książkę, lecz też przez tę chwilę wyraz gniewu zmienił się w wyraz jakiejś wielkiej, głębokiej boleści, a ciężkie i głośnie westchnienie z piersi mu się wydarło. — Ojczy, ojczy co ci jest? czy cię co boli? — spytałem prędko biegnąc ku niemu. — Ojciec smutnie się uśmiechnął, a dziś jeszcze daremnie bym chciał wypowiedzieć gorzyc tego uśmiechu, na owym męskim, pełnym siły i dobroci obliczu. — Bo mój ojciec był dziwnie pięknym mężczyzną. Równego jemu wiekiem, — a równego młodzieńczą

<sup>4</sup>in 4-to — od łac. *in quarto*, format książki o wymiarze 1/4 arkusza. [przypis edytorski]

prawie rzeźkością i grą fizjonomii, nigdy mi się spotkać nie zdarzyło. — Była to twarz pociągła, trochę żółtawo-blada, nos rzymski, brwi czarne, mocno odznaczone, włosy od czoła rzadsze, i gdzieniegdzie już srebrzące, wśród kruczej innych połyskliwości. Oczy, na które do połowy wypukła zachodziła powieka, wyrażały zwykle poważne zamyślenie i surowość jakąś, lecz za to w całym rysunku ust dość wydatnych było tyle tkliwej słodyczy, tyle pieśczoły prawie, że my dzieci nie bałyśmy się ani troszeczkę nawet całej surowości spojrzenia. Prawda, że też nas nikt nigdy ojcem nie straszył. Wyobraźcie sobie teraz, jakie wrażenie zrobić mógł na mnie gorzki uśmiech na tych zazwyczaj tak dobrych, tak łagodnych ustach.

— Ojczy, ojczy! co cię boli? — powtórzyłem z płaczem nieledwie.

— Mnie to boli — rzekł ojciec, wskazując na książkę.

— Szkaradna, niegodziwa książka — zawołałem z oburzeniem i rzuciłem ją na ziemię.

— Źle robisz synku — odpowiedział, podnosząc ją spokojnie.

— A cóż to jest ojczy?

— Historia.

— A cóż jest w tej historii?

---

— O mój synku! wszystko, czego już nie ma, wszystko, co jest, wszystko, co będzie, to się znajduje w książkach do tej książki podobnych. — A kiedy ja się dziwiłem bardzo, ojciec pokazał mi kartkę, na której różne znaczki były, i powiedział mi, że za pomocą tych znaczków mogę kiedyś wiedzieć, co robili umarli, słyszeć o czym mówiono najdalej lub najdawniej, widzieć aż po krańce ziemi i nieba, aż po głębię duszy ludzkiej. — Ja też co prędzej wszystkich nauczyłem się znaczków, ich użycie sam ojciec mi wskazał dziwnym sposobem. Pamiętam, kiedy pierwszy raz dał mi do złożenia te słowa: „Mama cię kocha”, to mi potem odebrał elementarz, kazał czytać i wyobrazić sobie mamę w tej chwili, gdy nad moim łóżeczkiem schyłona budzi mnie pocałowaniem na dnia dobrego życzenie. Później obiecał mi, że w kilku literach zobaczę dużo kwiatów, drzew, owoców i dał mi przeczytać — „ogród” — Później na wyraz — „gwiazda” — przypomniał mi, jak to ona mała drżącym światełkiem, gdzieś wysoko na niebie migoce, a powiedział mi jednak, że gwiazda to świat. I ja tak nauczyłem się czytać od niego wyraz każdy obrazem, uczuciem i myślą. — Ale wy moi drodzy dziwicie się zapewne, czemu dotychczas o matce mojej nic nie nadmieniłem jeszcze. Ach! bo dla mnie w każdym wspomnieniu ona tak była obecna, tak ją czułem przy sobie, że mi się zdało, jakbym ciągle o niej tylko albo do niej mówił. — Matka... Czy wy wiecie, dlaczego ja z takim uszanowaniem z drogi ustępuję i głowy uchylam, gdy koło mnie przejdzie w podeszłym wieku kobieta? — czy wiecie wy, dlaczego nieraz w kościele, a nade wszystko w jakim ubogim, małym, wiejskim kościółku, mnie się łzy w oczach zakręca, gdy postrzegę z dala przed stopniami ołtarza klęczącą postać kobiety? — Czy wy wiecie, dlaczego nigdy nie przejdę koło żebraka, bym do niego z jałmużną ręki nie wyciągnął, koło smutnego, bym z chęcią pociechy myśli ku niemu nie zwrócił, koło płaczącego na drodze dziecka, bym go wyrazem pieśczoły nie utulił, na ręce nie wziął, w zimie przy własnej piersi nie rozgrzał lub w lecie od przejeżdżających wozów z niebezpiecznego miejsca nie usunął? — czy wiecie wy dlaczego? oto dlatego, bo miałem matkę!... bo w każdej chwili podobnej, zawsze ją widzę przed sobą — tkliwą, anielską, błogosławiącą... tak wszystko czyniącą, jak ja przy niej czynić nawykłem. — Och! doprawdy, kiedy mi się błogie dni pierwszej młodości w pamięci rozwiną — kiedy późniejsze w przeciwieństwo stawię... ale przecież wy nie lirycznej elegii chcieliście ode mnie, ja mam tylko co do wypadków mego życia waszą ciekawość zaspokoić, jednak pozwólcie na chwilę rozdziwaczenia. Czy się z was komu śniło kiedy, że go z wysokiej bardzo i bardzo stromej góry, np. z takiej góry, z jakiej Chrystus widział wszystkie królestwa ziemi i wszystkie skarby królestw, że go, mówię, z takiej góry w przepaść jakąś strąciła — ot, dajmy na to, ręka szatana, któremu on, co nie jest Chrystusem, jak Bogowi zaufał. — Przypominacież wy sobie owo spadanie, coraz wolniejsze, coraz cięższe, — ziemia cała już sprzed oczu zniknęła, niebo tylko widać przez małą szczelinę, ale i niebo znika, — a coraz ciemniej, coraz okropniej, a spadający wie, że tam gdzieś na dnie rozbić się musi, tylko dna nie dojrzy, nie dojrzy! — Och! wtedy po pierwszej chwili odurzenia następują długie chwile wścieklej rozpacz — jest

Upadek, Rozpacz

czas na wspomnienie każdej radości straconej — wszystkich nadziei swoich, wszystkich czynów swoich, wszystkich wzniosłych zamiarów, wszystkich może wielkich, może dla świata użytecznych zdolności — co tak bez śladu zniszczają — których już nie ma nawet, choć my jesteśmy jeszcze. — A tu jakby dla zaostrenia tortury piekielną fantasmagorią rozwija się przed nami ów obraz na owej górze podziwiany; — i choć poznaliśmy szatana, my czujemy, żebyśmy znowu za jedną chwilę podobną drugi raz wieczność oddali. — I tylko nam sęp żalu kawałami serce szarpie, że gdy się miało umierać, czemu się z tej góry głowy nie rozbiło? — A potem inna boleść, potem widzimy najdokładniej każde ziółko, którego jeszcze w upadku uchwycić się można było, rozważamy każdy sposób, każde podobieństwo ratunku, przekonywamy się, że bylibyśmy nie upadli, że bylibyśmy się podźwignęli — gdyby jeden krok tylko, jedno poruszenie — jedna myśl — a teraz daremnie, teraz praw natury nie cofniemy, zaciężyliśmy nad głębią, trzeba spadać — spadać — spadać! Jedna przyszłość nam została — jedna nadzieja tylko, zdruzgotania się tam na dnie — i gdyby raz już skończyć — gdyby spaść — gdyby nie żyć — cała rozpacz przesłała się w tę szaloną niecierpliwość, ale przepaść głęboka — przepaść Miltonowska<sup>5</sup>, do której to się leci dziewięć dni i dziewięć nocy. Więc niecierpliwość sama siebie zużyła nareszcie — człowiek jest kamieniem — wie i pamięta, lecz nie boleje — nie rozpacza już. Człowiek kamień gdy upadnie, czyż choć tam w głębi — ostatnią iskrą w rozbiciu ostatnim zaświeci?... Ach! darujcie mi, darujcie państwo, miałem zupełnie o czym innym mówić, ten sen, ta przepaść, to do niczego niepodobne — chyba do tego, com ja czuł na jawie — ale wam niech los szczęści, cieszę się nieskończenie, że mnie tu nikt nie zrozumiał.

Ale za to zrozumieliście mój wiek dziecinny i ówczesną naturę moją — wiecie, że zrodziłem się kochanym, wzrosłem kochającym — kochanie, zawsze kochanie, to cały moich kursów pedagogicznych sumariusz; w przydatku do niego nauczyłem się górnictwa i mając rok siedemnasty, zostałem górnikiem.

Od tego to siedemnastego roku zaczyna się dziwaczna powieść bardzo zabawnych zdarzeń — uśmiejecie się serdecznie.

## II

W domu rodziców obchodzono Wigilię Bożego Narodzenia. Dzieci się pojeżdżały, bo już nie wszystkie pod rodzinnym żyły dachem. — Dwóch braci ożenionych, Adam i Józef, w dalszych mieszkali okolicach. — Trzy siostry poszły za mąż: Julcia, Bronisia i Terenia. — Karol wojskowo służył w Królestwie i z Lubelskiego na czas krótki tylko za urlopem przyjechał, Cyprian gdzieś aż z Rzymu ostatni list pisał, ja sam z Węgier wracałem, a przy rodzicach aniołem pociechy tylko Ludwinka została — moja Ludwinka zawsze blada, zawsze smutna, zawsze, nawet w chwilach radości swojej, jakby za szczęściem nieujętym<sup>6</sup> tęschniąca<sup>7</sup>. — Ja dziś myślę, że Ludwinka musiała żyć z jakimś utajonym w głębi duszy cierpieniem, jak nieraz kwiatki te kochane jej rosną długo z zjadliwym w cieniu swych listków owadem. Na pewne jednak ręczyć za to nie mogę, Ludwinka nigdy, przed nikim się nie skarżyła.

Wtedy na wigilię, stół długi białym obrusem przykryto, świeżym sianem podesłano i gdy pierwsza gwiazdeczka błysnęła, na odgłos dzwonka zgromadziliśmy się wszyscy koło niego — rodzice, dzieci, wnuki, domownicy.

Matka wzięła opłatek i podając go ojcu:

— Do wsiego roku! — rzekła uroczystym, choć lekko drżącym od wzruszenia głosem — do wsiego roku, mężu mój, dzieci wszystkie moje — Do wsiego roku! — Niech każde z was tak kiedyś łamie się chlebem Bożym z rękoma dzielnych synów, szczęśliwych córek, pięknych wnucząt, przyjaznych sług domu swojego; niech kiedyś dłoni, co na jego dłoni z niezawiedzioną ufnością przez długie lata się wsparła, tak mu poda święcony opłatek, jak ja w tej chwili ojcu waszemu podaję — Amen — odpowiedzieliśmy wszyscy — i rodzice rozłamali się opłatkiem, a potem matka szła koleją od najstarszych do

<sup>5</sup>przepaść Miltonowska — przepaść, w którą zostały strącone przez Boga zbuntowane przeciw niemu anioły z Lucyferem na czele; nawiązanie do dzieła Johna Milтона *Raj utracony*. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>nieujętny — nieuchwytny. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>tęschniący — ortografia, przy której Narcyza Źmichowska upierała się, upatrując w takim zapisie odwołanie do słowa *tchmienie*. [przypis edytorski]

najmłodszych, każdemu dając część jego i tej części cząstkę oddaną przyjmując; lecz gdy Terenia w następstwie rękę wyciągnęła, matka cofnęła się nieco i lzy jej w oczach stanęły.

— Nie, to kolej oddalonego — rzekła — na imię Cypriana z błogosławieństwem moim, niech będzie aż do chwili jego powrotu ten kawałek oplatka zachowany — i według słów swoich szła go na bok odłożyć...

W tej chwili drzwi się rozwarły — ktoś na progu stanął...

— Matko, syn wraca o dział swój w szczęściu rodzinnym się upomnieć — przemówił głos tak dobrze znany, że każda pierś go okrzykiem radości odbiła.

— Cyprian! nasz Cyprian...

W istocie brat mój Cyprian, malarz, wędrowiec, artysta powrócił...

— Albercie filozofie! powiedz mi, czy jest przeczucie?...

Ha! szczęście twoje, że tak poważnie skinieniem głowy potakującą dałeś mi odpowiedź, bo cię miałem zaraz drugim uderzyć zapytaniem: dlaczego mnie na wejście Cypriana serce się boleścią ścisnęło?

Tak jest, moi państwo, wyraźnie mówię, boleścią, chociaż w pierwszej chwili nie umiałem jej od wielkiej radości rozróżnić.

Po kilku latach rozstania witać brata, współnika myśli i zabaw dziecinnych, witać ze łzą w oku, drżącą ręką i bladym czołem, mnie się to zdawało, tylko nowym jakimś na uczucie szczęścia sposobem. Sposób dziwny jednak... później dokładniej zdałem sobie z niego sprawę i dziś ręczyć mogę, że on był tylko boleścią przerażenia.

Cyprian matkę najpierw uściskał, ojca rękę najpierw ucałował, a potem siostry jedna przez drugą cisnęły się ku niemu, a które z nich dzieci miały, to mu je wyciągały na rękę, do wcześniejszej pieczyoty, na lepsze powitanie. — Ja ostatni się zbliżyłem.

Cyprian objął mię za szyję, lecz nim do piersi przycisnął, zatrzymał się jakby zdziwiony — oczy jego utkwily w mej twarzy, dłonie zesztyniały niby na moich barkach — i tak mię trzymał przez chwilę oddalonego ich wyciągnięciem — i tak patrzył ciągle na mnie — i tak dziwny uśmiech zachwycenia z ust jego rozświecił, że sam go nie pojmując, odśmiewałem się także i niby przemocą uwalniając się z narzuconego rozdziału:

— Cóż to? — rzekłem — czy Beniamina tylko nie poznałeś?

— Och! Matko, jaki on cudnie piękny! — zawołał Cyprian do stojącej za nim, odwracając się nieco.

— Więc dlatego już mię i przywitać nie chcesz?...

Cyprian przywitał może radośniej niż nasze całe rodzeństwo, ale czy serdeczniej?... ja nie wiem, jednak z pewnym wyrzutem mu rzekłem:

— Zdaje mi się, żeś w tej chwili więcej malarzem niż bratem.

— Prawda — odpowiedział przycichłym, uciętym głosem i znowu patrzył na mnie.

Bo ja podobno piękny, ale to bardzo piękny wtedy byłem — dzisiaj nie wierzyłabyś temu Anno, i wy wszystkie zaprzeczyłybyście — dzisiaj oczy mi wpadły, wyblakły, zagasły — włosy zrzędniały, bodaj czy już i siwieć nie zaczynają, skóra na chudych policzkach urysowała się szkaradnymi zmarszczkami — cera nie szerniała i nie zbladła, tylko zaschła, niby jakiś papier zbrudzony — a usta wykrzywiły się w taki nałogowy uśmiech niesmaku, że wesołym aż nudno patrzeć na mnie. Co to jest tak się zestarzyć w dwudziestym szóstym roku swego życia!... wszak prawda, moje panie, że to się nie godzi? Ha! przynajmniej na pociechę mogę powiedzieć sobie, że kiedyś piękny byłem... piękny... piękny...

Cyprian ile razy spojrział na mnie, to mu niby jaśniejsza myśl widomie po twarzy przeciągała — czasem zamykał oczy, jak gdyby tej myśli chciał się lepiej w swojej własnej głowie przypatrzeć, a czasem też coś go niby gniewało na mnie i brwi marszczył, warg przygryzał. — Ta ostatnia zmiana coraz częściej zaczęła mu z końcem wieczery na rysy wybijać, bo ja także baczniejszą na niego zwróciłem uwagę.

Gdy pierwsze uniesienie wzajemnych powitań uspokoiło się nieco, gdy twarz Cypriana uściskami ożywiona, przejściem nagłym pod światło i ciepło rozgrzana, zaczęła powoli do zwyczajnego wracać układu — aż mię zimno wskrosz przejęło, tak okropnego wyniszczenia śladów na niej dostrzegłem.

Cyprian miał wszystkie rysy ojca, lecz jasne włosy i płeć białą matki. — Teraz, rysy owe wyciągnęły się bez żadnej proporcji, płeć niegdyś tak świeża nabrała kredowej martwości, otwory oczu zwiększyły się wprawdzie, ale oczy gdzieś pod czoło głęboko uciekły

— wyłysiał, ot, więcej prawie niż ja dzisiaj, nos mu okropnie zgarbaciał, broda naprzód wyszczerzyła, — szczęki kościste ledwo skóry nie przebijały.

Matka trwożliwie spoglądała na niego — zapewne uważać to musiał, bo przez chwilę milczący i niby znużony, ożywił się znowu, zaczął głośno rozmawiać, śmiać się, opowiadać tysiączne swej podróży szczegóły. Nawaleł słów, jak widać, i prędkością poruszeń, chciał Cyprian oszukać ten wzrok matki badawczy, smutny, a niemylny, chorobliwe usposobienie zwyciężyło go jednak na chwilę — zaciął się nagle i długo tłumionym kaszlem wybuchnął.

Między kobietami ruch niespokojny powstał. — Cyprian skinął na nie, żeby jemu i sobie dały pokój — usta chustką zasłonił, a potem ostatek napadu w pusty śmiech przeprowadził.

— To nic, to nic, zakrzusilem się tylko — rzekł, prędko chustkę do kieszeni chowając.

Ja siedziałem tuż przy nim i sam jeden spostrzegłem, że krew była na chustce.

— Ten kielich waszej spokojności święcę — mówił dalej wesoło.

— Napij się lepiej wody — szepnąłem mu z cicha i po karafkę sięgnąwszy, niby nie namyślnie trąciłem go tak mocno, że wszystko wino z kieliszka na obrus się rozlało.

Cyprian zwrócił się ku mnie niecierpliwym ruchem.

— Braciszku, trochę jesteś niezgrabny — to szkoda — i z wyraźnym niezadowoleniem patrzył mi w oczy — przetrzymałem wzrok jego.

— Napij się wody — powtórzyłem w pół z prośbą, w pół z rozkazem.

— Napiję, czego chcesz Beniaminku — odpowiedział trochę rozjaśniony uśmiechem — napiję choćby i octu z żółcią, bo znów jesteś prześliczny, ale jednej rady mojej usłuchać musisz...

— Trzech rad twoich Cyprianie — tylko ty dwa słowa przyjmij ode mnie — jesteś chory — rzuciłem mu do ucha.

— O tym potem — rzekł jak najobojętniej i wypróżnioną szklanką mocno w stół uderzył, by zgłuszyć zamienione ze mną wyrazy.

— Moja rada, Beniaminie, jest ta, że przede wszystkim powinieneś być szczęśliwym — ale to powiadam ci, koniecznie szczęśliwym, bo jak nie, to zbrzydniesz — zbrzydniesz tak okropnie, że nawet Ludwinka, która wszystko smutne lubi, nie pozna cię wtedy i mnie ze wstrętem.

Pocziwa siostra zaprzeczyła temu co prędej — lecz Cyprian nie chciał ustąpić.

— Z zupełną pewnością wyrokuję w tym względzie — mówił on — studiowałem jako malarz różne przemiany, różnych wrażeń i na różnych rysach — przysiąc wam mogę, że Beniamin okropnie zbrzydnie w nieszczęściu — bo jego twarz do odbijania samej tylko radości stworzona...

Och! już co wtedy, to się sam za sobą ująłem.

— Radością ją widzisz w tej chwili — rzekłem — może nawet dziecinną jeszcze, ale skąd tobie być prorokiem moich uczuć w chwilach odmiennych, mojej twarzy w niepewnej przyszłości? Więc ja tak słaby i wąty jestem? — a niedawno chwaliliś piękność moją — jaką piękność? czy roślinną — według gatunku i koloru — zdrowia i czerstwości. — Ja myślałem, że mi z czoła za pierwszym spojrzeniem wyczytałeś wszystkie ducha tajemnice i dojrzawszy w nich własnej istoty odbicia — tym artystycznym słowem „piękny” powitałeś — a ty, jak teraz poznaję, tylko linię i farby miałeś na pamięci.

— Gniewaj się, gniewaj dziecko moje — z uśmiechem na te wszystkie wyrzuty odpowiedział.

Ja się nie gniewałem, ale mi się okropnie smutno zrobiło.

— Cyprianie — rzekłem po chwili — choćby się nawet miała ziścić twoja przepowiednia — mniejsza o to, ja śmiało nieszczęście do walki wyzywam, będę brzydszym, ale będę lepszym.

— W nieszczęściu?

— Tak jest! w nieszczęściu, kiedy spróbuję wszystkich sił moich, użyję wszystkich praw człowieczeństwa — bo walka z nieszczęściem jest najwyższym prawem — bo walka z nieszczęściem jest siłą najwyższą!

Coś ja podobno i więcej o tym mówiłem, lecz teraz słówka sobie nie przypominam nawet, a choćbym chciał z natchnienia brak wspomnień wynagrodzić, to doprawdy trud-

niej jeszcze, nie mogę ani w uczuciu, ani w rozumie znaleźć coś podobnego — do tych błogosławionych marzeń świeżej wyobraźni. — Wzniosłem nieszczęście do potęgi ideału — na cześć jego złożyłem hymn i ostatnią myślą ostatniej zwrotki jego cisnąłem złym losom najdumniejsze wyznanie. Szalony!...

Cyprian słuchał, patrzył się — uśmiechał — gdy skończył, jego białe, długie palce od niechcenia zamieszały się w moje po góralsku na ramiona spadające włosy i rzekł niby sam do siebie:

— Jakie to dziecko! jakie to piękne dziecko jeszcze! — On nie wie, że w najwyższości swojej, istota ludzka ma tylko władze używania, zdolność do szczęścia — siły do stwarzania rozkoszy — a jednak choć od matki, to słyszał przecież o dziewiątym niebie, gdzie twarz w twarz z Panem Bogiem przez całą wieczność wybrani się radują... Walka z cierpieniem... jemu się zdaje, że to będzie chwila takiej improwizacji, jaką teraz ułożył, takiej gry nerwów, takiego przyspieszonego krwi obiegu, jak go obecnie doświadczył — moje najdroższe, najśliczniejsze dziecko — to będzie jednak zupełnie coś innego — a palce jego przez całą długość włosów moich musnęły — to będą te włosy — mówił dalej — te cudnie, słoneczno promieniejące włosy, zrzędniałe i zsiwiałe od nocy bezsennych; to będą te myśli, dziś grające po mózgu tysiącem obrazów tęczowych, zawikłane w jakieś obliczania wypadków, czynów, prawdopodobieństw i fałszów — to będą te piersi tchnące dziś pełnią życia, zachrzyple<sup>8</sup> kaszlem, zerwane astmą; — to będzie to oko szklisto-czarne, powleczone siatką krwawych żyłek i żółcią nabiegłe — to będzie choroba, odrętwiałość, wielki kłopot o majątek, o kobietę, o jakiś plan życia może, ale nie będzie walka z nieszczęściem, jak ty ją sobie wyobrażasz, Beniaminku. — Tobie się zdaje, że nieszczęście wygląda jak biały anioł w czarne krepy uwinięty, z gorejącym mieczem w dłoni i dlatego chciałbyś z nim pójść już w zapasy — och! wierzę bardzo, że nie zbrzydłbyś wtedy — lecz ja ci powiadam, że nieszczęście wcale nie anioł żaden — nieszczęście wygląda jak pies, co milczkiem kąsa, jak stara dewotka, co pobożnie obgaduje, jak Żyd lichwiarz obszarpany, co dukaty obrzyna, i co ci wszystką złotą monetę życia twojego fałszuje — nieszczęście wygląda jak pijanica nad rankiem — jak nietoperz — jak błoto — jak palce z zanokcicą — jak brudna chustka od nosa — fe! fe! słuchaj mojej rady, bądź lepiej szczęśliwym Beniaminku — i głośnym śmiechem, a cichym kaszlem zakończył.

Nikt z nas się nie zaśmiał wzajemnie — każdemu ciężko było pod słowami owej dziwnej ironii — Bronisława tylko rzekła:

— Zabawnie wypowiedziałeś wielką prawdę, Cyprianie — ależ na drugi raz nie ubieraj jej w takie łachmany, bo się dzieci straszą, — i schyliwszy się do wspartego o jej kolana synka — prześlicznego chłopczyny, z szerokim, bladym czołem, z wielkimi, ciemnymi oczyma:

— Nieszczęście, mój Bohdanie, brzydkie jest bardzo — przydała — gdyż nieszczęście to jest — złe, które się zrobiło, i dobre, którego się zrobić nie mogło — grzech twój lub grzech ludzi, braci twoich — unikajże nieszczęścia.

Chłopczyk zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Będę unikał, matko.

Nic nie mówiąc, wskazałem go Cyprianowi — Cyprian zrozumiał tę przymówkę, lecz wstrząsnął głową — popatrzył trochę i rzekł niedbale:

— To wcale co innego — Bohdan starszy od ciebie — on dziś — a ty jutro.

W żaden sposób nie mogliśmy się porozumieć.

Na koniec też i wieczór się skończył — wszyscy spać poszli według tego, jak gdzie komu starania Ludwinki nocleg przyrzadziły.

Karol, Cyprian i ja dostaliśmy maleńką na poddaszu izdebkę.

Cyprian pierwszy się położył i o zgaszenie świecy upomniał. Zmęczonemu podróżą, choremu nawet, jak to z twarzy jego było widać, nie chcieliśmy chwil do spoczynku potrzebnych zabierać. Poszliśmy oba za jego przykładem, skoczyli prędko w łóżka nasze i prędzej jeszcze zasnęli owym smacznym, błogosławionym, pierwszym snem wszystkich nocy spokojnej jeszcze młodości — przynajmniej ja tak usnąłem.

Nagle, w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził. — Patrę — aż tu Cyprian stoi nad moim łóżkiem.

Cierpienie, Piękno, Walka,  
Szczęście, Kondycja ludzka

Zło, Dobro, Czyn, Szczęście

<sup>8</sup>zachrzyple — dziś: zachryply. [przypis edytorski]

W jednej ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jej płomień obejmował, żeby cień w stronę Karola padał, całe zaś światło na mnie — przez rozchrzestaną<sup>9</sup> koszulę widać było jego piersi zapadłe, i wszystkie kości z anatomiczną dokładnością spod skóry się rysujące — rzekłbyś, że to szkielet jaki z lekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz za to całe życie trupich piersi do twarzy jego uciekło, — była to twarz na ową chwilę grą nerwów i mięśni, do pierwszej młodości wrócona — były to oczy ciepłym promieniem bijące — usta, purpurą świeżej krwi wypełnione, czoło, jakby od niewidzialnej gwiazdy jaśniejące — była to jednym słowem głowa wskrzesiciela — na ramionach umarłego. — Sprzecznosc uderzająca, niesłychana a cudna.

Pod jej urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem — przetarłem tylko oczy, zerwałem się i usiadłem. — Brat lekko mię znów ręką na posłanie przechylił i dał znak milczenia.

— Cóż to jest? — spytałem go się wreszcie.

Cyprian trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zupełnie ku twarzy mojej obrócił, ale nic nie odpowiedział.

— Cóż to jest? — powtórzyłem raz drugi.

Znowu milczał — lecz po chwili:

— O czym ci się śniło? — zagadnął mię wzajemnie.

— Nic a nic nie pamiętam — odrzekłem, gdyż tak było w istocie.

— To bardzo źle, Beniaminie — spróbuj, może przypomnisz sobie.

— Doprawdy, nie mogę ani słówka.

— A ja bym dał sobie lewą rękę po sam łokieć uciąć, żebyś mógł.

— Nie czekaj na to Cyprianie, bo się przeziębisz jeszcze. — Jak można z takim kaszlem w noc Bożego Narodzenia wstawać boso i nawet płaszcz nie zarzucić.

Brat syknął i ust przygryzł.

— Ja pytam, co ci się śniło? — powtórzył z przyciskiem.

— Pomówimy o tym, tylko weź co cieplejszego na siebie lub połóż się przy mnie.

— Słuchaj, Beniaminie — rzekł brat z powściągniętą, ale widoczną niecierpliwością — mnie dalibóg żadne alpejskie zimno nie szkodziło — spałem kilka razy pod śniegiem — byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął i wróciłem stamtąd zawsze zdrowszy, rzeświejszy; — lecz jednego dnia, gdym się rozgniewał, zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła — przestrzegam cię o tej ułomności mojej braciszku — nie gniewaj mnie. — Bo to, widzisz mój drogi — ciągnął dalej, jakby zgadując niespokojne zadziwienie moje — są chwile życia, których nie trzeba na drobnostki wrażenia roztrwaniać: — „a to się zaziębisz — a to weź co ciepłego — a to jedz — a to pij — a to tak — a to owak”. — Cierpieć nie mogę całej tej trzygroszowej troskliwości — jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkim przesileniu i serca ci zabraknie. — Mnie jak o życie chodzi o przywołanie twego sennego widziadła — mnie w głowie przyszłość — sława... a ty kaszel przypominasz i gdybym pozwolił tylko, byłbyś bżowymi ziółkami zaczął mię częstować. — Czyś ty Niemka rozkochana, czy siostra szpitalna? — Toć to wytrzymać trudno!

— No już nic, już nic nie powiem — lepiej ty mów, czego chcesz?

— Chcę wiedzieć, o czym ci się śniło?...

— A to dziwny człowiek! chyba z natchnienia naprędce sen jaki ułożę.

— I owszem, proszę, układaj...

— Otóż słuchaj — śniło mi się, że z drżącą lampką w ręku spuszczałem się do głębokiej pieczary — w pieczarze były skarby tak wielkie...

— Kłamiesz Beniaminie, ja ci mogę lepiej twój własny sen przypomnieć — zastanów się tylko, czyś nie roił, że byłeś Grekiem w pięknych młodej Grecji latach.

— Och! nie, za to ci ręczyć mogę — we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia, jestem zawsze tatrzańskim górnikiem — synem ojców moich.

— Alboż ty wiesz, Beniaminie? może ci się też śniło, że byłeś poetą, lecz zrozumiemy się dobrze — nie takim poetą z piórem w ręku, z palcami w atramencie uwalanymi, nad drewnianym stolikiem, a do tego jeszcze w szlafroku i pantoflach — och! nie, może ci się śniło, że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszej ziemi, że miałaś siedmiostunną

Opieka, Idealista

Sen, Młodość, Zwycięstwo

<sup>9</sup>rozchrzestany — rozchelstany; niedbale rozchylony. [przypis edytorski]

lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a dokoła siebie zamiast czterech ścian wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur życiem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał — czuł — wierzył — i śmiał się, i płakał — i w żelazne miecze dzwonił według tego, jak pieśń brzmiała. — A pieśń twoja Beniaminie — i wieniec olimpijski twój — bo dla tłumu wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś — tobie tłum ludu padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli. — No, cóż myślisz? snem takim, czyżby śnić nie warto — chociażby potem zaniemieć<sup>10</sup> na wieki...

— Prawdę rzekłeś, bracie, ty lepiej ode mnie moje własne sny pamiętasz — snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego — bez ukorzonych współzawodników — bez tłumów u nóg moich — marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojej były — że w moim uczuciu spromieniło się każde w świat Boży rzucone uczucie — że byłem ze wszystkimi i wszyscy byli ze mną — nie niżej, nie dalej, tylko tuż pod bratniej ręki dotknięciem, tuż w samym dźwięku mej pieśni.

— Dobrze, dobrze Beniaminie — ale dźwięk pieśni to jeszcze nie wszystkość życia twojego — młody jesteś — młodość sama przez siebie władzą i zdolnością — użyć jej musisz koniecznie — nadmiar siły trzeba ci przelać choćby w pustotę; potrzebie gwałtownych ruchów trzeba stworzyć odpowiednie choćby i szaleństwo — bo przecież wszystkie arterie wzbierają czerwienią sokiem niby lawą gorętszą — jeśli zbytku twojego nie ciśniesz na świata uciechy — to się natura wstecz cofnie i głębię ducha zatruje. — Trzeba szaleć Beniaminie — czy snu takiego nie miałeś? — Może też kiedy widziałeś sam siebie na wozie złocistym, jak dzielnym rumakom cugli popuściwszy, biegłeś do mety z najślawniejszymi gonitw bohaterami — ty taki młody — taki niewprawny — daj pokój lepiej, bo tysiące patrzą na ciebie — tam rzędem kobiety, tu starce, które cię poważnie za nieroztropność zgromią tam młodzi towarzysze, którzy próżność niewczesną wyśmieją — daj pokój — tobie w gynecceum jeszcze piosnkami się niańczyć albo według koloru na krosnach nitki rozsnuwać — daj pokój — ty dziecko, ty słaby, ty śmieszny, w głowie ci się zakręci, ręce ci zemdleją — daj pokój — ha, może ci tak mówiono? — Ale słuchać nie chciałeś — od zamętu, od hałasu mózg ci w głowie zakipiał — ręce drżą do cugli — oczy widzów magnetyzują cię prawie — im ich więcej, tym lepiej. — Siadłeś na wóz i pędzisz — konie pianą parskają — obłok kurzu cię okrył — nieba nie widzisz — z samą przestrzenią się gonisz — czy jej uciekniesz — czy ją wyścigniesz — a słyszysz, jak to się śmieją — och! szyderstwo pospółstwa, to harpia, co serce wygryza; obelga śmiechu, to rozpalone pod czaszką żelazo! — Spiesz się, spiesz się — bo cię uprzedzi tamten wóz purpurą ozdobny, którego białe konie wyciągnięte, strzałą lecą w powietrzu! — a czy słyszysz oklaski — czy słyszysz tryumfu okrzyki? — Spiesz się — spiesz — tam na przeciwko sędziowie z baczny okiem i meta już bliska — tobie pęd powietrza głos w piersiach tamuje — chciałbyś krzyknąć — jak krzykniesz, twoje rumaki nowych sił wydostaną... ha! krzyknąłeś i przy mecie jesteś — ty pierwszy. — Spójrz teraz po widzach, śmieją się z tych, co o tobie wątpili — bierz nagrodę i wychodź ze szranek<sup>11</sup> z dumnym czołem, z hardym wzrokiem, i słuchaj, jak po drodze twojej jedni drugim z ust do ust podają — „to on, to on, zwycięzca hipodromu...”

Brat zamilkł i patrzył na mnie. — Jużcić, przyznam się państwu, że było wtedy mówić do mnie o koniach, o wyścigach, o tych przemianach zwątpień i nadziei, to jak gdyby kto w oczach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał złotymi stawkami — jakoś mi się ciepłej zrobiło — śmiać się zacząłem, a Cyprian rozgarnął mi włosy i znów dalej mówił, lecz głos jego był uroczystszy, głębszy, czasem trochę drżący nawet.

— Może też ci się śniło, Beniaminie, że miałeś głowę arabskimi wonnościami skroponą, tunikę z najcieńszej wełny sydońskiej utkana, wieniec różany na skroni, a te skronie wsparte o łono kobiety — lecz nie matki, nie! siostry, nawet jeszcze nie kochanki twojej... Beniaminie czy ty rozumiesz tę chwilę, w której kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i kochana? — czy ty rozumiesz tę chwilę? A kobietę taką czy widziałeś? — kobietę piękną — silną w namiętności — świętą w duchu swoim. — Na jej czole taka myśli potęga, że by mogła losami Aten kierować — a na jej ustach taka rozkosz — a w jej spojrzeniu taka wabność gorąca i przenikliwa... Czy ty śniłeś o niej? — Ej! daj

<sup>10</sup>zaniemieć — dziś popr.: oniemieć. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>ze szranek — dziś popr.: ze szranków. [przypis edytorski]



mi pokój z całą powszednich małżeństw uroczystością — co mi po tej dziewicy, która skromnie oczy spuści, jakby drzemać chciała, ustek niewinnie przysznuruje i nic mi nie da w życiu prócz praw kodeksem zawarowanych. — Och! jak innym piorun od świecy, tak inną moja piękna od tej ze zwyczajowych przepisów uklejonej duszyczki. — Tobie także Beniaminie inna zupełnie się śniła. — Jej oczy jeśli spuszczone, to promień tylko nadziei lub wspomnień zbyt jaskrawy, więc przesłonięty; — jej rumieniec — to krew, to życie, co z przepelnionej organizacji gwałtownie na zewnątrz bije... a jej miłość!... ty nie znałeś własnej potęgi, nie rozumiałeś świata, nie czuleś Boga, póki cię ona nie ukochała; — piękność — szczęście — cud — to miłość jest jej... Wierz mi, bracie! takie kobiety są — i możesz spotkać którą, i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jej objęciach, żeby już potem nie być choćby nawet szczęśliwym inaczej. — A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowości — rozkoszy twojej rozpustą — zmysłowość będzie ledwie formą najjorganiczniejszego<sup>12</sup> wzniesienia się ludzkiej natury w pełność Bóstwa z duchem i ciałem — rozkosz sama w świadectwo przeciw rozpuszczeniu stanie. — Zmysłowiec tak nie czuje, rozpustnik tak nie używa, jak ty czuć będziesz wszystkimi władzami duszy twojej — jak ty użyjesz całą męskością twej siły młodzieńczej. Gdybyś nie miał każdychwilo-wego uznania swej godności, gdyby ona nie była ową Medeą, co żywiołom rozkazuje, — ale Medeą, która nigdy zbrodni nie popełni — bo wiecznie kochaną będzie — gdybyś ty po jej miękkich węzłowiach hartowniej wśród spartańskich niewygód zasnąć potem nie umiał, gdyby ona z swych ust rozpieszczonych krwawym na torturach nie splunęła w potrzebie językiem — gdybyście oboje nie mieli tej wyobraźni, co wam w poezję każdy całunek ozłoci, tej śmiałej myśli, co z każdej chwili radosnej chwilę siły wyciągnie, co zawsze nową prawdę wykryje lub nowy sposób na szczęście utworzy — gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, inteligencją wzniesieni, przyznaniem szlachetni, to byście i tak szczęśliwi nie byli — bo szczęście — słuchaj, niech ci się chociaż śni o tym Beniaminie, — szczęście pełne jest dane tylko temu, kto umie najpokorniej dla dobra bliźnich cierpieć i najnamiętniej kochankę do drżącej piersi przycisnąć.

Ucichł znowu Cyprian — ja go słuchałem jeszcze, dziwy mi się po głowie roily, wszystkimi jego słowami niby krew w żyłach wzbierała — jednak czulem potrzebę odparcia tych wrażeń.

— Kusicielu! — rzekłem z cicha.

Brat się nachylił, pocałował mię w czoło — ale nagle świeca, którą trzymał, zadrżała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła. — Schwyciłem Cypriana za rękę, ręka była zimna jak lód — krzyknąłem — Karol się obudził — wstał prędko — świecę znów zapalił i przy jej świetle ujrzeliśmy Cypriana bez przytomności, na krawędzi łóżka przewieszzonego... krew mu się kawałami z ust waliła... był przerażającej, żółtej jakiejś bladeści... myślałem, że już umarł. W tej chwili dzwonić w kościółku na mszę pasterską<sup>13</sup> zaczęto...

Przepraszam państwa... muszę odpocząć trochę — kiedy sobie ten obraz przypomnę — jest mi okropniej niż wtedy było nawet.

### III.

A cała ta okropność, czy też się domyślacie, skąd przyczynę wzięła, gdzie cel obrała sobie?... Cyprian do wykończenia jakiegoś obrazu, potrzebował moich rysów i układał je sobie w zamierzonych wrażeń odbicie — artystą, wielkim artystą był mój brat, Cyprian.

Ja wam powiem tylko — gdybym dzisiaj miał starych patriarchów zwyczajem błogosławić najukochańsze dziecko moje i gdybym był wierzył w nieomylną mego błogosławieństwa, jak w czarosilne zaklęcie talizmanowej formułki, to nad głowę schylnego u kolan moich wzniosłszy oczy do nieba, z głębi duszy bym wołał: — „niech z drogi twego życia Bóg artystów usunie”; ha! gotowicie się rozgniewać na mnie, wy wszyscy zakochani w piękności i sztuce, a ja przecież nie o was mówię — sztuka i piękność do życia wzięte użyciem, przynależą się każdemu — mnie — tobie — wam i im. Lecz być artystą, wszakże to co innego, jak być używającym. Być artystą, znaczy tylko być obdarzonym pewną ilością mózgu, który w pewnym miejscu czaszki tworzy pewną wypukłość — nic

Artysta,  
Niebezpieczeństwo, Sztuka

<sup>12</sup>najjorganiczniejszy — dziś stopień najwyższy: najbardziej organiczny. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>msza pasterska — też: pasterka; msza odprawiana w kościele katolickim o północy w Boże Narodzenie. [przypis edytorski]

więcej, wierzcie mi. — Używający musi mieć serce do ukochania tego, co używa — ukochanie samo w sobie nie zamknie się nigdy — ukochanie prześwieci w nieskończoność dobrą podniętą i czynem szlachetnym — ale artysta tworzy, nie kocha — dzieło po dziele odpada od niego, chwila po chwili zstępuje w przestrzeń, ogranicza się kształtami i póty jest prochem, póty Salomonową słońca próżnością, póki jej obce nie przejmie uczucie, póki jej obcy rozbudzony entuzjazm w nieskończoność życia nie pchnie. Artysta tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć — ale jak tworzy? na co tworzy? to jest w nim odrębnością, to już artystycznej nie stanowi natury — czasem tworzy okropnymi sposobami — żeby odmalował konającą twarz Chrystusa, przybija do krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie rani. — Żeby wyśpiewał piosnkę miłości, kładzie spokojne ucho na wzburzonej piersi, nastroja do gry krwawe żyły cudzego serca i przebiera po nich marmurowymi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie wydadzą dźwięku — a jak wydadzą, to choćby też wszystkie struny pęknąć i splątać się miały, oddziera od nich palce, przenosi je co prędzej na kościane klawisze fortepianu — może na smyczka włosienie, i co podsłuchał, odgrywa dokładnie, i czym pamięć naciągnął, tym echo dętych instrumentów wypełnia. — Czasem też artysta sam z siebie wymyśli wrażenie jakiego dźwięku — sam sobie wyrysuje nigdzie niewidziany obrazek! — O! to jeszcze niebezpieczniej — bo wiecie przecież, że on uczuciem i miłością znieśmiertelnić<sup>14</sup> tego nie może, on musi w kształty ująć, skończonością zawarować. — Więc też szuka kształtu, dobiera sobie warunków — próbuje pomysłu swojego, a zawsze na żywych przykładach, jak doktorzy nowych lekarstw próbują... podobno tylko na zwierzętach żywych... no i cóż? czyż za to przekleństwem rzucić artyście? a jeżeli też w zamian cierpienia i krwi waszej, da nam jakie arcydzieło — prześliczny obraz — cudną nutę piosnki — to cóż? — przeklinać także? — O! nie, — tylko niech ci, których kochacie, z dala artystów, idą drogą swoją... Patrzcie, co za ogień wyborny! świeci i grzeje — wyborny ogień! — a jednak z wolna wszyscy usunęliście się od kominika i między nim a wami zostało puste, szerokie koło — geniusz artysty ogniem jest — rzucajcie mu na pastwę wszystko, co chcecie, tylko nie rzucajcie złotego szczęścia i serc miłością bijących — alboż wy to sabejczykowie<sup>15</sup> lub gwebry<sup>16</sup>? czcicie tego, co świeci? — Ja wam powiadam, światłość dla was, jak powietrze dla was, jak pokarmy i napoje dla was. — Wyłączono już bóstwo z natury, nie biją dziś pokłonów słońcu, gwiazdom i księżycowi — wyłączcież i wy część waszą z użycia piękności i sztuki, postrącajcie artystów z ołtarzy waszych, bo to nowe bałwochwalstwo tylko, sabeizm intelektualny — co jest boskiego w artyście, to dane przez was i wam — co jest boskiego w artyście, to właśnie rozłączać się z nim musi ciągle, żeby stanęło przed wami — co w nim boskiego, to przez jego duszę sączy się niby olej skalny, i na zewnątrz dopiero, w zetknięciu ze wzrokiem waszym i z myślą waszą, i z uczuciem waszym może się w blaski rozetlić — ale tam w głębi, tam tylko masa jakiejś czarnej ziemskiej gliny, trochę odmiennego gatunku. — Ot tak, dobre mi słowo na myśl wpadło; artysta jest tylko odmiennym gatunkiem człowieka; co tam sądzić, ganić, chwalić, jest odmiennym i koniec; niechże kto wielbi białość, a błękit potępia. — Ja do Cypriana żadnej nie mam urazy — biedny Cyprian! jego życie stargane, zakłócone sny mojej młodości! czyż ja się mogłem domyśleć, że to wszystko było planem jednego obrazu! — kiedy Karol wziął zemdlącego na ręce i poniósł do łóżka, czułem tylko boleść najżywszą, później kiedy siostrom znać dano, gdy rodzice nadeszli, wśród ogólnej trwogi nie miałem jednej chwili na uchylenie się w rozbudzoną osobistość, jednego drgnięcia serca do zmarnowania na postronne wrażenia. Cuciliśmy, ratowali Cypriana, byłbym się chciał zamienić w każdą kroplę ożywczej wody, co martwe jego czoło rzeźwiła, w każde słowo pociechy, co przerażoną i drżącą matkę uspokoić mogło. — Cierpiałem za niego, za nich wszystkich, cierpiałem moim własnym cierpieniem, a przecież nieraz później zdarzyły się chwile, w których ja nie do przeszłych radości, nie do straconej swobody, ale do owego przejścia pierwszej boleści zatęszniłem sobie. Taka boleść nie wyczerpuje ducha, póki jest nadzieja ulżenia drugim, z bogacenia ich choćby

<sup>14</sup>znieśmiertelnić — dziś: unieśmiertelnić. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>sabejczykowie a. sabejczycy — wyznawcy sabeizmu, kultu gwiazd rozpowszechnionego w religiach wsch., początkowo wśród mieszkańców królestwa Saby (dziś Jemen). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>gwebry a. pars — wyznawca mazdaizmu, staroż. kultu Słońca. [przypis edytorski]

własną największą nędzą, póty jest usświęcenie boleści; — lecz gdy nas to zadrażni, co nawet innym na jeden uśmiech pustoty się nie zda, gdy nam to dokuczy, co innym także zawadą lub zgorzeniem padnie, wtedy jest ból prawdziwy, okropny — bezrozumny jak zwierzę, bezbożny jak piekło!

Cyprian z wolna przychodził do siebie, spojrzeniem i niepewnym uśmiechem za troskliwość dziękował, ale mówić nie mógł, bo zanadto był osłabiony — usnął wreszcie i mieliśmy go pilnować kolejną, — ja pierwszy miejsce przy nim zająłem, lecz gdy się wszyscy rozeszli, nikogo później puścić nie chciałem. Siedząc tak, siedząc godzinę po godzinie w najgłębszej cichości, sam nie wiem, jakim spadkiem myśli zadumałem się nad wszystkim, co mi Cyprian przed swoim zemdleniem mówił — i było to dziwne dumanie. Robiło mi się czasem rozpaczliwie tęszno i duszno, a później znowu było mi jak gdybym się miał spieszyć gwałtownie, jak gdyby coś o jedną chwilę życia uciec mi lub dogonić mnie miało — było mi, jak gdybym się niecierpliwił, jak gdybym nie mógł prędko rozpęczętować najpożądanejszego<sup>17</sup> listu, zerwać lub rozsypać powrozu, którym by mi nogi skrępowano, nagłym ruchem zacisnąłem palce o palce, że aż mi wszystkie stawy chrupnęły i przerzuciłem obie ręce na założone kolano. Nie wiem, czy ten ruch prędkości, czy inny jaki powód zbudził Cypriana, ale gdy spojrzałem ku niemu, już miał oczy otwarte i smutno wlepione we mnie.

— Może ja źle zrobiłem? — rzekł swoim dawnym, poczciwym braterskim głosem — wplotłem przedwczesne marzenia w twoją duszę i już cierpisz.

— Och! cóż ty znowu o cierpieniu mówisz! — szczerze go uspokajałem — śpij, śpij braciszku, ja nigdy nie byłbym szczęśliwszy, gdyby nie choroba twoja.

— Jeśli tak, to dobrze. Obudziłem się z jakąś myślą żalu właśnie w tej chwili, kiedy ręce załamywałeś, resztką snu przywidziało mi się, że ja początkiem twojej niespokojności.

— Niespokojności, być może — a najpierw o ciebie, Cyprianie.

— Na ostatku o mnie, mój Beniaminku! Najpierw... już ja zgaduję, o co najpierw — i szkoda — bo trochę przecierpisz, teraz lub później, ale inaczej być nie mogło, mój obraz przede wszystkim — i z tym wyrażeniem jak gdyby zrzucił całą odpowiedzialność z sumienia swego: — choć przecierpisz — mówił znów bardzo spokojnie — to ja ci nadgrodzę<sup>18</sup>; wezmę cię z życiem, z młodością, z marzeniami twoimi, z cudną pięknnością twych rysów, wezmę cię, Beniaminku i poniosę w świat szczęścia — złożę głowę twoją na kolana tej, przed którą uklęknąłem, gdy mi się po raz pierwszy objawiła — rozkocham cię, rozpieszczę!... dlaczegoż mi tak dziwnie w oczy patrzysz? alboż jeszcze nie zrozumiałeś, że o moim obrazie mówię? mój obraz to cała nauka moja, wszystkie namiętności moje, nadzieja moja ostatnia! Od chwili jak go w duchu począłem, czuję, że wciąga w siebie wszystkie siły moje żywotne, w dniu, w którym rozłączy się ze mną, w którym widomie stanie dziełem skończonym, w dniu tym będziesz mógł powiedzieć Beniaminie: „miałem brata Cypriana”.

— Cóż to za obraz? cóż to za obraz? — powtarzałem w małych przestankach jego mowy.

— Obraz Aspazji i Alcybiadesa — czemu Aspazji, czemu Alcybiadesa? o to samego Pana Boga pytaj. Raz przed cudnie zrobioną Matką Bolesną w zachwyceniu stałem — usta, co się nie skarżą, lzy, co bez wiedzy płyną, dusza z przewagi nerwów wyzwolona, świat ziemski daleko w przepaść zapomnienia odepchnięty — widziałem, rozumiałem wszystko; wtem nagle postaci mego obrazu wzrok mi przesłoniły, niech ci mędrzec prawem ostateczności ten objaw tłumaczy, ja wiem tylko, że podziwiałem świętość w najokropniejszej boleści, a mnie się ukazała świętość w najżywszym szczęścia uniesieniu; wiem, że się modliłem do Chrześcijan Niepokalanej Dziewicy, a mnie pojęcie całej przeszłości poganizmu<sup>19</sup> do duszy wstąpiło i kazało się malować; — wyraźnie kazało się malować — i odtąd całe życie moje było ciągiem jednej nad tym obrazem pracy, a nie przed sztalugą tylko. Ja wszędzie i w każdej chwili zbierałem farby, zarysy, pod wszystkie światła promienie ustawiałem go sobie, i na koniec treść jego przejęła mię, przepelniła i zacząłem nią żyć, żyć — po ateńsku, chwilami rozkoszy, piękności i siły młodzieńczej... o! jednak to chyba ludzie się cofnęli, kiedy dziś śmieją takiemu życiu zaprzeczać... o! jednak to mój

<sup>17</sup>najpożądanejszego — dziś stopień najwyższy: najbardziej pożądanego. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>nadgrodzić (daw.) — nagrodzić. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>poganizm — dziś: pogaństwo. [przypis edytorski]

Beniaminie pieśni, tańce, gwar szumnej uczty, powiewne szaty białych kobiet, rubinowe i złote płyny w przejrzystych szumiące kształtach — wonne kwiaty i wonne kadzielnic kosztownych dymy, światło czystej oliwy, światło drogich kamieni i najświatlejsze światło spojrzeń pięknych oczu! — o! jednak to mój Beniaminie, to dobre, bo to szczęśliwe — tego odpychać nie można — a kiedy wyżej od tego jeszcze myśl twoja uleci — kiedy to nawet przedążysz sławy pragnieniem i przepięknisz chwilą natchnienia — kiedy więcej niż tak wiele da ci talent twój — o doprawdy wtedy i życia, i miłości, i sił swoich nie ma po co żałować! Ja dziś rozumiem, dlaczego Ateńczycy taką mieli przeciw śmierci odwagę, jakiej w całych dziejach ludzkości już nie znajdziesz potem? — oto dlatego tylko — bo żyli! — żyli wszystkimi skłonnościami swoimi, wszelką możliwością natury! Kto umiera z silną wiarą, że do nieba idzie, ten nie ma odwagi przeciw śmierci, ten ma tylko wielką lepszego życia niecierpliwość — ale kto nie wie, co go później spotka, lub też upewniony jest właśnie, że go nic spotkać nie może, kto w zgonie widzi tylko rozstrojenie organizmu, ból choroby, martwość trupa i popiół urny grobowej, a jednak śmiało naprzód postępuje, ten się dopiero śmierci nie boi. — Ja ci zaś powiem, kto może tak się nie bać — oto szczęśliwy jedynie — wierz mi bracie, szczęście najlepiej człowieka z koniecznością godzi — kto wesoło użył wszystkiego, kto naczepał pełnymi rękoma w skarbach ziemskich i pełnym mózgiem w rozumie bogactwa, ten się nie będzie z przeznaczeniem kłócił. Jest w każdym człowieku pewna miara kupieckiej rzetelności... bierze się od natury tyle — oddaje tyle, i kwita. — Bierze się życie — oddaje życie. Bierze się do użycia — oddaje zużyte, rachunek czysty, sumy równiuteńkie — komu by się tam chciało o nadmiar targować. — Ale kiedy nieszczęście przy twojej jednostce długi szereg okropnych nicości, smutnych zer dopisze — zwiększa się wtedy mimowolnie, na sta i tysiące zwiększa się jej wartość. A jak tu oddać, co ja łzami mymi okupiłem? — a jak tu oddać, co mię tyle cierpień kosztowało? — a jak tu oddać, czego nie wziąłem jeszcze? — na lzy i cierpienia, szachrajską taksą zgonu są konwulsje — na lata przebolane omylną miarą kalendarzowy podział. — Jeśli nieszczęśliwy w paroksyzmie rozpaczy, w napadzie obłąkania, sam sobie życia nie odbierze; to nie wierz mu nigdy, że chce umierać — nieszczęśliwy chce żyć właśnie — nieszczęśliwy trzyma się jutra całymi siłami drętwiących rąk swoich, bo z jutrem łączy go coś silniejszego od nadziei samej, łączy go ciekawość: — jakie też to szczęście być może? i nieszczęśliwy boi się wszystkiego, nieszczęśliwy jest najnikczemniejszym tchórzem, chociaż sam przed sobą i przed drugimi zapiera się tego — nieszczęśliwy, gdy mu umierać przychodzi, umiera z przekleństwem na ustach, wyrzuca piekielne szyderstwo Bogu i pluje na świat, co mu niezrozumiały, niepojęty, dał potrzeby bez zaspokojenia, dał czas do cierpień, a nie dał jednej chwili do radości. — Ja tak nie umrę, mój bracie; byłem szczęśliwy, kochałem, używałem, stworzyłem mój obraz; miałem wszystko, nie żałuję niczego.

I z ostatnim słowem Cyprian, który w ciągu swej mowy rzeźwił i silniał widocznie, nagle wstał z łóżka, jak gdyby najzdrowszy w świecie i prędko ubierać się zaczął.

— Aha! mój Beniaminku — ze śmiechem wołał na mnie — jeszcze mnie ledwo przez połowę rozumiesz — jeszcze mnie wcale nie rozumiesz nawet.

— Wcale nie rozumiem, prawdę powiedziałeś — odrzekłem wolno, z namysłem.

— Bo też ty niczego nie rozumiesz, ani szczęścia, ani nieszczęścia, ty dziecko jeszcze!

— Mylisz się, ja tylko nie rozumiem siebie w twoim obrazie.

— Ale chciałbyś zrozumieć — ot, ciekawość, pierwszy gradus<sup>20</sup> do piekła — i zdaje ci się niby, iż mógłbyś walczyć z nieszczęściem, które jest wieczną, niespokojną i nigdy niezaspokojoną życia ciekawością — daj pokój tym urojeniom — idź swoją drogą, bądź szczęśliwym — poznawaj i bierz.

Jako widzicie, moi państwo, Cyprian zaczynał dziwaczyć, miał gorączkę, ale po co ja go słuchałem, tak słuchałem uchem i duchem. On tymczasem chodząc, rozmawiając, zbliżył się do wielkiego zwoju płótna, który stał w głowach jego łóżka, niedaleko ode mnie właśnie, dotknął się go i, dziwna rzecz, drgnąłem, jak gdybym niespodzianie uczuł owo dotknięcie.

— Pokaż! — zawołałem tylko.

Śmierć, Cierpienie,  
Szczęście

Interes, Kondycja ludzka

<sup>20</sup>gradus — stopień. [przypis edytorski]

— Cyprian wstrzymał się, — ona tu jest, rzekł z cicha — moją Aspazję już mam — pierś wzniosła się westchnieniem, czoło potęgą myśli rozświetliło, usta otwarły słowem miłości, może pocałunku obietnicą, — już ją mam, ona tu jest blisko nas obu — moja Aspazja płomień — moja Aspazja dźwięk — moja Aspazja rozkosz w mądrości i mądrość w rozkoszy! — moja Aspazja, ta kochanka moja, co mi zubożyła na koniec wszystkich kobiet wdzięki, co wiecznym złudzeniem, nieodstępną wizją, stanęła w dzieciennych moich dumaniach i w snach nocy niespokojnych — moja Aspazja!... moja!... lecz ty będziesz jej — o tak, Beniaminie — wyczerpnąłem<sup>21</sup> wszystkie skarby duszy mojej na utworzenie tego obrazu kobiety — dziś nie wiem, czy ona tak bogatą, czy ja tak ubogim, ale zabrakło mi nawet ideału do stworzenia godnego jej miłości kochanka, kiedy już wystąpiła z martwego płótna, żywa i jasna, kiedy usiadła przede mną w całym majestacie podzielanego szczęścia, cofnąłem się przed własną potęgą i przed własną nieudolnością. Zrobiwszy tyle, zadrżałem... bo mi się zdało, że już więcej zrobić nie potrafię, od roku żyję w tej walce okropnej, w tych zapasach z niedokończonym dziełem, może być, że mnie to utrzymuje właśnie, bo juścić pewnym zdaje mi się, że gdy skończę mój obraz, skończę cały mój zawód i umrę, ale jak ci mówiłem przed chwilą, śmierć mnie nie przeraża, gdy przeciwnie, tak długie wysilenie trudzić zaczynało, — od wczoraj dwukrotnie szczęśliwy jestem — znalazłem! — znalazłem! — Bóg mi sam ciebie dał, Beniaminie! jaki ty szczęśliwy! jaki piękny przy jej boku będziesz! — Cały wieczór wczoraj uważałem cudny owal twojej twarzy i tę ruchów rześkość, i tę miękkość spojrzenia, i ten hardy rzut młodego karku, i ten pieścizliwy ust całych obwód... sprzeciwiałeś mi się czasem jakimś wyrazem niespokojnego smutku, ja ciebie nie mogę pojąć smutnym... nie... mów, co chcesz sobie — smutek ci nie przystoi. — Ty powinieneś być szczęśliwym — dlatego to położywszy się, daremnie chciałem zasnąć, mieniłeś mi się we wszystkie zmiany twojego oblicza, a dobrej chwili podchwycić nie mogłem — ha! — wtedy wziąłem świecę — poszedłem do ciebie, i znowu — znowu ty byłeś tym, którego po świetle szukałem tak długo — piękny! o jaki piękny! — pod głowę lekko w tył zarzuconą jedną ręką podłożyłeś, druga sama niedbale wyciągnięta wzdłuż ciała twego opadła, szyja biała niby utoczona, cudnym spadkiem łączyła się z nieco odkrytymi ramionami, pierś młoda, marmurowa a gorąca drżała przyspieszonym oddechem i rajskie jakieś widziadła na uśpione rysy wstępowały, niby duchy z głębi spokojnej wody na jej powierzchni szklisko<sup>22</sup> falującą — obudziłeś się, myślałem zrazu, że wszystko utracę, lecz nie, ja wszystko odzyskałem, och i więcej nawet! — Jakżebym chciał już wziąć paletę i pędzel do ręki, żeby mnie nie odbiegła ta postać snem własnym i wrażeniem słów moich ożywiona, żeby mi się mgłą nie rozwiął ten młodzieniec z jasnym czołem, z przesilającym się w męskość dzieciństwem, z gwałtownością pierwszej żądz, ze słabością ostatniej trwożliwości swojej; ten młodzieniec taki już silny, taki już dumny, taki już chciwy, że by chciał na jednych ustach — „pocałować wszystkie kobiety od północy do południa” albo jednym zamachem ściąć wszystkie głowy straszliwej hydry tego świata, albo jednym ramion objęciem wszystkich ludzi jak braci do serca przytulić, albo jedną złotą czarą wszystkich uciech spełnić toast i być sławnym, pięknym, szczęśliwym, kochanym, — ach! i kochać! bez miary, bez końca... wszakże to jest mój Alcybiades, mój Beniamin, mój prześlizanej Aspazji kochanek...

Cyprianowi koniecznie trzeba było tak się rozmarzyć, Cyprian był artystą, — lecz ja dzieckiem wtedy byłem i naprawdę rozlubowałem się... szczęściem, nie w sobie jeszcze — ale w słowach jego, w takim, jak on go wyrazami malował, Alcybiadesie.

Czułem, że od serca po całej piersi, a od tyłu głowy po całym czole rozchodziły mi się niby jakieś gorące promienie i koła, pochwyliłem trzymane przez Cypriana płótno i zacząłem wszystkie obwijające je sznurki rozrywać z pośpiechem. A wtem drzwi się uchyliły, na palcach, cichuteczko weszła matka o syna swego niespokojna. Cyprian wytrącił mi z rąk na wpół odwinętą pakę i pospieszył do wchodzącej. — Jeśli z was kto ma jaką skłonność do mistycyzmu, niech sobie wystawi, że w tej chwili dwa duchy walczyły o całą przyszłość moją, duch ciemny, niekształtnie jeszcze uwinęty<sup>23</sup> w owe grube pakunkowe płótno, potrącony ręką brata, z wolna toczył się po ziemi jak gad plugawy, co by niechętnie miejsca ustępował; a duch jasny, kobieta, matka, spokojnym uśmie-

<sup>21</sup>wyczerpnąłem — dziś tylko jako czynność wielokrotna: wyczerpałem. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>szklisko — dziś: szkliscie. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>uwinęty — dziś: owinięty. [przypis edytorski]

chem, tkliwym słowem ścierała jego potęgę, zabierała mu chwilę po chwili życia mego i odepchnęła go wreszcie daleko, przynajmniej na czas jakiś odepchnęła jeszcze.

Z początku lajała matka Cypriana, że wstał zbyt prędko, widząc go jednak prawdziwie zdrowszym i weselszym, sprowadziła nas obu do pokoju, w którym wszyscy razem, tak jak tu dzisiaj na przykład, ciepły obsiedliśmy kominek. Julcia trochę śpiewała, dzieci dużo krzyczały, a gdyśmy na noc do siebie wrócili, Cyprian już nie chciał płótna swego rozwinąć. — Tak przeszły wszystkie dni świąteczne i wyjechałem z domu, obrazu nie widziałem, a Cyprian był zdrowszy.

Święć się, święć się, wieku młody!  
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!  
Ideale wiary, cnoty,  
I miłości, i swobody!

Młodość

O, bodaj to mieć młode, czyste jeszcze serce! to jak muszla z dalekiego morza! — w niej każda rana — perła; w nim każdy niepokój ideałem — rzuć garść błota do takiego serca, po jednej marzeń godzinie będziesz miał błoto w diament skryształone. — Święć się, święć się, wieku młody.

Ach! żebyście wiedzieli, jak ja skryształilem słowa Cypriana! a mieszkalem z nimi całe sześć miesięcy prawie sam na sam, wśród gór i lasów. — Pokochałem się w Aspazji — nie była to owa marzycielska, bezcelna<sup>24</sup> miłość, nie były to owe sny i tęsknoty za niepoznanym uczuciem — owe błąkanie się po raz pierwszy zbudzonego napływem gorętszej krwi serca. Nie, ja kochałem wyraźnie słowa mego brata i tę postać z obrazu, która przecież istniała, chociażem jej nigdy nie widział. Miałem pojęcie na uczucia moje, miałem i przedmiot pojęcia, tylko jednego rzutu oka brakowało. Czasem byłbym dosiadł konia i ku domowi pędził niecierpliwym — ale częściej — co mi po tym spojrzeniu! ja kochałem Aspazję, kapłankę szczęścia, piękności, rozumu. Szczęście, piękność i rozum, to była miłość moja. — Pierwej żyłem tym, co mi samo przez się z życiem nadpłynęło, — teraz roztworzyłem chciwe ręce i sięgałem na wszystkie strony po marzenia, po objawy, po wiedzę. — Pierwej, gdy co nie było ukochaniem moim, to mijałem bez uwagi, bez myśli; — pierwej świat mój był najcudniejszym zaiste światem, ale światem małym, światem, od którego odpadła dla mnie w niebyłość<sup>25</sup> cała jego resztująca masa — teraz nic obojętnym, nic czczym — teraz z wszystkiego ja muszę coś wziąć, muszę wycisnąć chwilkę przyjemności, zajęcia, nauki, a jeśli nie, to dopiero ciskam z oburzeniem i odznaczam sobie uczuciem wstrętu, gniewu, pogardy; a martwego nic nie ma dla mnie. Dostał mi się świat nowy, świat drugi, zupełny; więc wszak prawda, że kochałem Aspazję? — Mnie się zdaje, że wtedy kochałem ją najwięcej, najprawdziwiej, bo wtedy i tylko wtedy niby ptak, co wszystkie pióra do lotu rozwinię, niby okręt, co wszystkie żagle na wiatr pomysłny rozpuści, ja rozwinąłem wszystkie władze mego ducha, rozpuściłem wszystkie istoty mojej żywioły i leciałem i pędziłem w nieskończoność — w nieskończoność!... O, ja wtedy najwięcej Aspazję kochałem!

#### IV.

Jednego dnia, był to dzień lipca, ale już ku wieczorowi schodzący — duszny, bez słońca i bez burzy, ciężki jak niebo, gdy deszczem zapłakać nie może, a coraz niżej, coraz ciemniejszymi i pełniejszymi chmurami ziemię naciskać musi. Gdybym w dniu takim był spokojnie z założonymi rękoma chciał siedzieć, to by mi było piersi rozsadziło — wiedział już o tym poczciwy Bazyl, mój najdawniejszy jeszcze z lat dziecinnych znajomy, a teraz więcej towarzysz niż sługa. — W pogodę nie pytał się o mnie, lecz na słotę, zawsze starannie konia obrządził i wszystko do okulbaczenia przygotował, bo niemylnie po skończonej pracy siadałem na mego bieguna i dalej w góry, w lasy; tego dnia jednak miałem inny cel podróży. Na poczcie sąsiedniego miasteczka musiał być dla mnie list z domu, już od dwóch tygodni czekałem go z największą niecierpliwością, a zawsze daremnie!

<sup>24</sup>bezcelny — dziś: bezcelowy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>niebyłość — dziś: niebyt. [przypis edytorski]

mój kary Sokół, jak gdyby wiedział o tym, sadził najposuwistsze<sup>26</sup> kroki najrówniejszego galopu, a ja tak się ukołysałem, że mi cugle z rąk wypadły. Jechaliśmy lasem, gęstość drzew przejmowała resztki nieczystego światła, naokoło była tylko owa, jak to się często zdarza, owa widna ciemność. Wtem niespodzianie gałęzie jakiegoś drzewa z szelestem łamać się zaczęły, coś parschnęło<sup>27</sup>, syknęło, dwie źrenice dzikiego żbika jak dwie krwawe iskry zaświeciły i tuż przed łbem końskim z łoskotem ciało jakies na ziemię upadło; nim zdążyłem pomiarkować, co to być mogło, już mój Sokół zarżał przeraźliwie, w bok się rzucił i poniósł mię jak szalony.

Pozwieszane nad gościńcem dłuższe drzew konary były mię w twarz, były mię w oczy — łatwo mogłem o pień który głowę sobie rozbić. — Cóż tu czynić, moi państwo? — Oto żebyście wiedzieli, z całej siły na większy pośpiech gwizdnąłem Sokołowi — a potem przytulilem się do jego miękkiej grzywy, jak dziecię do najwygodniejszej poduszki — i myślałem — „ha! niech sobie leci, gdzie chce i póki chce mój Sokół”. — Więc też Sokół leciał — a mnie leciały przez głowę różne obrazki, roidła<sup>28</sup>, wspomnienia — aż nadleciały i słowa Cypriana w owej pamiętnej nocy słyszane. — Doprawdy zdało mi się, że nie przez porównanie, ale rzeczywiście, widomie, osobiście, z przestrzenią się ścigam. — Było to jakies dziwnie mile uczucie — przestrzeń uciekała poza mnie czarnym potokiem usuwającej się spod końskich kopyt ziemi — przestrzeń tuż obok mnie biegła dwoma rzędami ciemnych, dziwacznych, olbrzymich postaci — przestrzeń wyścignęła mię w górze wielką z rozpiętymi skrzydłami chmurą, której dobiec nigdy nie mogłem, którą zawsze jakby ducha ptaka widziałem przed sobą. — Ach! powiadam wam, że to było prześlicznie. — Gwizdnąłem raz jeszcze — Sokół nie biegł, nie leciał — Sokół chyba swoim mocnym przyśpieszonym oddechem wciągnął w siebie całą bajeczną miejsca odległość — gdyż nagle uciekły postacie olbrzymy, uciekł ptak chmura, został tylko przestwór bez granic — bez przedmiotu — bez tła — ale przestwór głośny świszczącym koło uszu powietrzem i bijącymi o kamienisty grunt podkowami, przestwór rozjaśniony od spodu rześistym gradem iskier, które w przelocie łącząc się promieniami, tworzyły czasem niby łamania się jakiejś ognistej fali — a z jednej i z drugiej strony tak ciemny — tak ciemny, że chyba świata nie było. — Wtem nagle wyskakuje masa czarna, ogromna — to góra, ale daleko — na tej górze luną bije godna tego krajobrazu pochodnia — może wybuch Wulkanu?... ot, już blisko... nie, to nie Wulkan — to gmach tylko cały w płomieniach — a mury grube jak czarna siarka odbijają nieprzejrzystymi kratami od tej ze wszystkich okien rażącej światłości. — Czy gmach się pali?... Nie — to jakaś uczta zapewne, bo mię niby dźwięk muzyki zaleciał — niby gwar ludzkich głosów — ale Sokół tym okropnym rżeniem boleści i trwogi, co to je kwikiem końskim nazywają, zgłuszył wszystko — poczułem drgnięcie całej skóry jego — mokre płyty ciepłej piany padły mi na ręce i na czoło — znać było, że sił nowych dobywa. — Chciałem wstrzymać — żal mi się zrobiło karego — lecz gdzież tam wstrzymać podobna? — Szarpaliśmy się przez chwilę, a ledwie tego dokazałem, że gdym chciał w tył zawrócić, on na bok skręcił i znowu biegł strzałą. A więcej moja niż jego była w tym wina. — Przyznam się, że lubilem ową tabunową niesforność — i nigdy go od tysiącznych nie odzwyczaiłem narowów, bo mi jakoś było przyjemniej pohulać na takim samowolnym i dzikim stworzeniu, milej popróbować się lub jak dnia owego poszaleć z taką swobodną i nieugiętą naturą, niż mieć tylko ciągle posłuszne mej woli narzędzie. — Zresztą trzech rzeczy pewny byłem — nóg Sokoła, że się nie potkną — popręgu siodła, że nie pęknie — siebie samego, że nie spadnę i że gdy zechcę, bez szwanku choćby w największym pędzie na ziemię zeskokczę.

Tymczasem przez cały dzień nabrzmiewające chmury coraz gęściej zbijały się po niebie — przeciągły huk grzmotu rozlegał się i konał długim, ponurem echem — od chwili do chwili błyskawica zapalała pół widnokregu i znów gasła — gorącość jakaś ciężka, dusząca wypełniła powietrze, ale żaden wichru poświst, żadna deszczu kropla nie ulżyły obłokom, nie odświeżyły ziemi. — Spojrzałem dokoła, góra, zamek, światła, wszystko jakby się w ziemię zapadło i zniknęło bez śladu. — Gdzie szła droga, ni dopatrzeć, ni domyślić się nawet. — Wtem chrapliwy i natężony oddech drugiego konia ucho moje uderzył. — Zwróciłem się na prawo i rozeznałem wśród ogólnej czarności jakąś czarność mocniejszą,

<sup>26</sup>najposuwistszy — dziś stopień najwyższy: najbardziej posuwisty. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>parschnąć — dziś: parsknąć. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>roidło — coś, co sobie ktoś uroi; przywidzenie, twór wyobraźni. [przypis edytorski]

prawie do cieniu<sup>29</sup> mojego podobną, gdyż miała także kształt ludzkiej na koniu siedzącej postaci.

— Z drogi, z drogi! — ozwał się głos pewny, rozkazujący, lecz miękki, jak gdyby się z piersi niedorosłego młodzieńca wydobył.

— A z której i na którą, mój niewidzialny towarzyszu? — odrzekłem bardzo wesoło — wdzięcznym ci będę, jeśli mi to powiesz, gdyż właśnie zdaje mi się, że zblądziłem trochę.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem mocne świshnienie<sup>30</sup> pręta i smagnienie<sup>31</sup>, które na łeb Sokołowi padło — a potem śmiech przycięty, wyzywający i szelest niby długiej szaty, która mię w przelocie lekko nawet z boku musnęła.

Zerwałem się na strzemionach, jak gdybym mógł być i sam dowidzieć, i stać się widzialnym.

— Ha! kiedy tak! — krzyknąłem — więc teraz mnie z drogi, mnie z drogi precz!

I w teże chwili ovladnąłem Sokoła, co się zżymał i wyginał, potoczyłem nim jak dzieckiem, jak własną ręką, jak myślą moją — nie zastanowiłem się, co chcę uczynić, co zrobić? tylko instynktowie<sup>32</sup> czułem potrzebę ciśnięcia się na poprzek temu szaleńcowi, choćbyśmy we wzajemnym starciu wszystkie kości mogli strzaskać sobie. — Mój kary odgadł zamiar — rozjątrzony własną obelgą, lepiej, zupełnie zjednoczył się z chęciami moimi; wszystkich mięśni siłę natężył i wspiał się niby do przeskoczenia najwyższej bariery — lecz nagle — długim wężem rozdarło się niebo — piorun — trzask — blask — jedno oka mgnienie — czy wy rozumiecie, jak to wszystko było prędkie — jak niespodziane. — A jak to trwa długo!... Jam ją wtedy ujrzał po raz pierwszy.

Tak jest, po raz pierwszy ujrzałem przy jednym błysku pioruna. — I najpierw załśniła mi tylko jej twarz blada a cudnie piękna — reszty postaci dowidzieć nie mogłem. — Pamiętam, że targnąłem koniem — że później on mną targnął — że niepojętym dziwem utrzymaliśmy się oba, ale jak się to stało? jakim sposobem wkrótce zrównałem się z nią i przy jej boku koń w konia sadziłem? — tego dziś jeszcze sobie wytłumaczyć nie mogę.

Długo jechaliśmy tak obok siebie w najgłębszym milczeniu, tylko już wicher zrywać się zaczynał; kiedy niekiedy szerokie krople deszczu na twarz lub ręce spadały i kiedy niekiedy znowu świstał w powietrzu ów pręt do biegu naglący — ale przynajmniej nie mojego na ten raz wierzchowca. I owszem, znać było, że ciemna postać kobiety chce mnie prawem prostego wyścigu uprzedzić. Lecz nie z Sokołem taka sprawa — mój Sokół wyciągnął się struną tuż przy ziemi i na krok przegonić się nie dał — i pędziliśmy oboje, a tylko z ruchu i ze słuchu miarkowałem, że po kamieniach lub po piasku, że po zagonach lub po łąkach pluskających wilgocią. — Nareszcie droga w górę się podniosła i galop naszych koni ocieślał trochę. Towarzyszka moja z największą niecierpliwością kilka razy syknęła — a mnie się zdało, że poza nami tętent jakiś słychać było.

— Nie — nie! aby też oni mię nie dościgną! — powtórzył kilkakrotnie ten sam głos śmiały a dzwięczny, który mi się z początku głosem młodzieńca wydawał i nie wiem, czy za jego pomocą czy za pomocą ostrogi na długość szyi końskiej ciemna postać wysunęła się przede mnie. — Deszcz już wtedy lał strumieniami — błyskanie ustało — nie widziałem nic a nic dokoła — tylko mi wśród czarnych owej nocy obrazów świeciła jakby czarodziejską sztuką dokładniej w pamięci odbita twarz tej kobiety — a twarz sama bez innych członków ciała, bez zaokrąglenia nawet w pełność wydatnej głowy — twarz jakby z srebrnej tarczy księżycy wykrojona na tle zupełnie bezbarwnego nieba.

Czyż ja chciałem ją gonić — to Sokół mój gonił przecież — gonił — i gdyśmy u szczytu góry stanęli, kopyta jego o bruk zadzwoniły. — Rozeznałem jakieś załamy murów — po odbiciu tętentu odgadłem, że się jedno i drugie sklepienie przebywa, aż na koniec brzęknął gdzieś łańcuch — rozpadła się, mógłbym najsprawiedliwiej powiedzieć: rozpękła, wzniesiona przed nami masa i niespodzianie płomienna jasność wylała się z tego otworu — domyśliłem się tylko, że to był ów gorejący zamek, do którego z innej przybyłem strony, ale przekonać w pierwszej chwili nie mogłem się zupełnie, tak mię to nagle światło oślepiło. — Gdy mi żrenica nieco przywykła do niego — ujrzałem przez

<sup>29</sup>do cieniu — dziś: do cienia. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>świshnienie — dziś: świshnięcie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>smagnienie — dziś: smagnięcie. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>instynktowie — przysł. od: instynkt; dziś: instynktownie. [przypis edytorski]



dwóch ludzi trzymaną i pąsowym okrytą czaprakiem śliczną arabską klaczkę, trochę do naszej Zitty podobną, ale daleko piękniejszej rasy jeszcze. — Ta, która na niej jechała przed chwilą — już zsiadła i zniknęła — przy mnie zaś stał Murzyn w bogatym żółtym ubiorze i niby na odebranie cugli czekał jedynie.

Gdybym się był wtedy kogo bądź tylko o drogę zapytał — gdyby konia skręcił, gdyby wrócił do domu!... ha, prawda! nic by to nie pomogło już. — Mnie też myśli podobne nie przyszły do głowy. — Zeskoczyłem na ziemię, Murzyn konia odebrał, a przy progu sieni stojący z wielką srebrną laską, żółto i czarno ubrany szwajcar, w milczeniu skłonił mi się i drzwi wskazał na lewo — poszedłem na lewo i tak ciągle niemymi znakami służących wiedziony przebyłem pełno salonów azjatyckim zbytkiem ozdobnych, aż na koniec wszedłem do małej przybocznej komnaty, gdzie dwóch chłopców naraz jako gotowych do usług stanęło.

— Co pan rozkaże?

— Jakiego pan sobie życzy przebrania?

W istocie czas było, żeby już przecie głos ludzki wywiódł mię z tego odurzenia, w którym od chwili mego przybycia zostawałem. Zapytania chłopców przekonały mię, że mój sen rzeczywistością — że ja z żywymi ludźmi mam do czynienia.

— Nic nie rozkazuję i żadnego nie chcę przebrania — odpowiedziałem im po chwili — szczególniejszy przypadek sprowadził mię w te miejsca — nie znam w nich nikogo, ale znać bym pragnął, żeby się z obecności mojej usprawiedliwić i wytłumaczyć.

Chłopcy z zadziwieniem po sobie spojrzeli.

— Przed kim pan chcesz się tłumaczyć? — zagadnął jeden z nich wreszcie.

— Przed panem lub panią waszą.

— Pana nie mamy — odparł z niejaką dumą starszy, prześliczny brunecik w szkockim ubiorze, w czarnej, aksamitnej, z orlim piórem czapeczce. — I pani jest panią tego zamku, lecz nie naszą panią — przydał drugi młodszy jego towarzysz, jaśniejszych włosów, jaśniejszych oczu, ale tak podobny pierwszemu, jak drobniejsze i nieco bledsze tylko tego samego obrazka odbicie.

— Więc chcecież mi powiedzieć, czy z panią tego zamku będę mógł się widzieć?

Rzucili okiem na zegar i prawie jednocześnie odrzekli:

— Za dwie godziny dopiero ma się bal zacząć.

— Lecz ponieważ ja na balu nie będę — niech który z was pójdzie i wcześniejsze wyrobi mi posłuchanie.

Ledwo tych słów domówilem, drzwi się otworzyły i wszedł wysoki, chudy mężczyzna cały czarno ubrany ze złotym łańcuchem, który mu po zwierzchniej sukni od ramion aż za piersi spadał.

— Moja pani — rzekł tak jednotonnym głosem, jak gdyby echo w nim tylko jego własne powtarzało słowa — moja pani pozdrawia pana gościem w domu swoim — prosi, żebyś z nią dzielił ucztę nocy dzisiejszej i przyjął, jaki sam zechcesz, ubiór dla odmienienia sukien deszczem zmoczonych.

— Proszę w imieniu moim (znowuż uczulem, że mię sen ogarnia, odpowiedziałem jednak z największą w świecie powagą), złożyć za gościnność dzięki — a na rozkazy oświadczyć posłuszeństwo.

— A zatem pan będziesz na balu i przebierzesz się? — zapytał młodszy chłopiec po odejściu wysokiego jegomości.

— Będę na balu i przebiorę się — powtórzyłem jakby z pamięci jedynie.

— Och! to dobrze! och! to dobrze! — zawołały chłopczyki i potem jeden przez drugiego zaczęli mi różne wyliczać stroje.

— Przebierz się pan za Turka, to strój taki pyszny, diamentów na nim tyle — mówił starszy.

— Przebierz się pan za minstrela! to nierównie piękniej — głosował młodszy.

— Za rycerza, mamy zbroję lekką, stalową, całą złotem nabijaną.

— Za Albańczyka, och! już lepiej za Albańczyka!

— A ja powiadam, że za króla z uczy Baltazara! to najbogatsze.

— Co też ty wygadujesz — ten pan taki młody miałby się za jakiegoś starego króla przebierać — ot, ja wiem, co on wybierze, pewno szatę lewity — wszak wiesz bracie, ową

szatę dorastającego Samuela — białą z najcieńszej kaszmirskiej utkaną wełny — panu w niej będzie prześlicznie.

— Już ja się przyznam, że bym wołał jako uczestnik tajemnic Mityry wystąpić.

I długo tak jeszcze prędką szła między nimi rozmowa, i wyliczali wszystkie przepychy, kosztowności jakby na rozkaz mój czekające, a ja do wyboru myśli i woli zebrać nie mogłem. — Wreszcie jakieś życzenie błysnęło mi w duszy.

— Czy macie strój dawnych Greków? — strój Ateńczyków? — zagadnąłem niechętnie.

— Och! są! są cudne! — wykrzyknęli oba i w ręce klasnęli.

— Są ubiory Harmodiusa i Arystogitona — ubiory świąteczne, ze sztyletami wśród wieńców bluszczowych.

— Jest ubiór mędrca Platona.

— Jest ubiór poety, zwycięzcy na olimpijskich igrzyskach.

— Jest ubiór Alcybiadesa...

Ten ostatni wyraz uderzył mię, jak gdyby własna myśl moja wyskoczyła z głowy i znów do niej cudzym chciała wrócić głosem — wrażenie było silne, lecz też przywołało wszystkie w rozmarzeniu zawieszono władze mojego umysłu.

— Nie, nie — odparłem dość prędko — nie chcę pożyczonym zbyt i kłamana postacią witać miejsc tych pani — dajcie mi skromne góralskie odzienie lub w moich własnych sukniach do niej pójde.

Skrzywił się trochę starszy chłopiec — młodszy zastanowił się przez chwilę, ale wkrótce dość wesoło uśmiechnął.

— No, ja ci mówię, że i tak będzie mu pięknie — rzekł półgłosem do brata — i oba wrócili niezadługo z najwierniej naśladowanym — ale jakże wykwinnym strojem tatrzańskiego górala.

Przywdziałem go — zupełnie dla mnie prawie zrobiony — i biała nieprzebitej gęstości koszula — i płaszcz ciemny kolisty — i pas, i kapelusz, i łapcie nawet z jedwabiem lśniącego hyka palmy uplecione. — Starszy chłopiec kilka razy przeciągnął ręką po moich włosach, włosy nigdy gładziej w bogatszych i połyskliwszych pierścieniach na ramiona moje nie spadły. — Młodszy docisnął zawiązek obuwia i noga moja nigdy swobodniejszą i lżejszą się nie poczuła. — Od czasu do czasu patrzyli mi w oczy, potakiwali głową i uśmiechali się.

Na koniec wybiła godzina pierwsza nocy, druga mojego pobytu — znów drzwi się otworzyły, znów mi skinieniem ręki drogę wskazano, znów od drzwi do drzwi, od znaków do znaków przechodziłem pokoje, schody, niby sienie wielkie, niby długie krużganki, a tłumiona muzyka przedzierała się zewsząd: ze ścian, sufitów, posadzek — a mnóstwo postaci snuło się i migąło różnokolorowymi strojami szat swoich, a każdy to uśmiechem, to ruchem głowy, to spojrzeniem się witał z innymi, a ja sam szedłem — nieznanym — nie znającym — lecz dumny i śmiały. — Ostatnie podwoje rozwarł przede mną jakiś herkulesowych kształtów Afrykańczyk z pojętym wzrokiem, z świecą od czerności skórą — jakby umyślnie postawiony tam dla przeciwieństwa z tym, co go odsłaniał, widokiem. — Bo jakież widok, moi państwo! — jakie rażące blaski od świec, od lamp kryształowych, od strojów mężczyzn i kobiet — za łada poruszeniem czoła, ręki lub szaty przewiewnej padały iskry diamentów, rubinowe połyski, a co tam głów, co rąk, co tam szat w ruchu! a ile dźwięków i tej niewidzialnej muzyki, i tego gwaru poszeptów, i tego szelestu miękkich jedwabnych materyj<sup>33</sup> — a ile woni najrzadszych kwiatów, najkosztowniejszych kadzideł, a jak to wszystko objęte z trzech stron trzema zadziwiającej wielkości zwierciadlnymi<sup>34</sup> taflami, a z czwartej przedłużone w nieskończoność jakiegoś ciemnego zagajenia, które białym kwieciami pomarańczy i świeżymi liśćmi<sup>35</sup> akacji, gwałtem się między biesiadników cisnęło; a jak to wszystko cudnie z wierzchu szklaną przyodziane kopułą, że tylko klękni i módl się, bo już ucichła burza, najczystsze niebo widzisz nad sobą i Bóg sam wszystkimi gwiazdami przygląda się, czy też to prawda, że na jego ziemi ludzie tak bardzo szczęśliwi być mogą.

<sup>33</sup>materyj — dziś D.lm: materii. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>zwierciadlnymi — dziś: zwierciadlanymi. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>liśćmi — dziś N.lm: liśćmi. [przypis edytorski]

Rzuciłem się na pierwsze bliżej spotkane węzłowie, zdjąłem kapelusz, bo mi dla skroni wszystkimi pulsami bijących już zbyt ciasnym się zdawał, przycisnąłem ręce do piersi i w słuchu, w oku zawisłem całą duszą moją.

Kilka osób przemówiło coś do mnie — popatrzyłem, nie odpowiedziałem i odeszły z uśmiechem na twarzy — one pojąć nie mogły bez wątpienia, co znaczy takie bezsłowne uniesienie przybysza — one zrodziły się i wzrosły wśród tych przepychów — ale mnie, z ubogiej rodziny najmłodszemu dziecku, mnie, biednemu górnikowi, mnie, któremu zasiane przez Cypriana fantazje tak bujno rozkrzewiły się w nieograniczone marzenia i chęci — cóż dziwnego, że przy ich pierwszym nadspodziewanym spełnieniu, trochę się zaćmiło w oczach, trochę pokręciło w głowie. Jednakże wtedy jeszcze przy niespożytych zasobach mej młodzieńczej siły, to zawsze miałem w sobie, że pomimo największej skłonności do roztopienia się w jakiejś, że tak powiem, senliwej ułudzie, pomimo najżywszej, najdziecinniejszej wrażliwości mojej; z każdą chwilą gwałtowniejszego przejścia odzyskiwałem zupełną równowagę władz mego umysłu i to zazwyczaj, co się zdawało być przeznaczonym do zupełnego stargania już nadwątlnych włókien zimnego sądu i stanowczej woli, to mię zwykle właśnie wyzwalało spod zewnętrznych wpływów — to mi sąd i wolę, kamienną wolę, wracało.

Otóż i tej nocy dźwiękami, woniami, światłami upiłem się niby wymiarkowaną na ten skutek dozą wschodniego narkotyku — lecz tuż przy mnie ozwał się dźwięk jej głosu, rozplynęła dokoła woń jej szaty, zaświecił blask jej cudnego oblicza — jam powinien był od razu stracić rozum — oszaleć... a ja właśnie na chwilę przyszedłem do rozsądku. — No, proszę was, piękne panie i młodzi panowie, nie krzywcie się tak bardzo na ten wyraz — Rozsądek — to jest kawałek owego powszedniego chleba, o który w pacierzu matki was prosić uczyły — rozsądek, najpośledniejszy wyrób ludzkiego mózgu, szmatka, na którą wszyscy ubodzy w duchu zdobyć się mogą, klej, co w spójności trzyma mędrców i prostaczków, gdy im najwyższego religiantu, gdy im miłości zabraknie. — Francuzi trochę lepsze od nas mają na to wyrażenie, oni ten rozsądek, o którym ja chcę mówić, zowią: *le sens commun* — i w istocie jest to jakiś zmysł powszechny, za pomocą którego można przyswoić sobie, można się wtajemniczyć niejako, w sposób widzenia tak ogólny, że na co spojrzę, to mi się przedstawi takim, jakim jest dla wzroku innych, a dopiero co ja tam dojrzę w przydatku, w ujemności lub w odmianie zupełnej, to już moja własność, mój twór — ale zawsze, bądź co bądź, ja do źrenicy mojej gromadzę wszystkie promienie, pod którymi ludzie bracia na świat Boży patrzą — ja mam zmysł powszechny — *sens commun* — który, jeśli chcecie, ochrzczicie sobie nawet pospolitym zmysłem, zawszeć on mię włączy w masę ogółu, zawszeć on mi nie da odpaść w dziwactwo i niepojętość. Bo, proszę was, powiedzcie mi, na co się niepojętość przyda? na co ja przydałem? — Ach! prawda, i Bóg także jest niepojęty — Bóg konieczność — Bóg przeznaczenie — lecz On ma czas, wieczność i prawdę niezjawioną — a człowiek co ma — a ja co mam? Szaleństwo...

Rozum, Chleb

Wtedy miałem jeszcze rozsądek — i widzicie, o moi dobrzy słuchacze, bez owej resztki rozsądku nie byłbym dziś w stanie powiedzieć wam nawet, jaką to była ta kobieta, co mi życie wzięła — bo jaką ją widziałem ją potem, och! to wy pewno nic byście nie zrozumieli, gdybym wam gadać zaczął — czy są też wyrazy po temu, ja nie wiem i nie szukałem ich nigdy — ale jaką ona dla innych wydawać się mogła, to wam powiem — słuchajcie.

— Wysoka była — blondyna, miała w czarnych rzęsach ciemnozielone oczy — na twarzy jakby ślad znikającego rumieńca, na spadzistych ramionach, na wydatnej piersi lekko-żółkniejącą białość marmuru. — No i cóż, wszakże jak gdybyście ją widzieli przed sobą? — Och! prawda — właśnie też — ona wysoka — ale przecież nie jak inni ludzie, wysoka wzrostem i ciałem — ona wysoka postacią — chodem — ruchem — ona wysoka spojrzeniem patrzących na nią, bo to spojrzenie musi w proch upaść — musi w ziemi utkwic pierwej, nim się ku jej obliczu wzniesie — a od ziemi do jej oblicza, to jak od ziemi do nieba — i dlatego mierzy się ją rozmiarem doznanych wrażeń i mówi: ona wysoka. — A czy blondyna? wiercie mi państwo, że ponieważ nigdy na pamiątkę nie dostałem od niej „plecionki włosów, różową wstążeczką lub błękitną pelą związanej” — nic a nic nie wiem o właściwym ich kolorze — w pierwszej chwili nazwałem blondyną, gdyż to chyba złocistych pierścieni zwoje, mogły wkoło jej twarzy roztoczyć taką jasną, przeświecającą niby wszystkimi odcieniami bursztynu, niby wszystkimi połyskami topazu

aureolę. — Co do jej oczu, to prawdę powiedziałem: były ciemnozielone, ale ciemnozielone jak malachit, nie jak szmaragd — świeciły z wierzchu odbiciem tylko — bez żadnej promienności — bez tego przezrocza, którym to czasami aż dno serca widać — jej oczy były jak nie jej oczy — były jak gdyby zamarte od dawna — jak pożyczone u trupa — najpiękniejsze, ale do patrzenia jedynie — do użytku, nie do szczęścia — co za dziwna sprzeczność z czołem wyniosłym i rysującym się w każdy wyraz myśli każdej — co za dziwna sprzeczność z licem bladym, ale zda się, gorącym jeszcze od krwi dopiero co ubiegłej — lub gorącym już od krwi, co ma z pierwszym serca uderzeniem nadpłynąć — co za sprzeczność, co za najdziwaczniejsza sprzeczność z ustami szczególnie — z tymi jej drobnymi, choć wydatnymi, z tymi jej świeżymi jak niewinność — namiętymi jak pieszczoła ustami — takie oczy i takie usta! śmierć i życie! alboż to kiedy razem się widuje — och! ja widziałem — ja też żyłem i umarłem. — Żyłem wtedy — umarłem teraz — wy żyjecie teraz i umrzecie kiedyś, niezadługo — oto cała między nami istniejąca różnica. — Powinniście mię przynajmniej z ciekawością słuchać — ja wam wszystko opowiem, jak to się umiera za życia, ale nie teraz jeszcze — teraz ja żyję — ja mam lat siedemnaście i siedzę na złotolitym wezłowie w pysznym salonie zaczarowanego zamku. — Ona stanęła przy mnie — chrzęsnęła tęga mora jej szafirowej sukni, przewionął mi koło oczu lekki białej gazy obłok, na jaśniejących włosach zaskrzyła wąska na ćwierć cała tylko, lecz równymi w całej szerokości swojej diamentami nabijana opaska i poznałem ją — poznałem twarz ową z blaskiem pioruna ujrzaną raz pierwszy.

— A kto doścignął, a kto w równi stanął? — mówiła ona — pytacie — szukacie daremnie — to on — i trącił mię po ramieniu jej wachlarz kosztownymi piórami chwiałący — podniosłem głowę i oczy — sam z miejsca nie wstałem — wszakże pojmujecie, że gdyby przed którym z was objawiła się jaka święta — gdyby wizją stanął anioł na przykład — to by żaden z was przecież nie mógł zerwać się z krzesła lub kanapy i uklonąć według towarzyskiej grzeczności przepisów. — Ja też siedziałem i patrzyłem — jej kamienne oczy przycisnęły mię do miejsca — ale jej usta — zaczynały się z wolna uśmiechem rozciągać — z wolna, z wolna, aż perłami drobnych ząbków błysnęły. — „Przyznajcie też, czy się komu bądź sprawiedliwiej należało pierwszeństwo?” — dodała, ciągle swoim wachlarzem o ramię moje wsparta.

Już na pierwsze jej słowa dość znaczne wkóło nas zebrało się grono, po tych ostatnich wyrazach jeszcze więcej kobiet i mężczyzn przybyło.

— Och! prawda. — Och! śliczny — och! piękny! — mówiono dokoła, a ja nawet nie uczułem najlżejszego pomieszania, które tak naturalnym w moim wieku i w moim położeniu mogło być uczuciem — ja patrzyłem na nią i czy mówiła, czy milczała słuchałem jej głosu tylko.

— Powiedzże mi, góralskie dziecię, wiele lat mieć możesz? — zapytała tym swoim głosem — tymi swoimi ustami.

Co za szczęście, że, jak już wam wspomniałem, każda ostateczność wtedy nową siłą wywoływała ze mnie — mogłem jej odpowiedzieć dość przytomnie.

— A pani powiedz mi także, ile to lat bywa we wszystkich dniach marzeń i w jednej ich urzeczywistnienia godzinie?

— Czy tak? — rzekła z tym samym lekkiego szyderstwa dźwiękiem, który już pierwszej wśród ciemnej nocy dosłyszałem. — Czy tak! Mój biedny góralski chłopcze? — wszystkie dni marzeń i godzina ich zrzeczywistnienia<sup>36</sup> — oho! ja ci powiadam, że to jest sto lat z górą...

— Więc ja mam sto lat z górą — odparłem spokojnie.

— Ha! ha! ha, szanowny starcze! — zaśmiała się jakaś inna kobieta — powiedz nam teraz według kalendarza datę twój urodzenia.

— Dobrze — jeśli wzajemne odbiorę zwierzenie.

— No, patrzcie, co to za mała gadzina! — ozwał się znowu jej głos wesołą pustotą w udanej surowości wyrazów zmiękczony. — Alboż to ci się zdaje, że gdzie na swoim świecie żyjesz, na tym świecie, w którym to podobno czas złoczyńca z wdziękami i szczęściem w długiej zawsze niezgodnie po krótkiej harmonii bywa. — Spójrz dokoła — czy która z nas lękać się go lub zapierać może — czy której z nas braknie piękności —

<sup>36</sup>zrzeczywistnienie — dziś: urzeczywistnienie. [przypis edytorski]

siły i uciech, prostaczku! a wiesz ty lata nasze? — ot patrz, z nas każda żyła wiek swej szaty. Właśnie ta, co cię zagadnęła, jest wielką kapłanką Izidy — i śmiała się z Napoleona, który przy jej grobie coś o czterdziestu wiekach do swoich mrówek przebaknął — ja sama...

— Ty pani — przerwałem z żywością — nic mi nie mów o sobie, ja wiem już wszystko...

— Przedziwny! on wie już wszystko — no powiedz, zawsze niech się przekonam, czy owe wszystko jest podobne do owej cząstki tego, co ja się domyślałam — gdyż naprawdę nie śmiem powiedzieć tego, co wiem...

— Pani urodziła się w którymś roku któreś olimpiady greckiej — przemówiłem bez uśmiechu, bez zająknięcia głosem stałym i pewnym jako akt urzędowy — przepraszam, iż w tej chwili stanowczo jej oznaczyć nie mogę, ale mi erudycji nie starczy na wyszczególnienie daty z tego czasu, który w ojczyźnie twojej Peryklesowym wiekiem nazywano.

Zatrzymałem się — uśmiech z jej ust zniknął — czoło jakby natężeniem szukanego wspomnienia pomarszczyło się między dwoma ciemnymi brwi łukami, wzrok jeszcze zupełnie zastygł w źrenicy.

— No mów, dalej — mów dalej, wieszczbiarzu.

— Ja nie wieszczbiarzem, ja, pani, przepowiedzieć bym nie mógł ani jednej chwili z przyszłości, ani jednego z jej zamiarów — ja tylko przeszłość widzę — jak historyk.

W tej przeszłości imię twoje było: Aspazja.

Gdyby jej oczy mogły były spoglądać, nie patrzeć tylko, to bym zapewne do głębi mej piersi poczuł ich przenikliwe i długie spojrzenie — ale ona choć wzrok swój badawczo zatrzymała na mnie, uderzyła jedynie, wskroś przejąc nie mogła — inne rysy jej twarzy odbiły lekkie ulotne zadziwienie i znów pierwszy swój wyraz odzyskały, nie mogąc powiedzieć wrodzonej, lecz jak gdyby przedsięwziętej pustoty.

— Prawdę rzekłeś — odezwała się po chwili — jam Aspazją — a ty?

— Mnie rodzice Beniaminem nazwali.

— Więc ty Beniamin! Oho! Beniamin to znaczy dziecię ukochane, dziecię wypieszczone, dziecię szczęśliwe — dziecię kochające.

— Tak jest, pani — to znaczy to wszystko.

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołała Aspazja — on jest kochany i kocha — potem siadłszy obok mnie tak blisko, że czułem z każdym jej ruchem każdy ruch dotykającej mnie szaty — jakże ty kochasz Beniaminie — dodała z półuśmiechem tak wyzywającym, tak zalotnie czarownym, że wszystkie żyły gorętszą krwią plusnęły.

— A jak ty kochasz, jak ty kochasz, kobieto Aspazjo?

— Hej, dziewczęta! przynieście mi lutnię — ja kocham jak śpiewam, a wiem, że kocham, tylko wtedy, kiedy śpiewam.

W stojącym z dala gronie młodych niby kwiatki wiosenne dziewczynek pewien ruch się zrobił — i prędzej niż dopatrzeć zdołałem, jedna z nich już żądaną podawała lutnię.

Czy to prawdziwa tylko lutnia była? kształt dość podobny, ale z kryształu i struny złote z srebrnymi mieszane.

— Jak ja kocham? — powtórzyła niby rozmarzona, niby rozmyślająca — jak ja kocham? — i ręka jej trąciła o wszystkie struny od razu, a ręka tak muskularnie silna, pomimo najdoskonalszego zaokrąglenia, pomimo najdelikatniejszej czystości wszystkich rysunkowych obwodów, że od jej uderzenia struny ledwo nie pękły, że zamiast wydania dźwięku one krzyknęły prawie — i od ich krzyku wszystko ucichło w salonie.

W głuchym milczeniu czekano pieśni.

— Och! „ja tak” kocham! — zawołała Aspazja i niespodzianie w przeraźliwym jęku wszystkie struny zerwały się pod jej palcami i odepchnięta lutnia z szklistą skargą o marmur posadzki rozbrzękła.

Aspazja powiodła wkoło siebie okiem i dumnie śmiać się zaczęła.

— Czy rozumiecie, co to znaczy? — to znaczy, że ja kocham jak Bóg — zniszczeniem i tajemnicą.

— Nie, pani, to szatan tak nienawidzi.

— Co ty wiesz, góralski chłopcze? — co ty wiesz, Beniaminie. — Szatan i Bóg, nienawiść i miłość, czyż to nie dwa oblicza nieskończoności? — a odwróciwszy się ode mnie:

— Ja kocham jak Bóg — mówiła do drugich. — Miłość Boga czyż to nie jest najwyższa wyłączność — najzupełniejsze zniszczenie — najnieprzystępniejsza tajemnica? — To co trwa, to co istnieje — to Bóg wyrzucił z siebie i to jest światowe albo ludzkie — Przeszłość tylko, której nikt nie zapamięta, jest z Bogiem — przyszłość, której nikt nie odgadnie, jest w Bogu. — Życie gasnące wraca do Boga — umierający z Bogiem się łączy — dziewica, która zakonną przysięgę wymawia, Bogu się oddaje — Bóg wiecznie kocha, bo wiecznie posiada — wiecznie posiada, bo wiecznie niszczy. — Cóż wam się zdaje? że On ma tylko ziemię i Niebo? gwiazdy i słońca? błyskawice i pioruny? — Szaleni! to wy macie — on ma to, czego wzrok wasz nie znieważy — ręka nie dosięgnie — i myśl nie zbeczcześni<sup>37</sup> — on ma tajemnicę i zniszczenie. — Początek i koniec — narodziny świata i zgon. — Według słów Pisma, czyż nie wiecie: że gdybyście tknęli własności Jego — on by przestał być Bogiem, a wy byście się stali Bogami. — Toć przecie on musi kochać tę własność, która go Bogiem stanowi, a nie tę wypożyczoną jałmużnę, z której wy się radujecie. — Szaleni! — Szaleni! — Jeszcze raz powiadam wam, że ja kocham miłością bożą — kocham to, co moje — a moim jest to, co tak do mnie należy jak przeszłość do Boga — jak zakonnica do przysięgi — jak zapomnienie do tajemnicy — moją jest ta lutnia stłuczona, moją pieśń, której nie odśpiewałam — moją ta perła jedynie, którą, przykładem Kleopatry, rozpuszczoną z napojem wypiję — moim ten, co legnie w grobie. — Patrzcie, jak zbladło biedne dziecko — och! ty zapewne inaczej kochasz, Beniaminie. — Grajcież, śpiewajcież temu dzieciątku wasze kłamliwe piosenki.

Domawiając tych słów uragliwych, Aspazja wstała, a na jej miejsce dwóch chłopczyków zbliżyło się do mnie. Byli to ci sami, którzy mi w przebraniu moim pomagali. Uśmiech dowcipu i wesołości dziecinne ich twarze ożywił. Zasedli sobie jeden po jednej, drugi po drugiej stronie mojej; wychylili się przede mną; i patrzyli mi w oczy ciekawie, a złośliwie jak dwaj studenci przed splataniem niespodziewanego figla albo jak dwa chochliki zdmuchujące młodej dziewczynie wszystkie pobożne wyrazy z kartek otworzonej do pacierza książki.

— Otóż kiedy pani Aspazja chce tego — rzekł starszy na koniec — zaśpiewam ci, górалу, ale szkoda, że nie zrozumiesz mej pieśni, gdyż ja z natchnienia śpiewam po włosku jedynie — to język mojej natury, to ojczysta najmiłsza mowa moja.

— Niech cię nie wstrzymuje tak mała przeszkoda, braciszku — odezwał się młodszy — będę tłumaczył wiernie według myśli i ducha wszystkie stanze twej improwizacji. — A czy słuchacz zgodzi się na to?

— Słuchacz zgodzi się na wszystko. — Czy widzisz, jak mętnym i zadziwionym okiem spogląda wokoło. Ludzie do zadziwienia skłonni nie sprzeciwiają się nigdy i nikomu; śpiewaj więc, śpiewaj śmiało, a z ogniem i natchnieniem.

Dobrze, braciszku! wyświadcę ci też samą przysługę i tłumaczyć będę pieśń twoją, chociaż z mej strony jest to nierównie większym poświęceniem, nierównie trudniejszą pracą. Ciebie tak często zrozumieć nie można.

— O niegodziwy chłopcze!... bracie Kainie.

— Z wolna, z wolna, łagodny Ablu, to ma znaczyć tylko, że twój język mniej znany, mniej ludziom przystępny. — Niech sam Beniamin osądzi, — i zwracając się ku mnie — mój brat — rzecze on — w starożytnej celtyckiej mowie improwizuje zawsze — chcąc tę mowę bajeczną i umarłą przełożyć na wyrazy zrozumiałe dla dzisiejszych, dla góralskich uszu, wszakże stokroć większego wysilenia trzeba, niż kiedy idzie o dowolne prawie objaśnienie żywego narzecza.

— Zobaczmy, zobaczmy; ja cię przestrzegam tylko, synie<sup>38</sup> Jakubów, miej się na ostrożności, gdy mój brat śpiewać zacznie, bo chociaż to najlepsze, najniewinniejsze, najczystsze dziecko ze wszystkich dzieci, które dotychczas przed skończeniem piętnastego roku życia swojego pomarły, ma jednak lekką skłonność do kłamstwa, zbytków, rozpusty, pijaństwa i mordów. — Aspazja, która nam losu według zdolności dobiera, przyrzekła

<sup>37</sup>zbeczcześnić — dziś zbeszcześcić. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>synie — dziś: synu. [przypis edytorski]

mu bardzo świetny zawód... w najgorszym razie tron wielkiego Mogoła przynajmniej. — Strzeż się więc, strzeż, kiedy śpiewać zacznie.

— A ja ci mówię, strzeż się brata mego, gdy śpiewać nie skończy, bo chociaż on dowcipniejszy, mędrszy, poważniejszy niż wszystkie szczury, które się kiedykolwiek dyplomatycznymi papierami japońskich i chińskich mandarynów utuczyły, lecz jest przy tym trochę dobroduszny, ślamazarny, romansowy, nerwy ma zdrażnione, mózg użyciem opium wzburzony, niektóre władze umysłu przytępione już, niektóre władze ciała niezbudzone jeszcze — słowem, powiadam ci, że Aspazja, która nam losu według zdolności dobiera, dla niego nie znalazła nic — radzi mu jednak wszystko stawić na kartę i pojechać do Niemiec, tam jedynie może się brat mój na przyzwoitego wy kierować człowieka, objąć katedrę filozofii albo się zapić piwem bawarskim.

Długo jeszcze słowa tej sprzeczki, tych żartów pustackich krzyżowały się przede mną niby race kongrewskie dwóch dziwacznych fajerwerków — chłopcy mówiły tak prędko, że nie miałam czasu nawet spytać ich się: — Kto wy jesteście? — czego chcecie ode mnie? — Nareszcie młodszy wyprostował się i umilkł, a starszy poprawił aksamitnego kołpaczka, kilka razy ręką przetarł czoło, zasłuchał się na chwilę w stłumionej, lecz rozkosznie dokoła brzmiącej muzyce i uderzając się w piersi:

— Ja jestem śpiewak prawdy! — zawołał — a to niewierny tłumacz mój — przydał, wskazując na brata — i zaczął nareszcie improwizację swoją, lecz mimo danego ostrzeżenia, zaczął ją po polsku, czystym i do taktu dzielonym głosem:

Biedne było serce moje,  
Gdy bez echa, w pierś samotną  
Uderzało przepelnione  
Niepojętych pragnień krwią.

Wtedy wszędzie na tym świecie,  
Na tym świecie tak szalonym,  
Tak diabelsko wyzłoconym,  
Że bierz tylko garścią pełną  
Wody, ognia, krwi czy błota,  
To się zawsze dojmiesz złota;  
Na tym naszym pięknym świecie,  
Tym jedynym, ukochanym,  
Szachrującym, oszukanym,  
Rozśmieszonym, rozplakany,  
Całującym, wojującym,  
Hulającym, stękającym...  
No, czyż wiarę dać możecie:  
Jam się nudził na tym świecie.

Z moich książek i kajetów,  
Z wonnych kwiatów świeżych łąk,  
Z łysin moich profesorów,  
Z srebrnych chmurek na błękiecie,  
Nawet z szklanki i z talerza,  
Nawet z grzywy klaczki mej —  
Wszędzie, wszędzie przed mym okiem  
Wychylała się straszliwa,  
Żółta, blada, obrzydliwa,  
Ziewająca, głupia, stara  
Ta choroba — ta poczwara,  
Co się... co się nudą zwie!

I nie chciało mi się jeść,  
I nie chciało na koń sieść,  
I nie chciało z śmiesznych śmiać,

I nie chciało mi się pić,  
I nie chciało mi się żyć:  
Tylko mi się chciało spać.  
O, spać, spać, spać bez ustanku,  
Od wieczora do poranku,  
Od poranku aż do nocy,  
Gdyby w ludzkiej było mocy,  
Ja na całe lata, wieki,  
Byłbym zamknąć chciał powieki —  
Bo gdym zamknął — Ach! to cuda,  
Czyż wyśpiewać mi się uda,  
Com ja widział, roił, śnił,  
Kim ja byłem, gdzie ja był?

Ach to cuda! — Lecz na jawie,  
Choć to wszystko trwało prawie,  
Chociaż czułem, że mi płoną  
Lice, usta, piersi, łono  
Od całunków, od pieszczoty —  
Choć jedwabnych włosów sploty,  
I dłoni miękką, ciepłą, małą,  
Pod którą mi serce drżało,  
Ja tak czułem jak w dotknięciu,  
Ja tak miałem jak w ujęciu...  
Przecież... przecież... O przekleństwo!  
O szyderstwo! o męczeństwo!  
Taką rozkosz, szczęście śnić —  
A być głupim — dzieckiem być!...

Toć ja nawet nie umiałem  
Nazwać tego, a szalałem;  
Łzy po twarzy nieraz ciekły,  
Nieraz palce gryzłem wściekły,  
O mur głowę rozbijałem,  
Albo ręce wyciągałem,  
By ta postać niedojrzana,  
Niepojęta, nienazwana,  
Ach! ta postać by wcielona  
Sama zbiegła w me ramiona —  
By pierzchliwych marzeń rój  
Padł na koniec, widny, żywy,  
Sksztaltowany<sup>39</sup> i prawdziwy —  
W namiętny uścisk mój!

Teraz, dosyć już przeżyłem  
W niepokoju długich nocy —  
I w tęsknocie długich dni —  
Teraz ja wiem, jak się zowie  
Każde serca uderzenie,  
Każda moja gorzka łza. —  
Teraz ja wiem, jak się zowią  
Senne marzeń mych widziadła  
I czczość młodych moich lat —  
Czym są dłonie wyciągnięte,  
Czym westchnienia pierś wznoszące,

---

<sup>39</sup>sksztaltowany — dziś: uksztaltowany. [przypis edytorski]



Czym są usta pałające,  
Czym są tętna krwią bijące  
I czym życia cudna pieśń...

O, ja wiem, ja znam, ja śpiewam,  
Ja dziś wołam i nazywam —  
Kobietą! kobietą! kobietą!  
Pójdź, kobieto piękna, moja,  
Wymarzona, wyczekana,  
Wypragniona, wywołana,  
Do mnie! do mnie pójdź!

O, ja kocham cię, kobieto!  
Kocham ciemne twoje oczy,  
Kocham połysk twych warkoczy,  
Kocham wzniosłe czoło twe! —  
Kocham ślad twej drobnej stopy,  
Kocham głosu twego dźwięki,  
Kocham białość twojej ręki,  
Kocham tchnienie twoich ust. —  
Kocham jedwab twojej szaty,  
Kocham spinkę, która świeci,  
U przepaski twej kibici.  
Kocham perły z szyi twej. —  
Blask diamentów na twej skroni,  
Wachlarz, co nim dłoń twa chwieje,  
Gazę, coć on z piersi zwieje,  
Twej postaci kocham cień.  
Piękna moja! luba moja!  
Do mnie, do mnie pójdź kobieto:  
Ja kochankiem, ja poetą,  
Do mnie! do mnie! do mnie pójdź!

Daj mi rękę, luba moja!  
Przez świat idźmy! niech się dziwi,  
Jak my młodzi i szczęśliwi,  
Jaką piękną ty!  
Przez świat idźmy! niech zazdrości  
Mnie twych pieszczot, twej miłości,  
Tobie pieśni mej. —  
Ale strzeż się — och, przez Boga!  
Niech ja ciebie, moja droga,  
Nie zazdroszczę mu!  
Bo gdy wspomnę, że spojrzenie,  
Że twój uśmiech, że westchnienie  
Wziąć by mi kto mógł —  
To mi tak coś w oczach błyska,  
To mi tak coś ręka ściska,  
Jak ogień — jak miecz. —  
Zaraz czuję, że twarz blada;  
Zaraz widzę, że trup pada,  
A choć nie wiem czyj,  
Mnie tak zimno wkoło serca,  
Jakby trup ów lub morderca,  
Moje piersi miał. —  
Mnie tak straszno, mnie tak ciemno,

Jakbyś ty nie była ze mną,  
A był przy mnie grób. —

O, ja nie chcę takich myśli,  
O, ja nie chcę cierpień takich,  
Zawrót głowy mam. —  
Precz, precz z nimi do szatana,  
Ty mię kochasz, tyś kochana;  
Z drogi, z drogi nam!

Jesteś moją — jam szczęśliwy —  
Hej muzyka! tańce! śpiewy!  
Hej kielichy i puchary!  
Szampan, porto, węgrzyn stary,  
Niech zaszumią, niech popłyną!  
Pijmy rozkosz — pijmy wino —  
Bo czas biegnie, a śmierć goni,  
A czy będzie tam co po niej —  
O to starych mnichów pytać!  
Nam dziś tylko życie chwycić;  
Nam dziś szaleć i ucztować;  
Nam dziś pieścić i całować —  
A kto chwilkę choć zmarnuje,  
Wszystkich sił nie wycaluje:  
Wszystkich beczek nie wytoczy,  
Kto na wieki zamknie oczy,  
Kiedy jeszcze mu zostanie  
Niedopita kropla w dzbanie,  
Albo z jego własnej winy  
Jeden uścisk u dziewczyny,  
Jedna w sercu jeszcze chęć...  
Temu hańba! tego właśnie  
Niechaj jasny piorun trzaśnie,  
Niechaj porwie diabłów pięć!!!

Głośny wybuch śmiechu zakończył niby punktem to piekielne marnotrawstwo dowcipu i talentu. — Chciałem się znowu odezwać, lecz mnie uprzedził młodszy chłopczyk, ciągle dotychczas bez ruchu, jak porcelanowa figurka po prawej stronie mojej siedzący.

— A teraz, szanowny słuchaczu — rzekł do mnie — zechciej to wszystko w prostej mowie przyjąć od pokornego tłumacza.

— Śpiewak, o ile się zdaje, niedorostek jeszcze, ale krwistego temperamentu, powiada, że go już wszystko nudzić zaczynało — nie śmiał się nawet z łysin swoich nauczycieli, co znaczy, że pierwaj musiał z nich często nieprzyzwoite stroić żarty, a więc był złym jak osa, jak żmija, która przy piersi rozgrzana itd.

Śpiewak stracił apetyt i pić już nie lubił — co uważa za największe nieszczęście swoje, a więc dowodzi, iż był łakomy, niewstrzemięźliwy i do grzechu głównego obżarstwa skłonny.

Śpiewak opowiada potem sny swoje i marzenia, które są największym poparciem tego zdania: iż nieświadomość a niewinność wielce się różnią.

— Śpiewak oświadcza wreszcie, iż nawet nieświadomość ową już postradał zupełnie — dziś kocha jakąś kobietę, co ma ciemne oczy, białe ręce i małe nogi, a która musi być dosyć bogatą, gdyż się stroi porządnie w perły, jedwabie, gazy, diamenty.

Śpiewak chce, żeby mu jej zazdrościli wszyscy, lecz żeby on jej nie zazdrościł nikomu — bo o ile mogłem z trochę ciemnej groźby zrozumieć, ma trochę tureckie w tym względzie pojęcia — ogniem i mieczem strasz, z lekka nawet o grobie kochanki nadmienia

— z pewnością jednak nie powiada, czy ją czy siebie, czy kogo innego zabije, lecz mnie się zdaje, że swoją osobę właściwie pod największą wątpliwością zostawia.

Następnie wszystkie te czarne myśli spędza śpiewak jak naprzykrzone muchy z nosa — radzi pić wino, całować dziewczęta, póki tylko życia stanie i kończy tym bardzo dobitnym wyrażeniem, by każdego, co inaczej postępuje, jasny piorun trząśł i pięć diabłów porwał — nie wiem dlaczego pięć? — ażali<sup>40</sup> to jest rym tylko lub też kabalistyczna liczba lub też ilość ilości zmysłów odpowiednia?

Krótkie te zdania śpiewaka, ozdobione są pasażami, forszlagami, fioriturami i tysiącnymi naddatkami, z których to jedynie wycisnąć można, że pieśń gorączką — a jej śpiewak — lotrem.

Teraz niechaj mnie łaskawe twoje uszy posłuchają — no! uważaj tłumaczu — i w tejże chwili zmiana ról nastąpiła. — Mój sąsiad z lewego boku, który przez cały ciąg tłumaczenia najniespokojniejszymi ruchami oburzenie swoje objawiał, nagle przycichł i zniechęcił, a brat jego wdzięcznym głosem tak pieśń swoją zaczął.

— Przepraszam was moi państwo, muszę się trochę namyślić — tej pieśni zapomniałem; czekajcie chwilę maleńką — ot, już ją mam — tak! to ona właśnie...

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi  
Białe anioły z skrzydłami białymi,  
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie  
Serce człowiecze, to je drogą świata  
Ponad kałuże, błota i przepaści  
Niosą bezpiecznie, czyste, nieskalane,  
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione,  
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane. —  
A jam się pytał: gdzie anioły takie?  
A przy mnie wtedy matka moja stała,  
Włos rozgarnęła, czoło całowała:  
I rzekła tylko — Tam, synku maleńki,  
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie. —  
O, prawdę, prawdę matka powiedziała,  
Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,  
I spokój serca, i myśli tam w niebie,  
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie. —  
Miłość kobiety — to świętość i cnota,  
Szczęście i siła — mądrość i natchnienie;  
Miłość kobiety — to pierwsza pieśń,  
Co biedne dziecko na tej ziemi wita! —  
To pierwsza kropla pokarmu i życia,  
Którą niemowlę w głodne usta chwyta.  
To pieśń twej matki, która ci kłęząca  
Przy twej kolebce na uspienie nuci; —  
Miłość kobiety — to błogosławieństwo,  
Rada i wsparcie, które Bóg ci daje  
Na długą podróż przez nieznanne kraje,  
Po śliskich ścieżkach złych i dobrych losów. —  
Miłość kobiety — to z twą siostrą młodą  
Wspólne marzenia i długie rozmowy  
O twej przyszłości, o zamiarach twoich,  
O tej nadziei młodzieńczego serca,  
Co ci spełnienie pięknych czynów wróży,  
A w którą ona tak ufa, tak wierzy,  
Że kiedyś może ty już wątpić będziesz,  
A ona jeszcze wierzyć nie przestanie,  
Miłość kobiety — to ręka podana  
W chwili złych myśli i pokus szatana;

<sup>40</sup> *azali* a. *azali* (daw.) — czy. [przypis edytorski]

To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy  
 Chęci szalone, żądze niespokojne,  
 Namiętności nasienia zdraдлиwe,  
 I pierwiej nim się w truciznę rozplenią,  
 Nim święty serca skalają przybytek,  
 Nim przejmą czysty ducha twego promień —  
 Pierwej, chryzmatem uczucia święcone  
 W szczęście wyrosłe i w cnoty wszczepione. —  
 Miłość kobiety — to nagroda twoja  
 Przy trudnej pracy męskiego zawodu,  
 To przy rodzinnym ognisku kapłanka,  
 Błogich dni życia i uciech domowych!  
 To głos radości, co na progu wita  
 Wracającego spośród obcych ludzi;  
 To białe ramię, które szyję twoją  
 Okrąży słodkiej pieśczoży objęciem  
 Kiedyś znużony i wierzyć przestajesz,  
 Że jeszcze takie serca są na świecie,  
 Które ci żywszym biciem odpowiedzą,  
 Gdy ręka twoja do nich zakołata,  
 Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata, —  
 To są te usta coć powiedzą<sup>41</sup> wtedy:  
 „Przebac i kochaj, bo jesteś kochany”.  
 To jest ta losu niemyślność jedyna,  
 Co gdy świat cały błotem cię zarzuci,  
 Gdy ty sam nawet skłóćisz się z sumieniem,  
 Ona ci jedna zostanie i zawsze  
 Przychylnie dłonie ku tobie wyciągnie,  
 I przed niechęcią ona cię otuli  
 W śnieżysty rąbek swej szaty niewinnej,  
 I przed zgryzotą ona cię osłoni  
 Własnego serca boleścią i łzami,  
 I przed występkiem ona cię obroni  
 Swoją świętością i swymi prośbami,  
 Ty ku niej idąc, złe drogi porzucisz,  
 Ty za nią idąc, znów do nieba wrócisz. —  
 Miłość kobiety! — o ja z darów bożych,  
 Niech sobie tylko ten jeden uproszę —  
 Ja będę wielki, cnotliwy i święty,  
 Samolubnego zrzeknę się starania  
 O własne zyski i własne rozkosze,  
 Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,  
 Wiele dobrego bliźnim moim zrobię,  
 I wiele złego bez szemrania zniosę,  
 Pobłogosławię tym, co kląć mi będą,  
 Uścisknę rękę, która cios mi zada,  
 Otrę łzę każdą lub razem zapłaczę  
 Z każdym, kto innej nie chce mieć pociechy,  
 Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę,  
 Zapomnę siebie — lecz niech o mnie święta,  
 Niech kochająca kobieta pamięta...

— Ta ta ta ta! — dość tego braciszku — przerwał nagle zamówiony tłumacz — dość tego, bo ja zapomnę i Beniamin odjedzie, nie wiedząc nawet, co mu tak długo nad uchem brzęczało — to zaś jest w najprawdziwszym znaczeniu rzecz taka:

<sup>41</sup> *coć powiedzą* — konstrukcja z partykułą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: co ci powiedzą. [przypis edytorski]

Mój najckliwszy braciszek słyszał od mamy, że kobieta, która kocha, jest aniołkiem, rozpamiętywa te piękne słowa i wypada mu, że w istocie, ponieważ bardzo jest wygodnie mieć najpierw mamkę, potem niankę, potem siostrę, która wierzy wszystkim przechwałkom, potem żonę, która zawsze potakuje, całuje, zapewne jeść gotuje i skarpetki robi — a więc kobieta jest aniołkiem, a więc jegomość przyrzeka nawet, że będzie bardzo grzecznym, jeśli takiego aniołka dostanie, a wszystko razem wzięte, przewielebny słuchacz, wszystko razem — i niucha tabaki nie warte. Jest to sobie nędzna, a nieszczerza parodia tego, co pierwaj wręcz powiedziałem — ja mówiłem: „chcę kobiety” — on też mówi: „chcę kobiety” — ja mówiłem: „chcę kobiety, żeby mi szczęście dała” — on też mówi: „chcę kobiety, żeby mi szczęście dała” — za panią matką pacierz — młynkował pod wiatr językiem, ale zawsze toż samo ziarno — żal mi ciebie, że przy pierwszych odwiedzinach musiałeś tak długo tych wszystkich bredni słuchać. — W nagrodę powiem ci ich króciuteńki sumariusz — powiem ci, czym jest ludzkie przeznaczenie. — Jest szaradą, której się od prawdziwych mędrców nauczyłem — ale mój drogi, zaklinam cię na wszystko, nie zdradzaj mnie przed prawnikami, autorami, reformatorami, hipokrytami, głupcami i pocziwymi ludźmi. — Oto jest: pierwsze życie — druga śmierć, a wszystko razem, — używaj, używaj, używaj! — Na ostatni wyraz oba malce zachychotały<sup>42</sup> głośno.

— Więc i ty się śmiejesz — rzekłem do młodszego, za rękę go biorąc.

— O, ja najbardziej — cisnął mi wesoło i skłoniwszy się prędko, uciekł wraz z bratem swoim — mnie wtedy okropny smutek ogarnął, spuściłem oczy, bo czułem, że mi się łzami napelniają, a nie chciałem dać łez moich na pośmiewisko tym ludziom bez serca. — Żywą sprzecznością stanął mi w pamięci nasz ubogi rodzinny domek i przesunęły wszystkich moich ukochanych postaci. — Żal mi się zrobiło tej dumnej, pięknej kobiety, którą ja byłbym przed chwilą nad świętą matkę moją, nad wszystkie siostry moje ubóstwił. — Żal mi się jej zrobiło, bo czułem już, jak to można nie kochać jej, a kiedy ja nie kochałem, to któż ją mógł kochać? — i zdjęła mnie wielka litość, i wzniósłszy powieki długo wśród tłumu szukałem jej spojrzeniem, aż na koniec z dala siedzącej dostrzegłem. — Nie patrzyła na mnie — jakiś mężczyzna mówił do niej, ona słuchała i bawiła się niedbale zwojami białej gazy, co jej niby obłok przejrzysty od diamentowej przepaski na głowie po ramionach i całej spadała kibici. — Była ona tak piękną, tak spokojną, tak uważną na to, co jej prawil ów mężczyzna za patrycjusza rzymskiego przebrany, jak gdyby to nie ona przed chwilą odezwała się bluźnierczymi słowy, jak gdyby nie ona drażniła ze mną pieśniami swych paziów. — Zapomnienie maską niewinności przyłgnęło do jej twarzy.

Nie mogłem na ten widok oburzenia mego powściągnąć — wstałem, poszedłem; tuż przy niej stanąłem.

— „Żegnaj pani” odezwałem się; — lecz ona niecierpliwie brwi zmarszczyła i znak milczenia mi dała.

A więc, pomyślałem sobie, niewitana, niezegnana, zostań tutaj w zbytkach twoich — między mną a tobą na wieki wieków niepamięć zapadnie — i chciałem odejść, — lecz ona jakby zgadując zamiar mój, nie odwróciwszy się, nie spojrzawszy nawet, wzięła mnie za rękę, a młody patrycjusz tymczasem rozwijał jej w naukowych wyrażeniach architektoniczne plany względem podźwignięcia i zastosowania do użytku lub ozdoby wszystkich ruin wiecznego miasta, a ona podawała mu nowe pomysły, chwaliła, poprawiała go, jak najbieglejsza w tej sztuce mistrzyni, a ja dziwiłem się trafności sądu i gruntowności jej nauki.

— Czegóż chciałeś, moje dziecko? — zapytała mnie wreszcie zupełnie niespodzianie wtedy, gdy mi się zdawało, że już ani myśli o mnie i że przez zapomnienie tylko dłoni mojej nie wypuszcza.

— Przyszedłem pożegnać panią — odpowiedziałem, ale trochę mniej pewnym głosem i bez oburzenia żadnego.

— Jak to, pożegnać? czy słońce już zbyt jasno świeci, a moje lampy zbyt ciemno już płoną?

<sup>42</sup>zachychotać — dziś: zachichotać; oba malce zachychotały, dziś: obaj malcy zachichotali. [przypis edytorski]

— O nie, pani, słońce jeszcze nie wstało, a wonna lamp twoich oliwa czystym światłem goreje, ale ja cię pożegnać przyszedłem, bo mi tu nie dobrze, bo mi gorzko, smutno, duszno.

— Przyznaj się, że ci musiały moje małe szatanki dokuczyć.

— Prawda, pani, dokuczyły okropnie, okropnie! —

— To cóż? alboż ty słabszy od nich? czemu się nie zemściłeś? mogłeś ich wybić, odpędzić od siebie albo też im nawzajem moralną piosnkę zaśpiewać. — Ja sama byłabym jej słuchała, bo już tamte znam, a twojej ciekawą jestem.

— Nie, pani, ja bym tu nigdy nie zaśpiewał żadnej piosnki mojej, nie wymówiłbym żadnego słowa ze słów uczuciu święconych.

— A to dlaczego? przez nieśmiałość, dumę, lękliwość, wzdargę czy nieufność?

— Przez pobożność jedynie, żeby relikwia mego serca nie przywiodła do nowego grzechu ludzi, co szydzić i bluźnić umieją.

— Więc to, jak widzę, doprawdy między wami od żartu aż do gniewu przyszło — no, uspokój się, zawołam ja marszałka dworu i każę temu starszemu lucyperkowi dać różgą, bo zapewne on musiał cię w zły humor wprowadzić, ostre ma zęby, a jak nimi kasać zacznie, to aż żywej żółci dojmie czasem... hej panie Seweriuszu!...

— O, przez litość, nie żartuj tak pani.

— Ależ ja nie żartuję — ja się zupełnie, szczerze, prawdziwie bawię.

— To nie baw się pani mną — i chciałem rękę wysunąć, lecz mi ją silniej jeszcze jej drobne palce ścisnęły.

— Słuchaj, Beniaminie — rzekła mi ze swoim czarodziejskim półśmiechem na twarzy — przesłicznie konno jeździsz, piękny jesteś jak przypomnienie dawnych czasów, kiedy się natura nie zubożyła jeszcze, kiedy musiało być mniej ludzi na świecie i kiedy każdy człowiek był zbiorem owych pierwiastków siły, wdzięku i szczęśliwości, którymi się później rozdrobnieni jego następcy dzielić musieli, jak dzieli trupem wylęglę z niego robactwo — piękny jesteś, sama ci to przyznaję, ale nie gniewaj się — ale... bardzo nudny także.

— Nie gniewam się i nie dziwię — pani tylko gniewać i dziwić możesz, bo nie wiesz, kogo w progi swoje przyjąłeś. Ten ubiór, co ci się wydaje zapewne chwilową igraszką upodobania, jest właśnie jedyny, w którym stanąć przed tobą bez oszukaństwa mogłem. — Góralem jestem — biednym, ubogim chłopcem — źle mi wśród was, źle i wam być musi z przybyszem, co ani pojąć, ani uznać nie chce tej saturnalii uczuć, rozumu, bogactwa — tych zbyteków marnujących naturę i człowieczeństwo. — Żegnaj, żegnaj pani na zawsze, widziałem obok ciebie nagromadzone wschodnich powieści przepychy, widziałem tłumy strojnych i wesołych ludzi, widziałem starców piętnastoletnich, co dla zabawy i wysmiania twych gości przerzucali sobie w najohydniejszych myślach i w najświętszych wyrażeniach, jak w cackach do zepsucia przeznaczonych, jak w wyrzuconych na śmiecie klejnotach. Widziałem ciebie pani tak cudną i zachwycającą, że w pierwszych chwilach upilem się blaskiem twojego oblicza i myślałem już, że tobie „Aspazja” na imię — ale widziałem ciebie kobietą bogatą tylko, uczującą, mądrą, dowcipną, szyderczą i dlatego odchodzę — i odchodząc skarżę cię pani przed sumieniem twoim, bo mogłaś być hojniejszą dla spotkanego na swej drodze prostaczka, mogłaś mu zostawić objawienie swoje do najgorętszej życia modlitwy, mogłaś mu sprawdzić choć na chwilę przyobiecany jego nadziejom ideał, los dał ci wszelką ku temu sposobność, ale ty, pani, skarby złota cisnęłaś na huczne biesiady — skarby umysłu na gawędki płonne, a piękność swoją stawiałaś na zadziwienie tylko, więc też zbłąkany góral opuści twój zamek bez jałmużny dobrego wspomnienia nawet, strząsnie pył z obuwia swojego i tylko opowiadając kiedy tę nocną przygodę rodzeństwu albo towarzyszom swoim — nazwie cię pani „ta obca kobieta”.

— Mylisz się, Beniaminie — nazwie mię zawsze — „ta piękna kobieta” i wróci, o, wróci do mnie.

Jej głos był śpiewem — pocałunkiem — zakłębieniem, a jednak puściła rękę moją — zapewne chciała siły uroku próbować — ja się przed nią w milczeniu skłoniłem i wolnym krokiem odszedłem — przy samym progu raz tylko spojrzałem na nią jeszcze — siedziała nieruchoma, zamyślona, bez uśmiechu, ale i bez smutku — jej oczy szły niby za mną, ale jej oczy nie wołały mnie — piękny posąg — mistrzowska rzeźba w marmurze, — spuściłem więc kosztowną podwoi zasłonę, a tylko było mi smutno jak po pierwszej

w życiu omyłce. Z pośpiechem przebrałem się, podano mi mego konia, dosiadłem go i pędziłem ku domowi. We mgłę porannej kąpane czoło coraz bardziej chłodło z nocnych zjawisk i wrażeń. — Wstydz się, szaleńcze — mówiłem sam do siebie — wstydz się, ty, co kochasz Aspazję, a mącisz jej obraz spojrzeniem pierwszej ładnej kokiety, która przypadkiem na twojej drodze staje — czyż w tobie tylko gra ciekawość życia? — czyż niespokojność wyobraźni przemawia jedynie? — czy ty szukasz zdarzeń i okoliczności, czy dobierasz opisowych wypadków do powieści jakiejś, czy to każda niezwykłość bawi cię i uwodzi? czy też masz w sercu życzenie, którego nie odstąpisz? prawdę, której nie skłamiesz, choćby ona skłamała tobie, ku której iść będziesz, choćby ona przed tobą aż poza grób uciekła. O nie, dumna, dziwna kobieto! nie wrócę ja do ciebie, nie przeniewierzę<sup>43</sup> się nadziejom moim, oblubienicy mego przeznaczenia — piękną jesteś — świetną jesteś — kochaną być możesz, ale zamarła jasność twego oka, zastygła krew twojego łona, zatruta się myśl pod czołem twoim — głos twój pieściwy i nęcący, — dotknięcie rąk twoich miękkie i przejmujące, ale od słów twoich tchnienie w piersiach marznie, przy tobie serce cierpi i rozum się błąka — ty nie objawisz Boga, ty nie dasz nieba, biedna potępiona — o nie, nie! — ja zapomnę o tobie, ja zdmuchnę jak mętne szumowiny obraz twój z mózgu mego — ja o dzisiejszej nocy powiem sobie — nie była — i dalej pójdę — dalej, dalej, a w przyszłości — spotka mnie ona — piękniejsza, bo kochająca — bogatsza, bo szczęśliwa — i z tą będzie miłość moja, z tą matki błogosławieństwo, z tą niebo i Bóg...

## V.

Daleko musiało być od zamku do mego pomieszkania.

Sokół, własnemu zostawiony instynktowi, biegł prosto najkrótszą drogą, sadził przez rowy i płoty, a jednak cienie drzew przykurczyły się zupełnie i zaczynały z lekka na wschodnią stronę usuwać, gdy przed domem stanąłem.

Wyszedł Bazyli na moje spotkanie, pogderał trochę, że koń tak zmęczony, że ja po nocy karku gdzie nadkręcę, ale mimo to uśmiechał się tajemniczo i coś o niespodziance, o przybyłych gościach wspominał.

W jednej minucie sto przypuszczeń mignęło mi przez głowę, co prędzej wbiegłem do pokoju — na pierwszy rzut oka uderzyła mnie tylko wielka jakaś pokostem pod światło błyszcząca tablica, ale gdy naprzód postąpiłem, gdy w lepszym stanąłem miejscu — o, doprawdy na chwilę zdawało mi się, że to czary, że to niepodobieństwo. — Naprzeciw łóżka mego wisiał obraz kobiety pieszczącej wspartą na jej kolanach młodzieńca jakiegoś głowę. — Kobietą ona była — wyraźnie ona, też same rysy, też same czoło wzniosłe i milczące, też same usta namiętne a czyste i niewinne, też sama włosów promiennosc, też sama krągłość ramion i wyniosłość piersi, tenże sam odcień rumieńca na licach i białosci na łonie, tej białosci nie zimnej jako śnieg, nie martwej jako alabaster, lecz tej białosci, na której czuć prawie ciepły słońca promień, pod którą widać nieledwie krwi młodej i zdrowej krążenie; — tak jest, to była ona, ale więcej niż ona, więcej niż ta kobieta, którą mi blask piorunu i kunsztownych kagańców oświecił, jej kształty wypełniły się innym duchem — ona była taką, jaką być mogła, gdyby kochała, ona była szczęściem, objawieniem, miłością, — a tym młodzieńcem u jej kolan, tym pieszczonym, zachwyconym, tym kochanym, byłem ja. — I nie mogłem rozczarować uludzenia — gdyby chociaż raz spojrzała na mnie swoim kamiennym, ciemnopółyskliwym okiem, to bym może otrząsnął się z ogarniających mnie potęg, — ale nie, ona miała spuszczone powieki, i tylko na twarzy mojej odbiciem niewypowiedzianej rozkoszy, najżywszego uwielbienia i najtkliwszej podziękii rozświecał promień jej źrenicy. — Zgadywałem, przeczuwałem to spojrzenie, — serce mi się wydarło ku niemu, pół życia uciekło ze mnie i wstąpiło w pierś młodzieńca na obrazie — i miałem taką chwilę, jakiej z was żaden podobno mieć nie będzie — wyście marzyli, kochali, pragnęli, otrzymali — używali — jedną biedną duszą waszą, jednym waszym nędznym ciałem, jam miał dwie dusze, dwa ciała, dwa szczęścia, ja w obrazie drzałem pod jej pieszczotą, piłem jasność jej źrenicy — dumny byłem radością jej — wielki byłem miłością jej — a poza obrazem tkliwa we mnie pewność niezachwiana, spokojność rozumna, bo taka kobieta żyła przecież, a choć martwa, choć inna, to mnie

<sup>43</sup>przeniewierzyć — dziś: sprzeniewierzyć. [przypis edytorski]

do piersi zstąpiło tyle wiary we wszelką dobrego możliwość, tyle marzeń i nadziei, że ja, co tak ukochałem, czułem, iż mogłem stworzyć miłość w niej, mogłem wstąpić choćby do piekiel, zbawić choćby szatana — obraz mi wszystko przyrzekał, obraz mi wszystkiego dotrzymywał.

Wtem Bazyli wszedł do pokoju, kiwał głową i ręce zacierał — A co? — rzekł — czy panicz wiedział o tym, ci śliczni państwo wczoraj do nas późnym wieczorem zjechali — i cóż? panicz się o nic więcej nie pyta?

Prawda była, ja o nic nie pytałem, obraz już mi zdawał się koniecznością mojego życia.

— Jest i list przecie — dodał Bazyli zniecierpliwiony trochę — list i paka okazją się tu dostały.

List? — powtórzyłem drżącym głosem, a serce zaczęło mi bić gwałtownie, a z duszy w uroku szczęścia zawisłej wydobyła się nagle niczym na pozór nieusprawiedliwiona niespokojność i trwoga, co mi w piersiach oddech tamowała. — Chciałem sobie przypomnieć, czego ja się to lękać mogę? — zrobiłem wielkie wysilenie, od terażniejszości oderwałem pamięć moją i cofnąłem ją w przeszłość — ale pamięć dochowała mi tylko śladu jakiegoś przykrego wrażenia, jakiejś groźby niepewnej. Wszystko to zaledwie tyle czasu trwało, ile go potrzeba było Bazylemu do przejścia przez pokój, wyjęcia zachowanego między książki listu i podania mi na koniec; widzę jeszcze poczciwie radosny uśmiech jego w tej chwili, gdy mi świecił przed oczyma znajomym podpisem — co prędzej wziąłem, rozdarłem kopertę i pamięć mi wróciła, i przypomniałem sobie wszystko, bo oczy moje padły na te wyrazy ręką Ludwinki skreślone:

— „Miałeś brata Cypriana”.

Co się potem ze mną stało, nic a nic nie wiem. — Dobra to rzecz takie upadki nagle i niespodziewane, z obłoków prosto w studnię. — Organizm natury nie może im wydażyć, robi małą synkopę, a czas idzie sobie, jako szedł, i policzony nam jest w życie według zegarka i według kalendarza.

Kiedy moja synkopa ówczesna wartość swoją przetrwała już, a na klawisze pamięci kiedy los, ten fantastyczny wirtuoz, przyłożył swoje diabelskimi pazurami zakończone palce, była to noc właśnie — jak dziś jeszcze widzę i przypominam sobie wszystko. — Lampka musiała gdzieś stać na ziemi w głowach mojego łóżka, gdyż światło jakieś migotało po pokoju, a nie mogłem wytłumaczyć sobie, skąd się wzięło, lecz wkrótce wyobraziłem sobie, że bez wątpienia w podłodze deska jakaś ciągle się unosi i spuszcza, a spod tej deski wydobywa taka ciecz powietrzna, jasna i w rozmaitym stopniu wszystkie przedmioty zalewająca; przyznam się, że mnie też bardzo ucieszył mój dowcip w wynalezieniu tak prostej przyczyny. Rozpatrywałem się potem coraz lepiej i zobaczyłem przy nogach moich na stolku jak na łódce chwiejącą się postać starej kobiety, która zupełnie do miary z wznoszeniem i opadaniem światła wznosiła i opuszczała głowę swoją, obok niej stał nieruchomy jakiś zwierz na czterech cienkich nogach, z białym łbem w środku ciała. — Ten zwierz przycichłym głosem ciągle mówił: tak, tak, tak. — Naprzeciw mnie zaś, niezupełnie naprzeciw mnie, ale nade mną, nad kobietą i nad zwierzem wyjęto kawał ściany — w tę stronę jasnej cieczy najwięcej płynęło, wyraźnie więc ujrzałem rozwany pokój przepyszny, rozłożone najbogatsze wezgłowia, a na nich siedzącą Aspazję w białej greckiej tunice, u ramion dwoma kameami spiętej. — Zawstydyłem się okropnie, że ja tak blisko nieubrany leżę — chciałem wstać, ale stara kobieta okropnie głowę zatrzęsła, przestraszyłem się, bo myślałem, że krzyknie na mnie, a gdyby krzyknęła, to by pewnie Aspazja, dotąd w głębi swej komnaty czym innym zajęta, wstała i przyszła zobaczyć, co się dzieje — i zobaczyła mnie — mnie w koszuli z jakąś chustką na głowie, pod flanelową kołdrą. — Nie, tej myśli przenieść na sobie nie mogłem, ogarniał mnie zaraz taki przestrach, czułem się tak zhańbionym, że aż wszystkie poty były na mnie, przyległem więc cichuteńko, a stara baba zaczęła mi z wolna głową potakiwać, a zwierz jej potakiwał nawzajem, a ja tymczasem przemyślałem tylko, co by to zrobić, żeby ich oszukać, żeby się ubrać i uciec do tego pokoju, w którym Aspazja siedziała. — Kłopot wielki, bo suknie daleko ode mnie leżały, co więcej nawet składała je dni powszednich odzież, krótki z grubego sukna spencer i skórą oblamowane spodnie — nie można było tak wystąpić przecież, mnie się chciało także greckiej tuniki, purpurowego na zarzucenie przez jedno ramię płaszcz, greckich na nogi koturnów, bo inaczej Aspazja mi powie — „idź precz — jesteś brzydki”. — Przymierzałem ja sobie tych wszystkich strojów w życzeniach moich,

Czas



aż na koniec ubrałem się w nie i podniosłem trochę, by zobaczyć, czy mi pięknie będzie — było prześlicznie — widziałem, jak Aspazja objęła mi szyję w okrągłość cudnych kształtów ręki, przygarbła do łona swego i patrzyła w oczy ku jej oczom wzniesione i mówiła mi:

— A widzisz, że wróciłeś, Beniaminie — teraz ja ciebie kocham, teraz nie jesteś już nudny, ubogi i śmieszny — zabiłeś smoka w jaskini wawelskiej, odebrałeś mu klucz od skarbów jego, przeczytałeś wszystkie książki, jakie były wystawione na lipskim jarmarku — o! ja cię bardzo kocham Beniaminie, każesz mi zrobić balon z pajęczyny, mój Murzyn zanieś go na najwyższą z gór Himalaja, tam sobie razem jak do kocza wsiądziemy, dwa moje małe szatanki dmuchną tylko i polecimy wysoko, wysoko szukać Cypriana na gwiazdce polarnej — spiesz się tylko, mój kochany, i weź co cieplejszego, bo śniegów pełno na wierzchołku skały!

Ja się spieszyłem, gorąco mi się robiło, gdyż wiedziałem, że lada chwila baba na mnie obejrzeć się może i znów mnie do łóżka zapakuje, a wtedy co ja pocznę, nieszczęśliwy? wtedy Aspazja się dowie — że ja smoka nie zabiłem — że ani jednej więcej książki od tego czasu nie przeczytałem, że nie mam tuniki, płaszcz, koturnów i że leżę pod flanelową koldrą. — Męczyłem się tą bojaźnią jak zmorą, która by mi na żołądku usiadła — co ją zepchnąłem na chwilę, to znów wracała upornie<sup>44</sup>, zaledwie wstępowałem w wyłom ściany i opierałem głowę o kolana Aspazji, zaledwie ona cośkolwiek przemówiła do mnie, zaraz tak wypadło, że powinienem był wstać, chodzić, ruszać się, bo albo mnie wysyłała po Cypriana, albo prosiła, żebym jej przeczytał moje wiersze, które na samym dnie ogromnego kufra leżały, albo kazała sobie przynosić wachlarze, ołówki, cyrkle, harmoniki, worki perel i czcionek drukarskich, pęki rozkwitłej paproci i pęki różg liktorskich, i smocze zęby z szczękami. — A ja biedny skoro tylko jednym muskułem drgnąłem, zaraz się widziałem rozciągniętym na łóżku z tą przy nogach moich babą szkaradną, która coraz wyżej i głębiej falowała na swojej łódce, coraz groźniej głową swoją trzęsła. — Na koniec przedsięwzięciem pokorą ją wzruszyć — zacząłem do niej mówić głosem tak cichym jak myśl i prosiłem, zaklinałem, żeby mi wstać pozwoliła, żeby mi nieznacznie podała te ubiory, które dla mnie za murem w otwartym pokoju wiszą, ale stara wykrzywiła się piekielnie i odpowiedziała mi, dzięki Bogu, że równie cicho przynajmniej:

— Nie uciekniesz mi stąd, będę cię trzymała, póki ci włosy nie osiwieją i póki wszystkich zębów nie stracisz, przykryję cię niemiecką pierzyną, włożę ci białą szlafmycę na głowę i do samego końca nosa przystawię ci dwie ogromne pijawki. — Te pijawki, ta szlafmyca i pierzyna zabijały mnie — a tymczasem nad głową baby słyszałem, jak Aspazja mówiła:

— Beniaminie, każ osiodłać twojego Sokoła, pojedziemy razem, o! zawsze razem, mój Beniaminie, nasze konie będą miały rzędy koralowe i złote podkowy — puścimy się z gór Karpackich na ukraińskie stepy, jednym spięciem ostrogi Dniepr przeskoczmy i schwytemy Cypriana, przywieziem go matce, — prędko wybierajże się, Beniaminie mój!

Na słowa Aspazji mnie rozpacz ogarnęła, wlepiłem oczy w starą moją strażniczkę i widząc, że nie uważa na mnie, wstałem jak mogłem najciszej — myślałem sobie, jeśli się obejrzy i krzyczeć zacznie, to ją uduszę — ale ona nie obejrzała się! na ten raz dość jednostajnie zanurzała i wynurzała się wśród płynącego dokoła światła. — Uszczęśliwiony jej spokojnością, kocim krokiem podszedłem ku szafie z rzeczami, wyciągnąłem płaszcz tylko, okryłem się nim i mając jakieś niepewne wyobrażenie, że choć to ubiór mniej dostateczny, będzie można jednak po drodze innego dostać, — sunąłem się jak cień ku drzwiom — schwyciłem za klamkę i dalej w nogi. — Zdawało mi się, że usłyszałem wkrótce głośne wołanie za sobą — „Panie Beniaminie! panie Beniaminie”, lecz ja wiedziałem, co mnie czeka — pierzyna, szlafmyca i pijawki u nosa, — nie odzywałem się przeto, biegłem ciągle, a noc była czarna jak atrament, a każdy krok mój cichy jak westchnienie, gdyż biegłem boso. — Według mojego zamiaru chciałem wielkie koło określić i z drugiej strony domu wejść do tego pokoju, w którym Aspazja czekała na mnie, kiedy mi się zdawało, że już bliski celu byłem, nagle zimno dotkliwie nogi mi podcięło, — zachwiałem się i upadłem, upadłem w wodę. — Rzeczywistość niebezpieczeństwa — wróciła mię do przytomności, chciałem wołać o pomoc, ale woda zalała mi

<sup>44</sup>upornie — dziś: uporczywie. [przypis edytorski]

usta — zrobiłem machinalnie kilka poruszeń jak do pływania i znów z sił opadłem, fałdy mego płaszcza uniosły mię tylko, nurt wody pchnął ku brzegowi, a czując pod ręką jakieś krzaki i zarośla, schwyciłem się ich z całą mocą, która mi została jeszcze.

Co ma być, to się stanie — wierzą Turcy i ja wierzę, nie uciekniesz przeznaczeniu. — Kiedy się po raz drugi ocknąłem, głowa moja złożona była na łonie kobiety, oczy moje patrzyły jakby jeszcze w chorobliwej gorączki rojeniach na jej piękną twarz ku mojej twarzy schyloną. — Biedne dziecię — mówiła, a tak słodko i tkliwie, jakby matki głosem; — biedne dziecię, co tobie? czy ty doprawdy ubogi i nieszczęśliwy bardzo?

Na te słowa wróciło mi pojęcie życia z całą boleścią swoją i ze wszystkimi radościami swoimi — okropna strata i najpiękniejsza nadzieja razem w zbudzone serce uderzyły — wydolać im nie mogłem — łkania pierś przepełniły — zasłoniłem twarz rękoma i rozplakałem się rzewnymi łzami jak kobieta.

— Czegóż ty płaczesz, chłopcze? — pytała mię ciągle — czyś słaby, przeziębły, czy żałujesz, żeś nie utonął?

— Nie pani, ja tylko bardzo chory byłem — w gorączce musiałem z domu wybiec; nie wiem, jakim sposobem tutaj się dostałem, nie wiem, gdzie jestem, nie wiem, skąd przy tobie?

— A czy poznajesz mnie?

— Och! poznaję.

— I któż ja jestem?

— Ty jesteś... — zatrzymałem się, bom nie mógł przypomnieć sobie, czy mi powiedziała kiedykolwiek nazwisko swoje, a strach mi było, żeby niedokładnej odpowiedzi za nowy objaw choroby nie wzięła. Wreszcie przyszyły mi na myśl jej własne słowa, uśmiechnąłem się spoza łez moich i rzekłem. — Ty jesteś piękną kobietą.

— Dobrą masz pamięć, Beniaminie — odpowiedziała wesoło — pójdź za to do łódki mojej, wrócimy razem na zamek.

— Mój dom bliżej od zamku — przelożyłem nieśmieiele — za kilka chwil już będę miał dosyć siły, żeby sam wrócił do niego.

— Nie zdaje mi się, Beniaminie, bardzo jeszcze osłabionym jesteś — pójdź lepiej, razem do czółna wsiądziemy. — Oprzyj się na mnie, ja cię poprowadzę.

— Och! nie, nie — jeszcze nie wstawaj, pani, mnie tak najlepiej, jak teraz jestem! — i w istocie mnie tak najlepiej było. Czulem, że niby fale ciepła, jasności i życia uderzały o pierś moją, a pierś wzbierała nimi powoli, lecz bezprzestannie<sup>45</sup>. — Sama wzmianka o jakiej bądź zmianie miejsca przejmowała mnie niepojętą trwogą. — Zamek i łódka, te wyrazy szczególnie dziwnym rozdrażnieniem wstrzymywały prawie przystęp sił wracających. — Ach! gdyby ona była raczej o moim domku wspomniała — gdyby ona tak poszła ze mną, jak ja z nią później poszedłem — kto wie? może to była chwila stanowcza? — chwila, w której się losy nasze ważyły, w której ja mogłem ją przyciągnąć ku sobie i kołem ducha mojego zakreślić — i ukochaniem moim na całą naszą wspólną przyszłość zaczarować! — Inaczej się stało — powstydzilem się ubóstwa mojego — źle mówię, pożałowałem tylko mojej pięknej w niskie progi i w nieozdobre ściany — nie śmiałem żądać, aby ona w moją stronę poszła i gdy mi się zdało, że mię przez litość odstąpić nie zechce, nie może — przyrzekłem wreszcie, iż jej stronę pójdę.

— Ale zostanmy tu, zostanmy tu jeszcze — prosiłem się jako dziecko i obwijałem sobie szyję białym jej ramieniem.

— Czyż nie masz dość już mocy, by choć na chwilę powstać? — pytała mię łagodnie.

— Och! to nie o moc chodzi — odpowiadałem jej — ja chcę tylko użyć daru Cypriana. — On śmiercią swoją kupił dla mnie zjawienie się twoje — ty musiałaś przyjść, musiałaś mię tak objąć wskrzeszającym uściskiem, tak przytulić do łona swojego — bo on kazał i umarł.

— Cicho, cicho, znów ci gorączka wraca, a ja nie lubię maligny.

— Może byś chciała tak szydzić i żartować ze mnie jak w owej nocy, piękna, czy pamiętasz ją? Och, ja się niczym nie zrażę — ja żadnemu złemu już nie uwierzę nigdy — bo ty mię kochać będziesz — widzisz sama, jak wszystko się składa według myśli Cypriana — ja cierpiałem — mnie śmierć zagrażała, a ty zstąpiłaś ku mnie, wzięłaś na

<sup>45</sup>bezprzestannie — dziś: nieustannie. [przypis edytorski]

ręce, życie przywołałaś ubiegłe. — Jakże ty mię kochać będziesz musiała, kiedy to się tak wielką miłością kocha tych, którym się dobrze czyni. — Wszak prawda, piękna moja! — chociażbyś serce wyrzuciła z swej piersi, choćbyś wszelkiemu zaprzeczyła uczuciu, — choćbyś wzgardą i nienawiścią na cały świat ten cisnęła — jeszcze, jeszcze wtedy kochać byś musiała tego, który by w potrzebie wsparcie, w niebezpieczeństwie życie przyjął od ciebie. — Powiedz mi, że byś go kochała — choć tylko na wrażenie przyjemne — na jedno słowo pocziwe, na jedną miłą pamiątkę. — Och! powiedz mi, że byś go kochała!...

Uśmiechnęła się, lecz jej wzrok obojętny, zimny, ledwo zdziwiony trochę, padł mi jak olów na czoło.

— Chcesz koniecznie dobry uczynek wmówić we mnie, Beniaminie — rzekła prawie wesołym głosem — nie uda ci się — dość piękną jestem, bym się bez pożyczanych zasług obejść mogła. — Że tu jestem, że tobie przytomność wróciła w tej chwili właśnie, gdy głowy twojej moje ręce dotknęły, wszystko to jest przypadkiem jedynie. — Sam osądź. — Zmęczyla mię już uczta, której początek widziałeś — trwała trzy dni i trzy nocy. — Podróżni żegnali się, mijając mój zamek — strach padł na okolicę — bajeczne wieści po kraju się rozeszły. Ale bo też prawda, że wielkie, bardzo wielkie obchodziłam święto... — i na tym słowie umilkła przez chwilę... i zamysliła się.

— Jakie święto? — spytałem jej<sup>46</sup>.

— Och! wyobraź sobie, że na przykład święto twojemu świętu podobne — wracałam do życia i najpierw zdawało mi się, że odzyskałam wszystko tak, jako niegdyś było — ale dzisiaj nad ranem — spostrzegłam, że mi czegoś brakuje — zaczęłam szukać, szukać — znaleźć ani przypomnieć sobie nie mogłam — ogarnęła mię czczość i nuda. Zniknęłam więc gościom moim, rzuciłam się w tę łódkę i z wodą popłynęłam. — Ach! jak mi dobrze było! Może w godzinę potem słońce zaczęło wschodzić — ja tak lubię słońce — a woda! co za prześliczna woda była w rzece! — pod uderzeniem wiosła przelewała mi się niby krwią najczystsze metalicznego blasku — a jakie srebrne rozesały się po błoniach mgliste tumany, to wyraźnie wielkie morza, jeziora i stawy — dachy domów pływały po nich jak wysepki maleńkie, a drzewa majaczyły jak duchy olbrzymów. — Nie mogłam się dość nacieszyć tym wszystkim, gdy niespodzianie wśród krzaków ujrzałam postać jakąś nad brzegiem leżącą. — Bardzo prędko poznałam cię, bo mam wzrok bystry i wierną pamięć, ale nie zawołałam, bo mi się podobałeś w tym uśpieniu swoim — pięknie ci było, jak gdybyś ty, młody bożek szklistych nurtów rzeki, dobrowolnie w wieczystą nieruchomość przyległ u jej boku — świeże gałązki wierzbiny powikłły się niby wieńce i korony nad głową twoją — płaszcz twój ułożył się w snycerskiej dokładności fałdy — woda jak rozkochana nimfa całowała białe stopy twoje. — Długo bardzo przypatrywałam ci się z zachwyceniem; na koniec widząc niezmierną błądź twoją, przyszło mi do myśli, że może już nie żyjesz, wtedy...

— Och! widzisz, że wtedy pożałowałaś mnie i pomoc przyniosłaś.

— Nie Beniaminie, wtedy pożałowałam tylko piękności twojej; obrazka mojego — chciałam na dłużej trochę zasłonić cię przed słońcem upałem i przed dziobami kruków żarłocznych. Wysiadłam więc na ląd, rozpostarłam nad tobą tę, którą widzisz, zasłonę i gdy mi wypadło głowę twoją w głębszy cień jeszcze usunąć, wzięłam ją do rąk; a ty wtedy westchnąłeś i ożyłeś...

— To więc tak było tylko?...

— Tak, moje dziecko — lecz skądże nowe łzy w oczach?

— Z choroby i z żalu — nie pytaj mię, pani...

— I owszem, ja chcę wszystko wiedzieć — wszystko i zawsze, no, przyznaj się, chłopcze. Może się we mnie od owego wieczora szalenie pokochałeś, a widząc, żeś niekochany, chciałeś sobie życie odebrać?... ja ci tego za złe nie wezmę.

— Och! Boże! Boże! jakież domysły okropne, jakąż spokojność kamienna... Nie, nie, Cyprian skłamać musiał chyba.

— Któż to jest ów Cyprian, którego już po raz drugi wspominasz?

— Cyprian jest ten, co powiedział, co mi pokazał, że ty mię kochać będziesz...

<sup>46</sup>spytałem jej — dziś popr.: spytałem ją. [przypis edytorski]

— Dziwna rzecz, nie znam go wcale — a jednakże zaczekaj... kochać... kochać ciebie — och! czy to ja nie tego szukałam właśnie... kto wie? czemuż ja bym cię kochać nie miała?

— Kobieto! nie powtarzaj słów takich, one zabijają, zabijają!...

— A toż dlaczego Beniaminie, jeśli prawdą będą? — i nagle słońce wszystkimi promieniami zagrało po szklistości jej ciemnozielonych oczu. — Jeśli prawdą będą, jeśli ja cię ukocham — ożyję zupełnie, nowym czy też dawnym życiem — jeśli ci powiem: „Wyczerpnęłam wszystkie zbytki, uciechy i szaleństwa, przerzuciłam karty ksiąg najmędrszych, mam i znam wszystko, ale mi świata zabrakło, a przypomniałam sobie o innym świecie, o szczęściu innym — więc chcę miłości”. — Beni mój, kochaj mnie, Beni mój, ja cię kochać będę...

Przez chwilę słowa wymówić nie mogłem.

— Słuchaj, Aspazjo! — rzekłem na koniec z trudnością. — Aspazjo! bo wszakże tobie Aspazja na imię?

— Już ci to w zamku powiedzieć musiano.

— Nie, nie w zamku, pierwej, daleko. — Słuchaj więc, Aspazjo — słuchaj, bo to jest chwila jedyna, może i ostatnia, w której mam siłę zebrać resztę zastanowienia i powiedzieć te słowa. — Jeśli czujesz, że co wyrzekłaś teraz, jest tylko dowolną twej wyobraźni igraszką, jeśli umiesz bawić się jedynie pięknymi dźwiękami i układać je tak, by żywe na słuchaczach wrażenie robiły, jeśli wiesz, że tak być nie może, jak obiecujesz, że będzie — Aspazjo, Aspazjo! jeśli ty nie chcesz lub zdolną nie jest kochać — och! przez litość — ja cię nie potępię — mów, mów prawdę tylko. — Może ty pragniesz hołdów, uwielbienia, miłości? — możesz ty dumna i chcesz, bym w proch się ukorzył przed tobą? — mów, mnie i na to serca wystarczy — ja o wyższość potęgi walczyć z tobą nie myślę — poprzestanę na obrazie twoim, nie zbluźnię ci nigdy innej kobiety wyborem — ale powiedz, że słowa twoje były żartem, że szaleństwem nadzieja zbudzona. — Powiedz i zostaw mię tu samym; choćbym nie miał siły zawlec się do domu, choćbym tu skonał opuszczony i biedny, jeszcze w skonaniu błogosławić ci będę i powiem przed Bogiem w niebie: — Och! to szlachetna kobieta. — Aspazjo, miej litość — ty nie pojmiesz nigdy, jeśli sama nie pokochasz, ile szczęścia, ile ducha mojego zmieszało się z głosem twoim, gdy mówiłaś do mnie.

Gdyby taka radość wsączyła się kiedy w krew żył moich, gdyby stan podobny przeszedł choć na dzień jeden w uznanie moje i gdyby potem rozłączyć mi się z nim przyszło — gdybym musiał kawałami wyszarpywać moje serce temu złudzeniu, Aspazjo! ja w tej chwili miałem piekielne objawienie, że bym tego nie zniósł. Aspazjo, oszczędź mi tej boleści!... porzuć mię, zapomnij, teraz czas jeszcze — teraz tylko szczęście moje uniesiesz ze sobą.

I opowiedziałem jej wszystko — kim ja byłem — co mi Cyprian mówił — jak mi nieszczęścia unikać kazał — jak razem z obrazem wiadomość o jego śmierci mię doszła.

— Patrz, Aspazjo — mój brat miał słuszość — dodałem nareszcie — ja nigdy cierpieć nie powinienem — patrz, jak mię złamała pierwsza zła przygoda — znalazłaś mię przy drodze twojej jak sierotę — jak żebraka — biednym, chorym, umarłym prawie — co tobie drażnić się z tak słabą istotą? — co tobie na niepewność rzucać całą przyszłość moją? — Aspazjo, jeśli kochać nie możesz — bądź litościwą — miej prawość, rzetelność choćby kupiecką tylko — miej odwagę męskiej poczciwości — idź precz stąd — zostaw, zostaw mię!

I składałem ręce, i modliłem się, a jej lica rozbłysnęły gorętszym rumieńcem — pochyliła się nade mną, ustami dotknęła ust moich i słyszałem, jak mówiła:

— Nie lękaj się, nie lękaj, Beni mój, ja cię nie opuszczę — Beni mój! ja kocham ciebie!

Niebo świeciło najpiękniejszą pogodą swoją; rzeka niby roztopionym słońcem płynęła, na rzece łódka mała pomykała się lekko, a w łódce była Aspazja, a białe jej ręce z siłą i wdziękiem raz po raz<sup>47</sup> pluskały o migotliwą wodę kunsztownym wiosłem, którego hebanowa rękojeść dziwną sprzeczność z trzymającymi ją dłońmi tworzyła, a u nóg Aspazji na porzuconej tygrysięj skórze ja leżałem, bezsilny jeszcze, odurzony resztą gorączki i dnia światłością, i szczęściem moim.

<sup>47</sup>raz po raz — dziś popr.: raz po raz. [przypis edytorski]

— Któż ty jesteś, Aspazjo?... — mówiłem.

— Kto jestem? — odpowiadała ona — czy dziecię chce powieści jak śpiewki przed uśnieniem<sup>48</sup> — czy mój kochanek nie zna mię — i śmiała się, i zaczynała tysiączne cudowności o zaklętych księżniczkach, o salamandrach — o Greczynkach niewolnicach w sultańskim seraju, i w najciekawszych miejscach przerywała sobie i pytała mię znowu: — A ta czy ci się podoba? — i gdym się do niej uśmiechnął, to mi mówiła: — Otóż ja nią jestem — i tak płynęliśmy w górę rzeki, a ja zapomniałem o wszystkim — zapomniałem o śmierci Cypriana. Aspazja wzięła mi z duszy cały mój żal za umarłym.

Od tej chwili zostałem przy niej — porzuciłem mój zawód — nie wróciłem domu. Ale... ale... moi kochani, obiecałem, że kiedyś powiem wam którą z tych bajek, co mi Teresia tak często opowiadała; właśnie przypomniałem sobie jedną, słuchajcie, póki nie zapomnę:

Gdzieś nad bardzo głębokim morzem stał bardzo wysoki zamek, na bardzo wysokiej skale i bardzo mała chatka na bardzo niskim brzegu; w chatce mieszkał rybak, piękny, młody — w zamku mieszkała piękna, młoda księżniczka. — Rybak pokochał księżniczkę — księżniczka przyrzekła kochać rybaka. — Jednej nocy rybak usnął w chatce swojej, księżniczka umarła w swoim pysznym zamku. — Rybak płakał dzień cały, płakał i noc całą, a księżniczce na zamku śpiewały stare mnichy z długimi brodami i stare baby z wpadłymi oczyma<sup>49</sup>. — Na drugi dzień i przez drugą noc rybak się modlił ciągle, a księżniczkę ubrano w złociste suknie, zamknięto w kryształowej trumnie, wstawiono do grobu i przyciśnięto ciężkim kamieniem i kamień zapieczętowano królewską pieczęcią. — Przez trzeci dzień rybak założył ręce, siedział nad brzegiem morza i ani sieci nie zarzucił, ani czołna nie naprawił, a księżniczka leżała w zimnym i ciemnym grobie pod ogromnym kamieniem — pod pieczęcią królewską. — Na trzecią noc rybak leżał w chatce swojej, ale nie spał — z dwunastą godziną uchyliły się drzwi chaty i weszła księżniczka w swojej złocistej sukni, ale bardzo drżąca i blada. — Rybak wyciągnął do niej ręce, a księżniczka spytała go:

— Czyś ty mię kochał, rybaku?

— Jakżeż ja cię kochać nie miałem — rybak odpowiedział — kiedyś ty umarła, a ja się trupa twojego nie lękam.

— Dziękuję ci, rybaku — rzekła na to księżniczka i schyliwszy się odgarnęła mu włosy z jednej strony głowy i pocałowała w samą skroń.

I tak było nocy następnej, i jeszcze następnej, i wszystkich nocy przez lat trzy.

A tymczasem twarz rybaka coraz bledszą się stawała, ręce jego coraz słabsze; nie wychodził za próg domu, nie siadywał nad brzegiem morza, nie wstawał z posłania swego. — Przyszedł doń ksiądz i mówił: Spowiadaj się, biedny człowiecze, bo twoja śmierć bliska.

A on się dziwnie do księdza uśmiechnął i ręce położywszy na sercu mówił:

— Nie, jeszcze mam sześć nocy przed sobą — siódmej nocy przyjdzie tu.

I siódmej nocy przyszedł ksiądz, a za księdzem chłopiec mały z zapaloną gromnicą i olejami świętymi; z wodą święconą i kropidłem w ręku.

Ksiądz i chłopiec widzieli, jak nad posłaniem rybaka stała jakaś postać w złocistej sukni z załamanymi rękoma, a rybak już leżał błądy i nieżywy.

Ksiądz się przeżegnał, postać zniknęła, ale rybak nie wstał już — ciało jego było białe jak kreda, na prawej skroni tylko miał włosy rozgarnięte i znak drobny jak od ukłucia szpilki małej. Ksiądz przelekły pospieszył na zamek, wezwał kapelana i wszystkich obecnych — zstąpili razem do sklepień kościelnych, znaleźli na grobie księżniczki pęknięty ogromny kamień i pozrywane królewskie pieczęcie — kamień odwalili — ujrzeli w kryształowej trumnie piękną księżniczkę, świeżą jakby snem najrozkoszniejszym zasnęła, a tylko na jej ustach, niby koralu ziarno, małeńka jeszcze kropła krwi świeciła.

Na was, moi państwo, jak widzę, ta powiastka żadnego nie robi wrażenia — może się gniewacie, że ją tak niepotrzebnie wtrąciłem — lecz nie uwierzcie, jak ona w moich dziecinnych latach dziwny jakiś wpływ wywierała na mnie. Pamiętam, kiedy przychodziło do tego miejsca, w którym księżniczka rozgarnia włosy rybaka i całuje go w skronie; mnie,

<sup>48</sup>uśnienie — dziś: uśnięcie. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>wpadłe oczy — dziś: zapadłe oczy. [przypis edytorski]

co wiedziałem, że ona tym pocałunkiem kroplę krwi jego pije, mnie wtedy zawsze robiło się tak zimno, tak niespokojnie, jak gdybym czuł dotknięcie tych ust trupich i zabójczych.

Albercie, wszak już raz przyświadczyłeś, że przecucie istnieje.

Och! ja także...

Najpierw oddałem jej wspomnienie umarłego brata — wciągnęła je z pocałunkiem, rozwiała na słowa.

Potem oddałem jej wszystkie moje upodobania. — Przestałem kochać kwiaty, ona je lubić zaczęła — na jej głowie, przy jej boku — we wszystkich wazonach etruskich, wszędzie pełno było kwiatów, a mnie radość upajała, że straciwszy, jej rzuciłem choć jedną przyjemność w życiu. Któregoś dnia wystarałem się dla niej fuksji, prześlicznego kwiatka, co swoimi dzwoneczkami jak krwawymi łzami płacze. — Aspazja zerwała pełniejsze gałązki — pieściła je — pocieszała niby ludzkie zasmucone serce — potem zwiędły w jej ręku — wyrzuciła przez okno — potem na trzeci dzień i fuksja zwiędła w doniczce, i znów ją wyrzucić kazała — a gdym pytał zasmucony, czemu ona już nie żyje?

— Zapomniałam — rzekła tylko.

Potem jednego wieczora, gdyśmy siedzieli pod ciepłym niebem południowych krain — ja wzniosłem oczy i patrzyłem ku gwiazdom dawnym spojrzeniem dzieciństwa mego. — O czym tak dumasz? — pytała mię Aspazja — a ja ręką ku górze wskazałem i rzekłem jej. — Patrz, weź to, luba moja — to piękne, świetne, to chwile naszego szczęścia uzupełnia, bo wieczność obiecuje. — Aspazja spojrziała za kierunkiem mej ręki i powtórzyła: — Ach! to piękne, to piękne — czemu ja na to patrzeć zapomniałam? — dziękuję ci, Beni mój, żeś mi przypomniał znowu. — Ach! to piękne — i takie wielkie, takie niezmiernie, to się wołać zdaje; — prochem jesteś — chwilką jesteś — nie trudź myśli, nie trudź ręki — nie zużywaj sił twoich na poznanie złego i dobrego — bo w naszej nieskończoności byt jest prawdą jedyną — wypełnienie bytu przypadkiem — kształty, zdarzenia, łzy, uśmiechy, — obojętnością. Ach! jak ja kocham te gwiazdy — jak one mi mówią, że ja młodą jestem — że panią wszechwładną losu mego — że na mnie inne nie ciąży prawa — tylko prawa mej własnej woli i prawa czasu tymi jasnymi zgłoskami wypisane: „Wszystko było — ty jesteś — wszystko zawsze będzie”. — Od tej chwili Aspazja częściej w niebo patrzyła, a ja gwiazdy kochać przestałem.

Potem — już nie wiem, gdzie to było — widzę tylko rozesłane miękkie dywany, ściany zawieszane zwojami ciemnej, lecz złotem przetykanej materii — okna w marmur i złoto objęte i roztworzone na jakieś gęste zagajenie drzew rozłożystych i wonnych. — Aspazja wpół leżąca, wpół na jednym łokciu wzniesiona — patrzyła niedbale w kartki opartej przed nią na głowie hebanowego sfinksa książki, ja z dala nieco siedziałam i dziś nie pomnę, czemu mi było smutno jakoś. — Wtem spomiędzy drzew ciemnych, przez otwarte okno wzbil się ku nam głos czysty, dźwięczny; głos ten nucił piosnkę miłosną; prostą, nieozdobną, ale tak rzewną, tak tkliwą, że przypomniałem sobie i moją Julkę, i ławeczkę, na której siadywała — i wszystkie dumki, których siedząc przy jej nogach tak słuchać lubilem.

— Pójdź do mnie, pójdź do mnie, Beni mój — zawołał głos Aspazji, rzuciłem wspomnienia i poszedłem, a ona objąwszy mnie za szyję: — Czy słyszysz? — mówiła do mnie — czy słyszysz, jak ta piosenka całuje włosów pierścienie, całuje oczy kochane, całuje czoło i usta? — a z każdym zapytaniem Aspazja pieściła mię tak, jak szły słowa piosenki — i od tej chwili dźwięk śpiewów był mi tylko pięknym przez wrażenia jej — i przestałem kochać pieśni. Potem przyszło mi naraz wiele listów z domu.

Brat mój Adaś, napisał: Beniaminie! pożegnałem się z żoną i dziećmi moimi, wracaj do nas.

Brat mój Józef napisał: — Beniaminie! Ogień zniszczył zagrodę moją, wiatr pustymi stodołami przewiewa, nie ma ręki, co by pług lub radło wzięła, wracaj do nas.

Brat mój Karol napisał: — Beniaminie, wszystko pójdzie dobrze, ale wracaj do nas.

Ojciec napisał: — Beniaminie! przy urodzeniu twoim błogosławiłem, że się człowiek światu narodził, że przybyło jedno serce do kochania, dwie ręce do użytecznej pracy. — Serca i rąk nam dziś trzeba, wracaj do nas.

Matka napisała: Beniaminie! w moim łonie cię nosiłam, z moich piersi mleko ssałeś, ty wrócisz, kiedy matka w smutku i potrzebie zawoła: Synu! synu! wracaj do nas.

Ale Aspazja rzekła: — tam skarb twój, gdzie serce twoje — tam władza czynu, gdzie kochanie — tam powinność, gdzie wolna wola. — Ojca, matkę, rodzinę przypadek dał tobie — mnie ty wybrałeś, ty wziąłeś sobie spośród świata całego i ze mną tylko cały świat twój — alboż ty rośliną jesteś, żeby miejsce jedno, grunt jeden upodobać sobie? — od bieguna do bieguna ziemia nasza, a kędy wiatru tchnienie wonniejsze — kędy głos słowika pieściwszy — kędy rzeźwiej krew w żyłach płynie, — kędy serca namiętniej uderzają — kędy natrętnych głosów cudzej boleści nie słyhać, tam rozbijmy białe namioty nasze — i tam żyjmy, kochajmy, bo tam przyobiecany kraj Chanaanu — tam wybrana Jerozolima nasza...

I nie wróciłem... odtąd przestałem kochać rodziców, siostry, braci moich — wszystko, wszystko — Aspazję kochałem tylko — i nie przerażała mię ta nędza moralna — w niej odnajdywałem siebie i ona wypożyczyła mi nową jakąś władzę i zdolności. — Chciała bogactw, rzuciłem się w szalone przedsięwzięcia. — Okręty do brzegów Europy z wszystkich stron świata niosły mi zyski i złoto — miliony płynęły przez ręce moje.

Chciała wielkości, zaszczytów — wnet pozawieszałem na szyi krzyże wszystkich świętych z kalendarza i wyobrażenia wszystkich zwierząt od słonia do baranka — i miano mi raz nawet jakąś podwiązkę koło nogi zawiązać... Och! już zapomniałem, co za drogami biegłem przez te niespokojnej wyobraźni dziwactwa. Czarne gondole Wenecji, dym Wezuwiusza, parlament angielski, wiedeńskie walce, paryskie salony — Eskurial, piramidy Egiptu i niemieckie księgarnie — wszystko razem mąci mi się w głowie jak różnofarbne szkiełka kalejdoskopu. — Pamiętam jak przez mgłę, że nazywano mię hrabią, baronem, lordem, *eccellenze*, — że mi doktorski biret na głowę wsadzono i że kiedyś jak coś mówiłem, grono ludzi poważnych z rogatymi czapkami i w długich czarnych togach wyszczerzało do mnie ponadpsowane zęby i klaskało mi w chude, grube, kościste ręce... Z tych naddatków nic a nic do wspomnień moich nie przybyło, nic a nic do historii życia nie weszło — bo to nie byłem ja — to były jednochwilowe życzenia — fantazje, upodobania Aspazji — ja byłem tylko w jej uśmiechu — w jej wesołości, w jej słowie przychwalającym. — I tak mi zeszło kilka lat życia.

Przez ten czas Aspazja roztrwonila wszystkie wspólne dostatki nasze; zapal, natchnienie, uczucie piękna — władzę cieszenia się, pojmowania, tworzenia coraz to nowych a ciągle uiszczanych marzeń — władzę szczęścia — miłość całą moją, ona wzięła i zmarnowała. — Ach! wtedy nastąpiło okropne jutro.

Próżnia ducha mojego wypełniła się nowymi pierwiastkami — zacząłem cierpieć — oburzać się i niepokoić, zazdrościć i nienawidzić. — Trudno byłoby mi z wszelkim stopniowaniem opowiedzieć wam, jak to zepsucie rozszerzało się w mej piersi, jak ta gangrena ogarniała mię powoli.

Dłoń, której Aspazja nie ścisnęła wzajemnie — spojrzenie obojętne jej oczu martwiących w dawną kamienność swoją — jej głos przycięty i bezdźwięczny — długie godziny roztargnienia, nieuwagi i posepności — dla was to wszystko byłoby nudne, a dla mnie dziś także zadziwiająco czcze i jednostajne. — Wspomnę wam tylko ostatnie zdarzenie. — Doszedłem już po tę miarę boleści i zepsucia, w której człowiek wstydy się nieszczęścia gorzej niż trądu, a nieszczęście rozdrabnia na wszystkie otaczające go przedmioty, okoliczności, wypadki i przeciw każdemu widomemu ułamkowi tej niewidomej całości natęży siły swoje, ostatecznych chwytą się środków i potem dziwi się, że takie walki przetrwał, takie góry porzucał, a tu nowe łby odrastają hydrze i o nowe grzyby potrąca się jego noga. — Więc też ślepa jakaś wściekłość go opanowywa<sup>50</sup> — instynktowie<sup>51</sup> tłucze pięściami na wszystkie strony — a czy to rozbije, co mu najdroższym — czy w własną głowę uderzy — czy w kodeks prawny, on już nie dba o to, byle sobie ulżyć choć na jedno odetchnienie, byle przestać cierpieć choć przez czas ruchu zegarowego wahadła. — Otóż, jako wam rzekłem, ja byłem w tej chwili właśnie choroby nieszczęścia. — Siedzieliśmy przy wspaniałej uczcie — stół uginał się od sreber, złota, kryształów — błękitne płomyki tlejącego ponczu tu i owdzie migały jak potępione duszyczki — a czarnymi dziobami lamp z żelaza ulanych na herkulańskie wzory, tryskała jasność rażąca i czerwona. Nie wiele nas było osób: — ona, ja i ktoś trzeci. — Ona go wzięła za rękę — swoją czarą

Rozpacz, Cierpienie

<sup>50</sup>opanowywa — dziś: opanowuje. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>instynktowie — dziś: instynktownie. [przypis edytorski]

o puchar jego trąciła — a on się pochylił i dotknął ustami brzegów tej czary w miejscu, w którym ona dotknęła ich pierwiej!

Spojrzałem na tego człowieka, — on zadrzał i wskazując Aspazji szepnął z cicha: — Beniamin mię zabije.

Aspazja się rozśmiała. —

— Nie, on ciebie nie zabije — mówiła wesoło, — ja tak lubię ogniste spojrzenie twoich czarnych oczu, tak się cieszę, kiedy przemówisz tym głosem silnym jak rozkaz, nęcącym jak pokusa — a Beni kocha mię tak szczerze — a Beni tak żyje tylko życiem moim — Beni tak czuje tylko moją rozkosz, że on by nigdy zabić cię nie mógł. — Wszak prawda Beni, miłość twoja najwyższa, najzupełniejsza — najprawdziwsza — miłość twoja używa moim szczęściem tylko — miłość twoja nie pragnie, lecz kocha mnie — wszak prawda Beni? —

Biedna Aspazja pomyliła się w czasie.

Prawdą było to dawniej, wtedy kłamstwem już... Dawna owa niczym niezachwiana wiara w serce moje — owa pewność wszystkich poświęceń z mej strony trzymała mię przykutym do skinięcia jej ręki — ale dawniej było wiele jeszcze dobrego we mnie, dawniej kochałem ją — a wtedy — czułem tylko, iż nienawidzę wszystkich, których ona jak na stypie mej duszy dzieliła okruszynami tego, co ja jej dałem kochania.

Po uczcie oddalił się cudzy<sup>52</sup> człowiek — wyszedłem za nim i szedłem długo przez ciemnych ulic zakręty. — Do końca jednej ulicy przytykał plac rozległy i pusty — na całej jego przestrzeni chwiały się tylko we mgle wilgotnego powietrza dwa światełka dwóch zapalonych latarni, zbliżyłem się do człowieka i powiedziałem mu:

— Zgadłeś dziś los swój — ja ciebie zabiję.

Człowiek ten był uzbrojony, miał szpadę przy boku i puginał za pasem — bronił się odważnie, z rozpaczą, ale ja go zabiłem — i wracałem tą samą drogą, a zamiast latarni świeciły przede mną dwa okropne rozwarłe i bielmem zasłże oczy.

I wróciłem do Aspazji — powiedziałem jej wszystko — Aspazja wysłuchała mię bez oburzenia, bez wstrętu, ale zamyśliła się głęboko — i po długim milczeniu rzekła zimnym głosem sądowego wyroku:

— Ja ciebie nie kocham — ty mię nie kochasz, rozstańmy się, Beniaminie.

Gdym usłyszał te słowa, ciemno mi się zrobiło i język mi zdrętwiał; potem przez chwilę patrzyłem na tę kobietę i w mózgu moim postawa jej odbijała się z taką dokładnością, jak niegdyś postawa tego wilka co Zittę za piersi chwycił. — Nie uszło mojej baczności ani jedno zawiązanie misternych kóleczek perłowej siatki, którą na włosach miała, ani jeden fałd jej kaszmirowej, jasnozielonej sukni — pamiętam każdy odbłask światła, który się łamał w dwóch przepysznych opalach na jej obnażonych ręku<sup>53</sup> bransoletami upiętych — pamiętam, jak trzymała te ręce łokciami przed sobą wsparte o stół ciemny i w dziwaczne arabeski mozaiką wykładany, — pamiętam, jak na zaciśniętych dłoniach brodę oparła, jak jej szyja wygięła się przez to, jak cała głowa w tył przerzuciła, jak jej to nadawało wyraz dumy i zuchwalstwa, jak mi spoglądała w oczy tymi swoimi oczyma, które jej poczerniały prawie od czarnej krwi jej serca. — Potem — och! potem — wzgarda płomieniem z piersi do ust mi buchnęła, rozgrzał mi się język — splunąłem z niego wszystkie obelgi, wszystkie moje męczarnie, wszystkie przekleństwa. — Aspazja słuchała ich z tą samą spokojnością jak pierwiej, gdym jej mówił, że przez nią i dla niej zabiłem człowieka. — Ta spokojność wywołała ze mnie wściekłość i dziką chęć zemsty — przyszło mi na myśl, że jak ją zabiję, to przecież choć pod pchnięciem sztyletu zadrgną<sup>54</sup> rysy jej twarzy i usta jękną boleścią... Chęć moja uprzytomniła mi się tak dobitnie, że gdym ją nagle ujrzał prawie spełnioną, sam siebie się przeląknem i ucieknem z pokoju... Dziwna rzecz — ani byście zgadli, czego ja najwięcej żalowałem, gdym z pierwszego uniesienia zawziętości ochłonął. — Dziwna rzecz, ja żalowałem, że Aspazji nie zabiłem dawniej, och! dawniej, kiedy ją kochałem jeszcze. — Mnie rozpacz brała nie za kobietą, lecz za miłością moją. — Nie mieć miłości — tracić tak najpierwszy istnienia swego warunek, patrzeć tak na pogrzeb własnej duszy dlatego, że się na ohydę wybranego przedmiotu patrzyło — to okropnie! Czyż nie lepiej byłoby, czyż nie stokroć lepiej, gdybym był zabił Aspazję wtedy, jak ona

Rozstanie

<sup>52</sup>cudzy — tu: obcy. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>na (...) obnażonych ręku (daw.) — dziś: na obnażonym ręku a. na obnażonych rękach. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>zadrgnąć — dziś: zadręgać. [przypis edytorski]



ze mną razem na gwiazdy patrzyła, jak włosy i oczy moje całowała, słuchając z dala płynącej piosenki — czyż nie lepiej? — ja umarłą byłbym owinął we wszystkie pamiątki moje i byłbym przechował na dnie serca bez uszkodzenia, bez zmyty grobowej i byłbym ją kochał na wieki — i wtedy przypomniałem sobie te pierwsze prawie rzeczono do mnie słowa: Bóg kocha zniszczeniem i tajemnicą. Zrozumiałem je — lzy mi w oczach stanęły — Aspazja znikła z pamięci, został tylko żal niewymowny — rozpaczliwa ku przeszłości tęsknota — wydarcie się wszystkich władz ducha ku temu, co już minęło!... Gdybym ja to miał, choć zniszczeniem i tajemnicą — to bym miał. — Na wyższy sylogizm nie mógł się wtedy zdobyć mój umysł. — Mieć jeszcze — mieć! — w to słowo zakłęły się zwroty wszystkich myśli moich, a biedny nic już nie miałem. — Zrzuciłem mój ubiór bogaty, rozsułem nogi moje — wzięłem płaszcz tylko na ramiona i wyszedłem z naszego pałacu takim, jakim mię Aspazja przy drodze swojej spotkała. — Takim? — och! nie — nie — nie takim wcale. Kiedym wielkie i puste, choć zawsze światłem gorejące przechodził salony i kiedy weneckie zwierciadła ze wszech stron odbiły moją postać ciemną, wychudłą — złamaną, na podróznym kiju wspartą, mnie wielka litość nad sobą samym zdjęła — czemu ja dzieckiem w rodzicielskim domu nie zostałem — czemu mię tak daleko od siostr i braci wysłano? — czemu zły duch mojego konia w stronę jej zamku popędził? — czemu ona tam przypłynęła, gdzie ja byłbym skonał może w pierwszym szczęściu i w pierwszej boleści — skonał niewinny, cichy — biały jak lilia, nim na nią kurz lub upał dnia skwarne padnie? — Czemu ona nie odeszła, kiedy ja przeczuwałem wszystko i prosiłem — „zostaw mnie”? — Byłbym umarł albo dotychczas byłbym jeszcze siadywał przy obrazie Cypriana długimi wieczorami po skończonej pracy — byłbym marzył, byłbym kochał — albo może... i przypomniałem sobie listy braci, ojca, matki... spuściłem wstydem odkryte czoło, nie otarłem łez płynących — poszedłem dalej ciężką drogą moją. — I szedłem długo — daleko przez gęste lasy, przez strome góry — przez rzeki i przez jeziora: — a tymczasem dzienniki europejskie we wszystkich językach przetłumaczyły ważną, nadzwyczajną, niespodziewaną nowinę: „Hrabia Beniamin — donosił jeden z nich — komandor krzyżów, kawaler orderów\*\*\* członek wielu uczonych towarzystw, zniknął nagle w nocy z 1-go na 2-gi listopada po odbytych pojedynku z księciem\*\*\*, którego zabił. — Nazajutrz był wielki bal w pałacu\*\*\*. Hrabina Aspazja przyjmowała kwiat naszych salonów z właściwym sobie wdziękiem i nie mogliśmy dość wydziwić się jej spokojnej wesołości, którą zapewne wszystkie domysły i podejrzenia oszukać chciała. — Mówią powszechnie, że hrabia Beniamin, młodzieniec niepospolitych zdolności, genialny autor ważnego dzieła o starożytnościach etiopskich i zachwycającej księżeczki drobnych poezyj pod tytułem: *Czarnoksiężstwa*, oraz najznakomitszy spomiędzy dyplomatyków naszych był już od dawna w bliskich z tą panią stosunkach. — Tajemnica, ale tajemnica pełna uroku i dobrego smaku, taka jaka od najsurowszych nawet sędziów wysokiej arystokracji cierpianą bywa i przed którą się nawet rozwarły pyszne pokoje margrabiny\*\*\*, tej skały niedostępnej powodziom dzisiejszych zwyczajów, tajemnica taka, mówimy, osłania życie tych dwóch zupełnie godnych siebie istot — z przyjemnością jednak możemy donieść czytelnikom naszym, że wszelkie hańbiące domysły o urodzeniu hrabi Beniamina są jak najnikczemniejszą potwarzą. — Szlachetne rysy jego zbyt jawnie świadczyły przeciwko tym, którzy mu chcieli izraelskie zarzucić pochodzenie — a teraz jeden wiarogodny z poufanych jego towarzyszy objaśnił nas zupełnie w tym względzie, lecz włożył zarazem trudny obowiązek dochowania wiernej tajemnicy. — Zdaje się nam jednak, iż jej nie zdradzimy, jeśli przydamy tylko, że za Beskidem może, w rozkosznej zaciszy książęcego ogrodu, na marmurach i wschodnich kobiercach pierwsze kroki swoje stawiać zaczęło to dziecię nadzwyczajne, które miało zająć tak daleko i zniknąć tak nagle”.

Z gorzkim uśmiechem przeczytałem cały ten ustęp na kawałku wyrzuconej przez okno gazety: — hrabia Beniamin, człowiek genialny, domniemane jakieś serbskie czy wołoskie książątko, siedział wtedy pod murem gościnnego domu — śnieg i wiatr na przemiany twarz jego smagały, a krew zamarzała na grubych szmatach, którymi nogi swoje obwinął — daleko mu jeszcze było do końca podróży — och! daleko bardzo.

## VI.

Dopiero w samą wigilię Bożego Narodzenia zobaczyłem na płachcie śniegowej czerniejącą wioszczkę maleńką — krzyż się wznosił u rozstajnej drogi, spoza dworskich zabudowań niby palce olbrzymiej dłoni cztery topole niebo wskazywały — a na środku dziedzińca szkielet bezlistnej lipy sterczał samotny i nieruchomy. — Ja nie zapłakałem nawet — tylko mi coraz trudniej było nogi od ziemi odrywać i zbliżające stawiać kroki. — Sam przed sobą wydawałem się jako umarły — cieniem — żywiołem wrócony — tam, skąd niegdys kształty i czas życia wziąłem. — Gdym wszedł na dziedziniec, psy okropnie szczełakać najpierw, potem wyc zaczęły, a jednak nie zbliżył się i nie ukąsił mię żaden: — „Czują trupa” — pomyślałem sobie i wszedłem do sieni. — Za klamkę od pokoju ująć nie mogłem, nie śmiałem, padła na mnie wielka jakaś trwoga, jakiś wstyd dziecinny, kobiecy — byłbym chciał się pod ziemię schować, lecz w pokoju musiano wejście moje usłyszeć. — Nagle drzwi się uchyliły i w szczelinie światła ukazała się główka maleńka.

— Ciociu! — to ubogi — rzekł potem cienki, srebrzysty głos<sup>55</sup> dziewczęcy.

— Zanieśże mu to — odpowiedział głos inny — znany dobrze — głos ten przenikającej rzewności, niepojętego smutku.

I po chwili drzwi się znowu rozwarły — mała dziewczynka stanęła przede mną z dużym chleba kawałem i z groszem jałmużny.

Wziąłem chleb, wziąłem grosz, pocałowałem jej rączkę i szedłem za nią.

— Czego chcesz jeszcze, dziadku? — spytała.

— Chcę podziękować tym, co mię wsparli — odpowiedziałem i na progu stanąłem.

Stół był nakryty, siano podesłane, w jednym końcu siedziała kobieta, blada, z białymi jak srebro włosami, w czarnej sukni i w czarnym czepku — po obu jej stronach młode żony — młodzi jeszcze mężowie, dorastające chłopcy i panienki, małe jak moja mała wspomóżycielka dzieci — i oplatki połamane... i wszystko tak podobnie jak przed laty...

— Matko! Matko moja! — krzyknąłem.

Kobieta w czarnej sukni zerwała się — ale sił jej zabrakło i znów na krzesło padła — między przytomnymi gwar jakiś powstał — wiem, że wołano: „Beniaminie, co zrobiłeś! Matko, uspokój się!” — lecz ja tego wszystkiego nie pamiętam już — wspomnienia wracają mi od tej chwili dopiero, gdym się przytulał obłąkany, łkający, do kolan czarno ubranej kobiety — i gdy na czole z pocałunkiem jej łzę gorącą uczulem — to była łza mojej matki!... ja miałem jeszcze matkę!

— A gdzie ojciec? — wyjąknąłem<sup>56</sup> nieśmiało, kryjąc twarz na łonie jej.

— Tam, gdzie Józef i gdzie Karol — odpowiedziała cichym, ale serce rozdzierającym od niemej boleści głosem.

Podniosłem głowę, spojrzałem dokoła — prawda, nie było ich.

— Oni chrześcijańską śmiercią pomarli — przydała matka.

— A nie nad ich zgonem wypłynęły najbardziej gorzkie łzy nasze — odezwała się Bronisława i to był pierwszy, jedyny wyrzut, który mię spotkał.

Nic nie mówiłem, nikt mię nie badał — Ludwinka otoczyła mię całą troskliwością serca swojego — a przecież ten wieczór, ten jeden wieczór powinien by był uzupełnić miarę cierpienia i pokuty mojej. — Znaleźć się tak obcym wśród najukochańszych niegdys — tak potępionym wśród czystych aniołów, tak obżałowanym litością i miłosierdziem — wśród tych, co niegdys z dumą i pociechą na pierwsze twoje kroki spoglądali — tych, co wróżyli cnoty sercu twemu, chwałę zdolnościom, szczęście losowi twojemu — tych, co powtarzali z rozkoszą i radością pierwsze wyrażenia ust twoich dziecinnych — co się lubowali nad pierwszymi pomysłami młodej głowy twojej — znaleźć się takim i żyć potem jeszcze — och! to jakiejś żelaznej siły na to trzeba!

Matka moja bardzo już była zmienioną i słabą. — W jej oczach zapadłych, przyćmionych, na jej licach wychudłych i głębokimi zmarszczkami okrytych czytałem każdy wyraz potępienia mojego — każdy wyraz przekleństwa, którego jej usta nie wyrzekły nigdy i myśl nie pomyślała zapewne — lecz który niemniej okropną zgryzotą i piekielnym cierpieniem serce moje rozdierał.

<sup>55</sup>głosek — dziś: głosik. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>wyjąknąć — dziś tylko jako czynność wielokrotna: wyjąkać. [przypis edytorski]

Jedna z wnuczek wspomniała, że się na mszę północną wybiera.

— I ja pójdę z tobą — rzekła moja matka — są dni, w których się więcej modlić muszę, bo w nich zawsze więcej byłam szczęśliwą albo więcej cierpiałam.

— Ile to lat już będzie, jak Cyprian tak samo w wigilię Bożego Narodzenia wrócił? — spytałem po cichu siedzącej przy mnie Tereni.

— Sześć lat, Beniaminku.

Och, moi państwo! — na tę prostą odpowiedź mnie się lzy gradem po twarzy stoczyły. — Sześć lat! sześć lat — a przez te sześć lat mnie nikt nie powiedział „Beniaminku” tak jak Terenia w tej chwili mówiła. — Zerwałem się — wybiegłem do drugiego ciemnego pokoju — rzuciłem na ławeczkę, ową ławeczkę, przy której Julki piosnek słuchałem i lżej mi było, gdyż zapłakać mogłem. — Oni dobrzy, zrozumieli mię wtedy — nikt nie poszedł za mną — dopiero gdy na spanie rozchodzili się wszyscy, przyszła matka — wzięła za rękę i poprowadziła do swego pokoju.

— Pamiętasz — rzekła — jak długo tu sypiałeś w swojej kołysce, a potem w owym małym, czerwonym łóżeczku? — od urodzenia, aż do chwili, w której pierwszy raz konia dosiadłeś i w której twój ojciec z uśmiechem powiedział: — „Och! to już teraz dorosły mężczyzna, niechże sobie stąd na własny przemyśl między ludzi idzie” — i zaniesiono wtedy pościółkę twoją do braci na górę. — I nauki, zatrudnienia, młode lata twoje uniosły cię jeszcze dalej od macierzyńskiego boku — i zanosły tak daleko, że mnie się zdało, jakobym już na zawsze moją pieśczołkę, moje dziecię najmłodsze straciła. — Ale teraz, kiedy wróciłeś do mnie, mnie się znów zdaje, że ja ciebie drugi raz na świat wydałam, że tak jako wtedy nie obejdzie się znowu bez moich starań i bez ciągłej opieki mojej, dlatego też patrz, Beniaminku, sama usłałam twoje łóżko w tym miejscu, w którym dwadzieścia cztery lat temu kolebka twoja stała. — Zaśnij spokojny — jak gdybyś miał z jutrem po raz pierwszy na światło oczy twe otworzyć — nie pomnij złego, Beniaminku — wyrzuc z serca przeszłość całą — tylko nie wyrzucaj tej miłości, którą nas kochałeś dawniej — z tą miłością zaczniemy jeszcze bardzo piękne życie — alboż to nam czasu braknie? — Och! choć ja stara — zobaczysz, jak wypielegnuję i wyhoduję nową młodość twoją. — Serce matki zna cudowne tajemnice wiecznego odżywiania we wszystkich chwilach przeszłości swego dziecięcia. — Zobaczysz, Beniaminku, że nam dobrze będzie...

I drżącą ręką krzyż święty nad głową moją w powietrzu zakreśliła.

Och! ja wierzyłem tym obietnicom — ja czułem, że ciepło jej serca mnie wskrzesić może — zsunąłem się do nóg jej i oskarżyłem o wszystkie moje występki, moje zbrodnie — o jej nieszczęścia wszystkie.

Matka słuchała mię z głębokim smutkiem — odpuściła mi z litością świętą, bożą, — ale gdy w nocy na mszę zadzwonili, matka już wstać nie mogła i potem nie wstała także.

Przez kilka tygodni krokiem się od jej łóżka nie ruszyłem, podawałem lekarstwa — przynosilem ją na rękę moim. Siostry w objawieniu jakiejś Chrystusowej dobroci nie wydziedziczyły mię z jedynej, którą jeszcze mieć mogłem, pociechy. — Czasem gdy patrzył na twarz matki bladą, nieruchomą w bezwładnym uśpieniu, okropny głos wołał na mnie: — „ty ją zabijasz — zabijasz!”.

Ale gdy matka znowu oczy otworzyła, gdy spojrzała na mnie, gdy jej uśmiech spokoju i przebaczenia wszystkie rysy twarzy rozpromienił — to mi znowu tak było błogo i lekko na sercu, jak gdyby cichy anioł zstąpił do niego i mówił: — „dobrze zrobiłeś, żeś wrócił, matka twoja nie umrze z ostatnią myślą troski i obawy”.

Jednego wieczoru lepiej się jej zrobiło — kazała się posadzić na wielkim krześle i do ognia przysunąć. — Siostry z dziećmi swoimi obsiadły ją dokoła. — Mała córeczka Tereni, taż sama właśnie, co mi jałmużnę dała, przyszła i wsparła główkę o babki kolana, a gdy Terenia cofnąć chciała dziewczynkę, babka ją przytrzymała i pogładziła z lekka drżącą ręką swoją; patrząc zaś na zbytek owych jasnych pierścieni, co jej się niby potokiem złota po łonie rozlały: — Pamiętam — mówiła — nasz Beniaminek miał także same włosy — i znak mi dała spojrzeniem, bym się zbliżył do niej — i zbliżyłem się, przyklęknałem — matka jeszcze bardziej schylić mi się kazała — zapewne robiła jakieś porównanie między tymi dwoma o jej kolana wspartymi głowami, bo jej palce kolejno mego i małej dziewczynki dotykały się czoła — nareszcie odezwała się, jakby kończąc myśl jakąś:

— Ja mu też zawsze powiadałam, że wrócił!... — a potem na jej czoło i lica wystąpiła nagle gorączkowa czerwoność, znać było, że wiele siły zbierała, by pewne wymówić jeszcze

słowa. — Beniaminie — rzekła wreszcie przerywanym głosem — nie zapomnij pójść na grób ojca!... tam zaraz obok niego Cyprian spoczywa... Józef i Karol gdzie indziej... ale mają swoje krzyże — nie zapomnij, ja tam będę... i westchnęła — ręka jej z mojej głowy na kolana spadła i nie miałem już matki!...

Siostry i bracia nie chcieli mię wziąć z sobą na pogrzeb, tak przy ich cichej boleści rozpacz moja gwałtowną im się zdawała — podobno, że się rozchorowałem nawet, ale ja nie wiem — chyba to już nie była ta dobroczynna choroba, która pamięć i życie zawiesza — była to choroba okropnej bezsilności tylko — żadna chwila snem nawet nie zginęła mi — widziałem i czułem każde cierpienie z osobna, lecz nie mogłem ani tak rozdrażnić się, żeby mię wszystkie razem, od razu zabiły, ani tak ukoić, żebym choć w odrętwieniu popadł. — Opuściła mię siła myśli, siła woli, dawałem sobą rządzić jak dziecko małeńkie, a sam cierpiałem, cierpiałem...

Po jakimś czasie rozjechali się wszyscy, w opuszczonym domku Ludwinka tylko została się ze mną. Rodzeństwo ułożyło sobie, że gdy przyjdę do zdrowia, obejmę gospodarstwo naszej małej wioseczki i mieszkać w niej będę z tą wszystkich najukochańszą siostrą. — Nie odrzuciłem, ale też nie przyjąłem tego układu; brakło mi sądu i zastanowienia nad najdrobniejszym życia potocznego szczegółem; rozprzęgła się jedność całej mojej istoty — w każdej części z osobna, osobną boleść czułem. — Płakać nie mogłem, ale mi czasem tak okropnie twarz posiniała, tak straszliwe hieroglify z żył wezbranych na czoło wystąpiły — tak oczy krwią zaszły, tak załamane ręce głucho kośćmi chrzęsnęły, że Ludwinka aż się przystąpić bała do mnie — a ja wówczas przypominałam jej słowa Cypriana. „Ludwinka nawet minie cię ze wstrętem” — i dręczyłem jej biedne serce cierpkością mych wyrzutów, jak gdyby ona trosk może dawniejszych jeszcze niż moje własne troski, nie była musiała teraz nową przyodziać żalobą, świeżymi rozjątrzyć łzami. — Ludwinka jednak miała dziwną, niepojętą dla mnie cnotę — umiała być nieszczęśliwą. — Jej nigdy cierpienia nie zatrwały serca, nie psuły dziennego porządku — Ludwinka też z niezachwianą cierpliwością znosiła moje dziwactwa — obchodziła się ze mną jak z chorym dziećciem i czasem... czasem dobroć jej przypominała mi matkę.

— Beniaminku — mówiła raz ona — trzeba ciągłym ruchem i ciągłą czynnością zagłuszyć głos boleści rozdzierającej nam serce — trzeba uciec z własnej piersi — oderwać się od siebie samego i zwrócić na zewnątrz — trzeba myśleć o jakiej osobie, o jakim zatrudnieniu, o rzeczach jakich — patrzeć na przedmioty nas otaczające — na robotę rąk naszych, a nigdy w głąb własnej duszy nie spojrzeć, nigdy się myśleć w tajnie własnych uczuć nie zatopić — tym sposobem jedynie można iść przed siebie; — chociaż to nie pociesza i nie koi bólu, przynajmniej rozrywa go i dzieli — ty dzisiaj wszystkie władze twoje skupiłeś w jedno życia ognisko, a to ognisko męczarnią — posłuchaj mojej rady, gdy z władz owych jedną tylko odedrzeć spróbujesz, gdy uwagę tylko odłączyć i skierować zdołasz — zobaczysz Beniaminku, jak ci znośniej będzie. —

— Znośniej, Ludwinko? — zagadnąłem ją nieufny — czy ty mi ręczysz, że znośniej? z takim po wierzchu zamkniętym grobem, z taką na dnie zgnilizną, — to być nie może, to jest tylko żyć dwoistą śmiercią.

— Ja ci ręczę, że znośniej — odpowiedziała mi łagodnym jak prośba głosem i ścisnęła za rękę z przekonaniem i wiarą.

— Ha! rozumiem cię — rzekłem — wyjdzie mi to na jedno, jak gdybym trzymał ciągle przy ustach flaszkę z gorzałką i odurzał się...

— Mnie takie podobieństwo nie przyszło do myśli — odparła smutnie Ludwinka — ale jeśli to tak jest, to przynajmniej odurzenie nasze i Boga nie obraża, i ludzi nie gorszy.

— Co ty mówisz, Ludwinko — że Boga nie obraża? chyba twój Bóg musi być jakąś obojętną figurką w czerwonej sukni i błękitnym płaszczu jak go zwykle po ołtarzach malują — bo jeśli on jest takim, jak mi o nim Bronisia mówiła — jeśli jest pięknem, miłością, szczęściem, to przyznaj sama, że go właśnie najbardziej powinien obrażać widok człowieka, który cierpi i godzi z cierpieniem swoim...

Ludwinka długo patrzyła mi w oczy.

— Kto się nie godzi — rzekła wreszcie — ten ma nadzieję, iż je z życia wyrzucić potrafi. — Czy ty masz nadzieję, Beniaminku?

Zamilkłem — na to jedno pytanie żadnej dać nie mogłem odpowiedzi.

Cierpienie

Nazajutrz jednak w niezwyklej ruch się rzuciłem. — Pooglądałem książki, które na półkach stały tak samo jak za życia ojca ułożone, roztworzyłem i starą Biblię, i ów tom *in quarto* z królów popiersiami — i tę książkę, która ojcu z rąk wypadła przed pierwszą moją czytania nauką i znalazłem na okładkach niektórych rozmaite szkice Cypriana roboty — i między niektórymi kartkami rozmaite obrazki, które na prośby nasze malował — w jednym dziele szczególnie było ich osiem, wszystkie według starszeństwa właścicieli ułożone i ręką ojca podpisane — zapewne schował ich<sup>57</sup> tam na pamiątkę naszych zabaw dzieciennych. — Dla Adasia było niby zwierciadło tak ustawione, że w nim odbijała się postać młodej prześlicznej dziewczynki, choć dziewczynka nie weszła jeszcze do pokoju. — Dla Julci był wizerunek starej Paraski, która ją wszystkich dumek i kołomyjek uczyła — dla Józefa, zabudowania folwarczne z jakiegoś zamożnego, jak widać było, gospodarstwa, bo dachy stodoł równały się drzew wierzchołkom, a stogi i brogi migwały jeszcze w perspektywie. Przed samym zaś dworem było okrężne i Józef jak parobczak ubrany, z młodą przodownicą w taniec się wybierał.

Dla Ludwinki była tylko mała osiny gałązka.

Dla Bronisławy — kobieta na lwie wsparta.

Dla Karola, apoteoza myśliwska — on sam po chmurach na swojej Zitcie pędził — Moloch warował do księżycy, a pod strzałem „kochanki” gwiazdka jakaś maleńka jak bekas spadała.

Dla Tereni był piękny chłopiec wychylający się do połowy z kielicha cudownego kwiatu, którego wszystkie listki z najdziwaczniejszych przedmiotów się tworzyły, bo w kształt jednego rozwijała się niby czarownica na łopacie, w kształt drugiego buchał język płomienny, inny wyobrażał smoka, inny dziewczę w koronie, inny był podobny do dziesiątki kierowej rubinami wysadzanej na tle mieniącym się jak oko pawiego pióra.

Dla mnie był młody Tobiasz w drodze do córki Reguela, z swym nieznanym przewodnikiem<sup>58</sup> odpoczywający; miasto jakieś ukazywało się w dali, spoza miasta wschodziło słońce, a Tobiasz, rękę przyłożywszy do czoła, patrzył ku miastu i ku słońcu.

Nie mogłem sobie wytłumaczyć, czemu w pierwszej chwili widok tego obrazka nie zasmucił mię, jak zasmucało każde inne z dawnych lat wspomnienie. Wyjąłem go, schowałem przy sobie.

Potem obszedłem wszystkie kąty domu — wszedłem aż do piwnicy, w której my, drobniejsze dzieci tak często latem ubiegaliśmy się o to, które z nas w tłuczkach masło klócić będzie — po śniegu przekopałem się aż do rzeczki, co nasz ogródek z łąkami dzieliła — byłem wszędzie, tylko nie miałem odwagi wejść do tego pokoiczku na górze, w którym to Cyprian w pomysł swojego malowidła wziął mi młodość, piękność, szczęście — i niewinność mojej duszy. Ale nad wieczorem, gdy się z dniem moim obliczył, spostrzegłem, że Ludwinka miała słusność, że taki ruch ciągły, choć bezcelny<sup>59</sup>, taka choć tylko zmiana przedmiotów boleści, jest wielką ulgą. — Chciałem ją wyczerpnąć<sup>60</sup>. — Zapaliłem świecę i poszedłem na górę — klucz rdzą okryty nie tak prędko zamek mi otworzył — poznałem, że musiano dawno już tam nie chodzić. — Siłą odparłem rygle — drzwi otworzyłem i... nie uciekniesz przeznaczeniu!

Ona znowu siedziała przede mną, a siedziała taką, jaką jej zawsze pragnąłem, jakiej czekałem w najszczęśliwszych... źle mówię, w najnamiętniejszych uniesieniach jej miłości. — Zbladłem okropnie, do gardła tak mi się coś rzuciło, jakby mię ręka czyja, ręka żelazna ścisnęła za nie — postąpiłem naprzód, lecz w tejsze chwili, najpewniej przez drzwi, których nie zamknąłem, wiatr lekki przeciągnął. Poczulem zimno jego na twarzy, jak dmuchnięcie cichego westchnienia — i świeca zgasła — choć w ciemności, ja zamknąłem jeszcze oczy, bo się bałem... Lecz na próżno — pod powiekami jakbym ją zabrał był w spojrzeniu, unosila się przede mną jej twarz, częścią do twarzy obrazu, częścią do tej twarzy, która mi w jaskrawości pioruna mignęła wyrazem swoim podobna — zbiegłem

<sup>57</sup>*ich* — dziś: schował je (obrazki). [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*młody Tobiasz w drodze do córki Reguela, z swym nieznanym przewodnikiem* — nawiązanie do historii z biblijnej Księgi Tobiasza; córka Reguela to Sara, przyszła żona Tobiasza młodszego, przewodnikiem jego był archanioł Rafał, występujący pod imieniem Azariasza; przed Tobiaszem Sara miała siedmiu mężów, których jednak w noc poślubną zabijał demon Asmodeusz; anioł pomógł Tobiaszowi uwolnić Sarę od demona. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*bezcelny* — dziś: bezcelowy. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*wyczerpnąć* — dziś tylko jako czynność wielokrotna: wyczerpać. [przypis edytorski]

na dół, twarz szła przede mną — zawołałem Ludwinki, wypytywałem jej o różne drobiazgi, słuchałem dawanych mi odpowiedzi — twarz ciągle tkwiła przed moim wzrokiem — gdzieś się zwrócił, ona się zwróciła — gdzieś stanął, ona stanęła — kazałem ogień rozpaść, patrzyłem w płomień, twarz gorzała w płomieniu, a spalić się nie mogła, jak krzak cudu Mojżeszowego.

— Ludwinko — rzekłem nagle do siostry — co byś ty zrobiła ze mną, gdybym ja dostał pomieszania zmysłów?

Ludwinka z trwogą spojrzała na mnie, wzięła mię za puls u ręki i niespokojnie jego uderzenia liczyła.

— No i cóż? — rzekłem znowu — Czy tak bije jak u wariata?

— Nie mów tego, Beniaminku — odrzekła siostra — masz trochę gorączki, bo dziś może zanadto się zmęczyłeś, jak usniesz, to ci będzie lepiej.

— A jeśli nie usnę?

— Dlaczegoż nie miałbyś usnąć? Do snu można się czasem przymusić, a sen to taki miły, taki miły jak śmierć...

— I ty wiesz o tym, Ludwinko?

— Och! wiem, Beniaminku.

— A czy wiesz także, czy doświadczałaś kiedy, jak to bywa, gdy się na przykład do myśli pewny wyraz przyplącze albo imię, którego się pozbyć nie możesz, choćbyś po tysiąc razy spędzała je sprzed siebie — albo czasem gdy ci na oczach twarz jaka stanie i gdziekolwiek spojrzysz, to wybije zawsze jak owe zielone i czerwone koła, które za tobą gonia, gdyś zbyt długo pod słońce patrzyła.

— Znam i to mój braciszku.

— A cóż robisz wtedy?

— Wtedy słucham i patrzę...

— Lecz jeśli nie chcesz słyszeć i widzieć...

— Ja braciszku nie mam ani wyrazu, ani twarzy, których bym się tak nawet w złudzeniu wyrzekła.

— Och! toś ty jeszcze bardzo szczęśliwa! — powiedz mi, czy widziałaś ten obraz na górze?

— Widziałam... tak, dwa razy widziałam.

— I nie chciałaś więcej patrzeć na niego?

— Nie, bo on mi okropne chwile przypomina: widziałam go po raz pierwszy na dzień przed śmiercią Cypriana, a potem widziałam znowu, gdy Bazylki rzeczy twoje odwiózł i gdzie ty byłeś? słowa powiedzieć nam nie umiał. — Od tego czasu mam wstręt do tego malowidła, bo dziwne usposobienie moje! ja, co tak lubię smutkiem na rozrywkę się bawić, od rzeczywistej boleści unikam.

— Jednak to piękny obraz, Ludwinko?

— Piękny jak niepodobieństwo!...

— Czemu niepodobieństwo, Ludwinko? — takie kobiety są — Cyprian to mówił i ja taką znam.

— Być może, Beniaminku, chciałam powiedzieć tylko, że nie taka kobieta, lecz taka chwila w życiu jest niepodobieństwem.

— Błuznierstwo! błuznierstwo! — zawołałem pocieszony tą marną słabych i złamanych ludzi pociechą, że mogą w drugich odpierać swoje własne myśli i obawy. — Taka chwila jest koniecznością, bo jest szczęściem i udoskonaleniem.

— Ja myślałam, bracie, że w takiej chwili człowiek by świata i Boga zapomniał — więc mu Bóg dobry chwil takich nie daje.

— Otóż to znowu! szlachetność stoicka, wyrzeczenie się i zaparcie — to twoje cnoty Ludwinko. Najpewniej zdaje ci się, że dlatego tak nisko upadłem, bom ich nie miał. — No proszę — to wysmienite, doprawdy! — bez wszelkiego dobra człowiek dopiero najlepszym być może — a szczęście to grzech — zastanów się przecie, Ludwinko. — Gdybym ja spotkał i miał na całe życie taką kobietę, czy ja bym przez to co złego innym ludziom zrobił — czy ja bym nie był szczęśliwy? — a szczęście czyż mi się nie należy? — Szczęście!... Ludwinko, Ludwinko! — Gdyby ona tu przyszła do mnie — gdybyśmy oboje pomyłkę naszą uznali i zaczęli życie inne, spokojne jak ten ubogi domek nasz, dobroczynne, jak dzień z życia matki naszej wzięty — gdyby jej serce miłością tchnęło

dokoła — jej słowo w piękność zaczarowało ten światek maleńki... — to cóż? czy ci się zdaje, że ja bym był taki zły, jak jestem, taki zawzięty i zazdrosny, iż gdy wspomnę sobie nawet, jak to patrzę okropnie zabitego źrenice, to się nie lękam ich, tylko powtarzam wściekły, już ona więcej nie powie: „lubię twoje czarne oczy”. — Wszak prawda, Ludwinko? — gdyby ona mię kochała tak jak obraz kocha, ja byłbym dobry, użyteczny — nie straszylbym cię już nigdy...

Ludwinka cichymi łzami płakała.

— Czemuż by ciebie kochać nie miano? — rzekła nareszcie — młody jesteś, piękny jeszcze — i ty byś tak kochał przecie?

Zamyśliłem się — w zamyśleniu zwijałem ciągle i rozwijałem ową ćwiartkę papieru, na której był suchymi farbami mój Tobiasz zrobiony. — Po długiej chwili milczenia Ludwinka się zbliżyła i chcąc może o czym innym zacząć rozmowę.

— Co to trzymasz w ręku? — spytała mię.

Ja spojrzałem, bom już był zapomniał, że coś trzymałem nawet.

— Ach! to obrazek, który dziś rano w książkach znalazłem.

— Ostrożnie, bo go zepsujesz — patrz, już się miasto zatarło, a to obrazek dobrej wróżby dla ciebie Beniaminku. — Siedmiu oblubieńców miała Sara, siedmiu śmiercią pomarło, lecz ten jej się dostał, który ją miłością bożą i czystą pokochał.

— Prawdę mówisz Ludwinko — ukochać tylko i nie wątpić.

W nocy napisałem list do Aspazji...

„Matka mi umarła — mówiłem jej — cierpię okropnie — ale matka przebaczyła mi przed śmiercią — ja tobie przebaczyć muszę — nie, nie przebaczyć, Aspazjo — lecz powiedzieć ci, że dziś lepszy jestem, mój gniew pod tchnieniem ust macierzyńskich w łzy się rozpułnął, moje przekleństwa od jej błogosławieństw zaniemiały<sup>61</sup>, moja nienawiść przed jej miłością z duszy ustąpiła. — Gdym cię opuścił, Aspazjo, przez czas bardzo długi wspomnieć o tobie nie mogłem, tak mi się zaraz z całą okropnością swoją wracała ostatnia chwila naszego rozstania — wtedy odżywałem ją we wszystkich jej przejściach — wtedy zdawało mi się, że gdybym cię był ujrzał, to bym cię musiał zabić, chociaż wówczas nie zabiłem — wtedy znów mię napadało szaleństwo i ogarniała wściekłość bezrozumna. — Dziwna rzecz! z pięciu lat przeszło, któreśmy razem spędzili, nie mogłem innego wydobyc wspomnienia, tylko owe najgorsze wspomnienie — dzisiaj już tak nie jest — dzisiaj widziałem twój obraz — wszak pamiętasz? obraz, który był pierwszym pośrednikiem między nami, który mi zwiastował ciebie. — Otóż ja, widząc go, doznałem gwałtownego wzruszenia — tysiąca sprzecznych wrażeń — jednak Aspazjo, wierz mi, na pamięć mej matki, żadne nie było nienawistnym wrażeniem. — Aspazjo! mnie przy tym obrazie stały w myśli piękne dni nasze tylko — uczulem wielką wdzięczność za wszelkie dobro, które od ciebie wzięłem — za nauki, któreś mi ułatwiła, za chwile natchnienia, któreś mi dała — za te godziny, w których z uwielbieniem patrzyłem na ciebie i słuchałem głosu twojego. — Wdzięczność za wszystko, Aspazjo — że umiem zbutwiałych rękopisów odgadywać słowa, że mi teraz ostrołuki gotyckich kościołów i pilastry świątyń greckich od jednego spojrzenia muszą tajemnice swej piękności wypowiedzieć, zaraz w najdrobniejszym ułamku swoim — że mi ani jeden rzut pędzla sławnych mistrzów stracony nie jest w ich cudnych obrazach — że mi się otworzyły skarby tylu języków — że widziałem — że poznawałem — ja tobie winienem. Dawniej za nic to miałem — co więcej nawet: oburzenie tak niesumienym jest rachmistrzem, że wszystkie owe nabytki zaliczyłem do ciężkich twoich przeciwko mnie grzechów. — Czczym szyderstwem zdawały mi się dlatego, że szczęścia nie wracały, że ran nie goiły. — Dziś, Aspazjo, sprawiedliwym jestem — przynaję dobrodziejstwa twoje — dziś przypominam sobie także miłość twoją — pieszczoty twoje, namiętne uniesienia i tę wiarę niezachwianą, że ja cię kocham nad wszystko, ze wszystkim, z piekłem i niebem twej duszy. — Dziś przypominam sobie całą przeszłość naszą i całą uznaję — tak, całą, że nawet zabójstwa i występku nie chcę z niej wyrzucić — a wiesz dlaczego, Aspazjo? oto dlatego, bom się przekonał, że cię kocham znowu. — Występek świadczy przeciwko postępowaniu naszemu, przeciwko zdarzeniom i okolicznościom — miłość moja świadczy za prawdą łączącego nas uczucia — gdybym nie miał miłości, to by wszystko, co się stało, było złem niecofniętym jak

Miłość, List, Przemiana

<sup>61</sup>zaniemiały — dziś: oniemiały. [przypis edytorski]

wieczyste potępienie — gdybym nie miał miłości, to bym się widział tak nikczemnym i ciebie tak skalaną, że już by żyć nie było warto. — Gdybym nie miał miłości, to bym te sześć lat życia musiał nazwać rozpustą i wszeteczeństwem — gdybym nie miał miłości, to bym nie doszedł był do miejsc rodzinnych, nie przeżył śmierci mej matki, nie tknął dziś stopą niegodną jej grobu. Ale ja cię kocham Aspazjo — zblądziliśmy, to prawda, nie przeciągnęliśmy szczęścia naszego w nieskończoność — z chwili użycia szliśmy ku drugiej chwili podobnej, zamiast co byśmy mieli ku wyższej podążyć, — z całego świata naokół snuliśmy rozkosz dla siebie, z siebie nic nie wysnuli dla świata. W naszą pierś zbiegły się wszystkie jasności promienne, lecz z naszej piersi nie wystąpiły na zewnątrz, niczego nie ogrzały — nie oświeciły niczego, a my potem złamaliśmy się i upadli pod zbytkiem naszym — dobro nowego dobra nierodzące, jest złem najgorszym — głupstwo nie tyle zaszkodzi, nienawiść nie tyle pognębi, ile rozum, gdy się zużyje na bezplenne<sup>62</sup> prace — miłość, gdy się w samolubne uczucie roztrwoni — dlatego i my też cierpieli okropnie — dlatego ja byłem zazdrosnym, ty okrutną. — Ale ja cię kocham, Aspazjo — ja ufam, że odkupimy pomyłkę naszą szczęściem i doskonałością, tak jakeśmy ją odkupili boleścią i łzami. — Jeśli do ciebie w tej chwili nie przemawiam żywym głosem, tylko list piszę, Aspazjo — nie myśl, o najdroższa moja! bym się lękał twej wzdargy, bym nie dowierzał twemu sercu lub chciał nieszczerem wybiegiem resztkę obrażonej dumy osłonić. Nie, moją dumą jedyną to jest właśnie, że pierwszy ręce do ciebie wyciągam, że nowe wspólne szczęście dla nas obojga znalazłem. — Miłości twojej — miłość moja jest mi rękojmą — ja dziś wiem, że kto kochał, ten kochać będzie zawsze, choćby nieszczęście zawichrzyło mu w głowie, a grzechy tak serce zepsuły, iżby sam w obląkaniu wołał: „nienawidzę” — on kochać będzie, bo kochanie jedyną nieśmiertelnością człowieczeństwa. — Patrz Aspazjo — ja ci zlorzeczyłem — jam przebył tak okropną chorobę szaleństwa i zawziętości — a przecież w pierwszej chwili spokojnej — za pierwszym spojrzeniem na twój obraz, za pierwszym słowem nadziei, które mi siostra rzuciła, ja znów czuję, że cię kocham jak dawniej — lepiej niż dawniej, Aspazjo — i oni tu wszyscy przez sześć lat zapomniani, przez sześć lat zasmuceni, rozgniewani — gdym przybył, oni wszyscy uściskali mię z radością, nikt mi nawet nie wspomniął o przebaczeniu, tak je dał każdy prędko i zupełnie — a kiedy tutaj nikt kochać mię nie przestał, czemuż ja się mam lękać, żeś ty już przestała. — Czyż to podobnym jest nawet? — Nie, Aspazjo — jeśli ci się tak zdaje — jeśli pod wrażeniem złych wspomnień lub w napadzie tego nieszczęśliwego usposobienia, które czasem goryczą uśmiech, jadem słowa twoje zatruwa — jeśli, mówię, odsądzisz mię w sieroctwo, rozpacz i obojętność — to samej sobie nie wierz, jedyna moja — Bóg nie może przeszłości powiedzieć: „nie byłaś” — człowiek nie może powiedzieć sercu, które kochało — „już nie kochasz”. — W tej niemożności jest cała świętość prawdy Bożej — całe uświęcenie życia ludzkiego — ty mię kochałaś, Aspazjo — więc ty mię kochać będziesz — obraz Cypriana sprawdzi się, kochać mię będziesz tak jak na obrazie zachęta, nagrodą, uczestnictwem w czynach szlachetnych. Bo na obrazie widać to wszystko, widać, że z uścisku dwóch tych istot pięknych i doskonałych zrodzi się w przyszłości piękna jakaś i doskonała chwila, widać, że dla nich pieszczota jest zaczerpnięciem sił nowych, nie wydaniem zebranych, że Aspazja pochwyci lutnię swoją, że Alcybiades w słowa natchnionych pomysłów obwinie scytal<sup>63</sup> przy nim leżący. — Wszakże prawda, że i nam przyszłość z ideałem Cypriana spodobnieje. — Wszak czytając te słowa — ty już mi wierzysz i sobie wierzysz, i myślisz o chwili, w której przybędziesz do mnie — bo ja, Aspazjo, ja nie pójdę do ciebie — tam gdzie ty jesteś, martwość i zepsucie samo, we dwoje my byśmy tam na nowo skalali się i cierpieli. — A tu przy mnie czysto, święcie, pobożnie — jak zwyczajnie wśród serc kochających, wśród grobów, nad którymi lzy płyną, lecz nikt nie rozpacza. — Ja też zostanę tutaj, Aspazjo — ulepszę się, ugodnię<sup>64</sup> i tutaj ciebie czekać będę: twoje i moje zmyję przewinienia!...”

Przez miesiąc cały żyłem gorączkową nadzieją — z zupełnej pewności przerzuciłem się w zwątpienie zupełne, bo niech tam kto jak chce się chwali, ten, co raz już wierzyć przestał,

<sup>62</sup>bezplenny — bezowocny. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>scytal — narzędzie służące w staroż. Grecji do szyfrowanego zapisu informacji, składające się z taśmy obwinętej wokół pałeczki; tekst zapisany na taśmie był czytelny, kiedy opłatał pałeczkę o określonej średnicy, zaś po rozwinięciu taśmy litery nie układały się w sensowną treść. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>ugodnić się — uczynić się godnym. [przypis edytorski]



nigdy naprawdę potem nie uwierzy, a dla tego, co już raz cierpieć zaczął, chwile nadziei są jak kantarydowe proszki w otwartą ranę sypane. — Co wieczór tylko miałem przystęp kilku chwil, nie wiem, szczęściu czy paroksyzmowi gorączki podobnych. Wtedy siadałem w pokoiku na górze — ktoś mi ogień przychodził rozniecać, a ja całą godzinę, to jest cały czas, póki się nałożone drzewo nie spaliło, patrzyłem w obraz i nigdy mi ani jedna smutna myśl nie przyszła. — Jeśli kiedy o innej porze próbować tego chciałem, próba się nigdy nie powiodła — O zmierzchu tylko w kominkowym świetle jak gdyby kto czary jakie rzucił, niemylnie zstępowała na mnie pół-senność błoga, dobroczynna i orzeźwiająca. — Wtedy czytałem w mej wyobraźni najtkliwsze słowa spodziewanej odpowiedzi — czasem przypuszczałem nawet, że Aspazja sama już zajeżdża, już wchodzi, już mi ręce na szyję zarzuca i mówi: „Bądźmy dobrzy — bądźmy szczęśliwi”. — Najczęściej jednak traciłem wszelką osobistość, a płótno ożywiało się za to i siedzące na nim postaci ruchomego życia nabierały — to się płaszcz Alcybiadesa osunął — to ręka Aspazji drgnęła — to się promienie ich włosów zmieszały, to jakieś ciche westchnienie pierś ich wzniosło — albo z ust jakieś ciche słowa wyszły. — Bądź co bądź, ja tej godziny nie byłbym mieniał... nie byłbym mieniał, gdyby mi kto dawał za nią dobrze w rzeczywistość zawarowane, lecz utajone przede mną szczęście — bo juścić<sup>65</sup> gdyby kto był powiedział, że stawi żywą Aspazję, to byłbym się nie wahał bez wątpienia — ale gdyby w niepewność domysłów mię rzucił, to ręczę, że bym nawet oszczędził ich sobie. — Z moją na dzień godziną — jedną godziną bez cierpienia, ja byłem taki szczęśliwy!...

Już wam wspomniałem, że to miesiąc trwało cały, dni trzydzieści; bez zmyłki pamiętam, bo pilnie liczyłem — trzydziestego pierwszego dnia siedziałem na górze, mały chłopiec, jak zwykle, przyszedł ogień rozniecić — nim rozniecił, podał mi list. — Na samo dotknięcie papieru zaczęło mi w głowie szumieć, w uszach tętnić, w sercu bić tak gwałtownie, że nie mogłem słabej pieczętki rozerwać. — Stałem tak długo z tym miękkim, drobno złożonym papierkiem w ręku, że chłopiec rozdmuchał węgle i wyszedł, i świecę wyniósł, a ja się jeszcze na otworzenie koperty nie zdobyłem. — Potem byłbym się przeklął — potem było mi za ciemno — chłopca wołać za daleko, a węgle jak na złość tliły się powoli i drzewo jak na złość nie zajmowało płomieniem. — Wreszcie buchnęło nim od razu na wszystkie strony — ja pierwej jeszcze, by tę chwilę przyspieszyć, uklęknałem przed kominem; później więc, nie wstając wcale, rozwinąłem papier i żał mi się zrobiło próżnych, a tak gwałtownych wrażeń — pisma nie poznałem zupełnie — był to jakiś męski charakter — zacząłem czytać dość spokojnie.

„Pobożność, mój synu! świętą jest cnotą, żał za grzechy prosto do nieba prowadzi, ale ja ci powiem szczerze, że gdyby z mego listu piękna kobieta śmiała się tak jak Aspazja z twojej modlitwy, to doprawdy zrzekłbym się i świętości, i nieba, a sobie w łeb bym palnął. Najpierw powiadam ci, że to nie boli, a potem powiadam ci, mój synu, że to jedyne lekarstwo na melancholię — wyrzuty sumienia i śmiech kobiety, która cię nie chce, a która w tej chwili przez ramię moje patrzy i mówi: »zobaczysz, że on gotów i to jeszcze głupstwo zrobić«. — Żegnaj cię synu mój, bo muszę wy badać Aspazję, dlaczego samobójstwo głupstwem nazwała, kiedy najporządniejsi ludzie w Atenach, Rzymie i Londynie mądre życie tym kończyli właśnie. —

N.B.<sup>66</sup> Radzę ci pierwej butelkę wytrawnego wina wlać sobie do żołądka; rozjaśni ono myśl twą ostatnią — i lepiej będziesz na tamtym świecie wyglądał. — Spodziewam się, że potrafisz ocenić wysoki szacunek, z którym jestem dla ciebie, synu mój, twoim ojcem duchownym,

pierwszym nauczycielem, vel szatanem,  
vel paziem — vel Kainem”.

Kiedym przeczytał te słowa: — jeśli kto z was tu cierpiał w życiu swoim — cierpiał okropnie, bezprzytomnie, tak że mu w jedyną chęć jakiegośkolwiek rozerwania boleści dusza z wszystkimi siłami się rzuciła — jeśli, co nie daj Boże, jest kto taki między wami, ten się nie zdziwi i nie rozśmieje, jak powiem, com ja zrobił, gdy te słowa przeczytałem — oto schwyciłem rozżarzonych węgli i trzymałem je póty, póki mi w pięściach ściśniętych nie zgasły — ta fizyczna boleść była instynktu mojego potrzebą, pomogła mi do zebrania

<sup>65</sup>juścić — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: rzeczywiście, pewnie. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>N.B. a. n.b. — skrót od łac. nota bene: dosł. zważ dobrze; nawiasem mówiąc, à propos. [przypis edytorski]

rozbiegłych myśli. — Pierwsza z nich była myślą listu: — „trzeba się zabić”. Równymi nogami zerwałem się przeto i biegłem ku drzwiom; — nim dobiegłem, spojrzenie moje padło na obraz — stanąłem jak wryty — po chwili dopiero załamałem popalone ręce i krzyknąłem całym głosem: — „ty kłamiesz! ty kłamiesz!” — i druga myśl mi przyszła — myśl litości i miłosierdzia pośmiertnego. — Ha! przynajmniej już drugim kłamać nie będziesz — rzekłem i zdjąłem obraz, poniosłem go do komina, z lunatycką dokładnością ustawiłem, obłożyłem głowniami i siadłem sobie naprzeciwko, żeby widzieć, jak zgorzeje, a wiatr tymczasem brząkał wszystkimi szybami w oknie i świszczwał wszystkimi tonami za oknem. Ledwie pierwsze na ogień rzuciłem spojrzenie, uczułem się pod wpływem niepojętej władzy — istota moja rozdzielała się niby — wola występowała za mnie, boleść opuszczała pierś moją, łączyła się z obrazem, a ciało zmartwiałe i bezsilne jak ciało trupa nie mogło żadnego zrobić poruszenia i wiedziałem, że chcę koniecznie ratować obraz Cypriana, że dotknięcie ognia pali moje członki przed oczyma moimi, lecz wstać, lecz iść nie mogłem. — Płomień z wolna postępował — czy to cudem, czy że obraz wilgocią muru był przejęty, nie zajął się od razu, choć olejnymi farbami robiony; rzekłby kto iż zanurzał się z rozmysłem w zniszczenie; ja czułem, jak płomień do piersi mi się dostawał — jak przegryzał serce, wyżerał oczy, jak potem dłonie Aspazji ogarnął i jej łono, jej białe łono całował swoim śmiertelnym pocałunkiem — a później ust dotknął, a później czoła wzniesłego, a później... kilka drobnych tylko iskerek brzeżkiem tła się pogoniło, i nic już więcej — umarliśmy oboje.

Tak jest, moi państwo, oboje — gdyż od tej chwili ogarnęła mię doskonała martwość, już mi się nawet zabijać nie chciało — i poszedłem spać bardzo spokojny — i w nocy nic mi się nie śniło. — Ludzie mówią teraz, że ja żyję — prawda, organizm zachował się w zadziwiająco pożądanym stanie. — Nie straciłem też pamięci, nie dostałem obłąkania ani fiksacji. — Kiedy mówię o czym, zdawać by się mogło, że każde słowo rozumiem i czuję. — Nie jestem zbrodniarzem, mizantropem, samolubem, obojętnym nawet nie jestem — między złem a dobrem zawsze dobre wybiorę — tylko nie wiem, jak się to stało, ale we mnie władze radowania się i smucenia stępały zupełnie.

Poszedłem z Ludwinką na grób rodziców — płakałem, ale czułem, że łzy moje były jedynie nerwowym wyrobem i że mię nic nie bolało. — Odwiedziłem później Adasia, dzieci jego wciągnęły mię do zabaw swoich, dokazywałem z nimi — biegałem — śmiałem się, a nic mi nie było wesoło. — Spotkałem wdowę Józefa — słyszałem od niej wszystkie szczegóły śmierci mężowskiej, a nic nie było mi smutno. — Uratowałem tonącego człowieka, serce mi nawet uciechą nie drgnęło. — Byłem u Tereni w tej właśnie chwili, w której traciła swoją małą córeczkę, ową dziewczynkę, co to mi pierwsza drzwi otworzyła i ostatnia wraz ze mną przed konającą matką stanęła — patrzyłem na rozpacz mojej siostry, na okropne męczarnie biednego dziecka, a w głębi duszy byłem tak spokojny, jak ślimak — i nic mię już nie mogło z tego stanu wyprowadzić. Czasem jeszcze przebiegały różne życzenia przez głowę, jak muchy przez otwarty pokój — zdawało mi się, że chciałbym dla odmiany chociaż pocierpieć trochę — na przykład gdyby mi się wróciła ta chwila, kiedy Cyprian zemdlął lub kiedy matka umarła — lub kiedy obraz palił? — Aby raz tę sparaliżowaną duszę czymkolwiek uderzyć, to może by wstała i chodzić zaczęła, lecz próżne usiłowania! — Zastanawiam się nad sobą jak nad ciekawym lekarskim fenomenem i coraz bardziej przekonywam, że daremne są wszelkie w tym względzie starania. Z początku myliłem się — ile razy wiatr zaświszczał, gdy widziałem rozpalony ogień przed sobą, tyle razy zimno występowało na całą skórę moją i mimowolnie w głębokie zapadałem milczenie. — Chciałem więc wmówić w siebie, że to jest boleścią obudzonego przypomnienia. — Gdzie tam, moi państwo — spostrzegłem, że to jedynie skutkiem oparzelizny i nową skóry mojej własnością — zimno takie uderza na mnie i wtenczas, gdy zupełnie o czym myślę — raz nawet uderzyło, choć nie wiedziałem, że ogień się palił w zasłoniętym przez ekran kominka — jest to więc zupełnie patologiczne usposobienie. — Teraz wy także, słysząc mię, nieraz może myśleliście, że byłem wzruszony — do głębi duszy przejęty — co też to za dobroduszość! — a toż przecie gdyby tak było, ja bym nie śmiał poruszyć ani jednym słowem ani jednego z wspomnień tak bolesnych. — Ja wam po prostu opowiedziałem moje życie jak powieść z pamięci. — Na pamięć wydaję teraz wszystko — grzeszność, współczucie, oburzenie, przychyłność — zawsze i w każdej chwili przypominam sobie, co gdzie przypada najlepiej. — Obludnikiem mnie nie

nazywajcie — gdybym mógł prawdę pod odgrywaną rolę podsunąć, widzielibyście mię tutaj klęczącego na środku salonu, z wzniesionymi ku niebu rękoma, z głową popiołem posypaną, — a zresztą czyn mój też nigdy powierzchownym nie zaprzeczy oznakom. — Jak uściskę dłonie wasze, tak się przed żadnym poświęceniem nie cofnę. — Chcecie bym pracował? — będę pracował, — chcecie bym się pozwolił przybić do krzyża? — chętnie i drzewo na niego dźwigać będę, i rozpostnę ramiona, i dam przebić ręce, nogi i skonom — o! bracia moi — tylko... tylko choć skonom — nie zbawię... nie zbawię, bo nie kocham was...

— I nic już pan nigdy o Aspazji nie słyszałeś? — po długim milczeniu odezwała się Tekla.

— Przepraszam panią, dwa tygodnie temu wpadł mi do ręki list, który już blisko dwa lata poniewierał się na moim stoliku. — Szatan vel Kain donosił mi, że dnia 23 marca wśród kobiet służących, które ją na bal ubierały, Aspazja dostała okropnych konwulsji i w przeciągu kwadransa życie zakończyła: ciało jej w tejże chwili prawie szerniało jak węgiel. — Szatan vel Kain posądzał mię o zadanie trucizny, — ja roześmiałem się tylko, bo Kain może miał słuszność. — Według daty i oznaczonej godziny Aspazja skonać musiała wtedy, kiedy jej obraz paliłem...

— *Horror most horror!* — zawołała Anna — więc naprawdę ta kobieta była.

— Zdało mi się, że już powiedziałem państwu... jak to, czy nie?... musiałem zapomnieć — otóż ta kobieta była — Poganką.

Portret, Śmierć

---

Z ostatnim słowem głucho milczenie cały pokój zaległo; dopiero po kilku chwilach Leon metodysta najpierw się otrząsnął z doznanego wrażenia i w duszy swojej osądził, że to właśnie stosowna bardzo okoliczność do podania nam wszystkim arcy zbawiennej dozy „moralnego sensu”. Jak dziś pamiętam jeszcze, zaczął od tych słów urzędowych, które każdy pewnie na pamięć umie, bo pewnie każdego spotkały tyle razy, ile razy jaką stratę poniósł, ile razy jakie niebezpieczeństwo mu groziło, ile razy cierpienia dość zręcznie nie uniknął lub drzwi swoje przypadkiem otwarte nieszczęściu zostawił:

— A widzicie! — a czyż wam tego nie mówiłem? — a widzicie, że miałem słuszność (dalszy ciąg sentencji był już więcej z własnego uczucia i własnej indywidualności zaczerpnięty). Oto człowiek zdolny, poczciwy, „dobrze urodzony” w całym najświętszym tego wyrażenia znaczeniu, wśród wszystkich najpożądańszych<sup>67</sup> tej astrologicznej formułki warunków — przyniósł z sobą na świat złote serce, diamentową wyobraźnię — mógł zostać poetą lub prorokiem — Tyrteuszem lub Ezdraszem — on został... kochankiem pięknej kobiety — i patrzcie, moi drodzy, patrzcie, a pamiętajcie na zawsze, jaki on dziś złamany, bezsilny, martwy, nieużyteczny... Biada miłości, która się tak na jednostkę wyrzuci i zmarnuje...

— Lecz gdyby się nie zmarnowała?... — ostrożnie podsunął Edmund. — gdyby ta jednostka nie pogańska, ale już w chrześcijaństwie odrodzona, przyjęła skarb rzucony wraz z przywiązaną do jego posiadania odpowiedzialnością?... gdyby przyjąwszy, tak dobrze nim zagospodarował, że w jej ręku wszelki tysiąc i klejnot, wszelki osobnym Bogu i ludziom opłacał by się procentem? gdyby...

— Żadnego „gdyby” obok takiej „aktualności” stawiać się nie godzi — przerwała Seweryna wyciągniętym palcem na Beniamina wskazując.

— Ja też nie żadnym „gdyby”, ale także „aktualnością” odpowiadać wam będę — zawołał oburzony Henryk — Ha! panie metodysto, pokazujesz mi Beniamina, jaki to człowiek złamany, nieużyteczny, bezsilny — proszę ja pana z sobą, proszę za próg tego pokoju — od domu do domu chodzić będziemy i nawzajem ja panu pokażę całe muzea, galerie, od piwnic aż do strychów, kamienie pełne takich bohaterów, co nie kochali nigdy, nie zmarnowali nigdy tak jak Beniamin uczucia swojego — tłustych szachrajów, wychudłych harpagonów, obhaftowanych złotem dworaków, wywiedłych w rozpuście dudków, legiony całe stawię ci przed oczy, po imieniu każdego zaprezentuję i przed krucyfiksem za wszystkich razem przysięgnę, że się nigdy w żadnej nie kochali kobiecie. — Jeśli chcesz, to możemy nawet po więzieniach kryminalnych małą odbyć wycieczkę. — Spytaj złodziei, morderców, fałszerzy — nie — i oni tak nikczemnej nie ulegli słabości.

<sup>67</sup> najpożądańszy — dziś forma stopnia najwyższego: najbardziej pożądany. [przypis edytorski]

— Twój sąsiad, Leonie, co to za wielki człowiek! bez miłości z pół milionem się ożenił.  
— A twój znajomy, pan sędzia... co to za głowa rozumna, jak dowcipnie się wysmiał, gdy między papierami biednego Jana kilka listów jego młodej narzeczonej znaleziono. — Tylko ten Beniamin występny, on śmiało pokochać całą duszą swoją, wszystkimi władzami umysłu swego, kobietę zachwycającą... i gdy go zdradziła bezbożna — on śmie cierpieć, on się poważa ręce opuszczać w rozpacz... No, szczęście, że jest między nami metodysta, który mu za to sprawiedliwość wymierzy...

— Oj! Henryku, Henryku! lepiej byś dobrej sprawy bronił, gdybyś się w ostateczności nie przerzucił i sarkazmem nie szermierzył<sup>68</sup> — zapędzonego upomniała Anna swoim łagodnym, macierzyńskim głosem. — Można Leonowi bardzo spokojnie a bardzo kategorycznie to proste stawić zapytanie: jacy ludzie według jego zdania szlachetniejszą w plemiennościach stanowią odmianę, czy ci, którzy aż do zbytku kochają? — czy ci, którzy nawet do potrzeby szczęścia ukochać nie są zdolni?...

— Najszlachetniejszą tacy, którzy wszystkie obowiązki człowieczeństwa pełnią — odpowiedział zaczepiony.

— Oho! już się pan Leon wybiegami ratuje — podstrzegła złośliwie Augusta — już na pytania wprost nie odpowiada, ogólnikami nas zbywa. — Widać, że proces w jego sumieniu przegrany.

— Czemu przegrany? od początku do końca trzymam się tegoż samego założenia — wymagam jednej i tejże samej rzeczy. — Chcę, aby ludzie żyli na chwałę Bożą i na pożytek bliźnim swoim — każdy dzień ich, każdą godzinę nawet potrzeba mi zapełnić pracą, nauką, dobrymi uczynkami, szlachetną całą ludzkością miłością — a jak się miłość jednostkowa ma do tych wszystkich moich wymagań? to mnie bardzo mało obchodzi. Widziałem, że najlepszym na przeszkodzie staje. — Henryk mi przypomniał, że najgorsi są bez niej jeszcze gorszymi — niechże i tak będzie — przyjmuję romans za środek pedagogiczny dla bardzo, bardzo maluczkich — ale, daruj mi śliczna Augusto, olbrzymom, Prometeuszom nie wykręję z niego promiennej nad czoło aureoli.

— I w tym właśnie, według mojego zdania — zawnioskowała Jadwiga — w tym właśnie główny twojej pomyłki splątał się węzełek. — Między tłumem powszednich osobistości trudno zgadnąć, jak której służy uczuciowa higiena — jednej pomocą, drugiej przeszkodą bywa — lecz dla Olbrzymów — Prometeuszów, dla zbawionych i uświęconych — toć to ich cechą stanowi, Leonie, że dla nich zawsze jest cnotą w sercu i aureolą na skroniach — i póki ci kto nie złoży tego dowodu, póki tej próby w życiu swoim nie przejdzie, póty, ja ci radzę — ani olbrzymem, ani Prometeuszem nie nazywaj go wcale.

— Wiesz, Jadwigo — odezwał się Albert filozof — w tym, co powiedziałaś, jest jedno wyrażenie, które mi dużo światła na całą kwestię rzuca: „póki kto tej próby w życiu swoim nie przyjdzie”. — Istotnie, miłość jest pewną próbą rzetelnej wartości człowieka — jest symptomatem wykazującym działalność jego organizmu, tętnem, po którym się stan zdrowia lub choroby rozeznaje — sama zaś nie jest ani wartością, ani organizmem, ani zdrowiem, ani chorobą. Według prawa odwiecznej logiki jest świadectwem naszym i powinna być tylko o dobrym, o chwalebny w nas świadczyć. — Dziecinną mi się widzi dłuższa sprzeczka o jej zbawiennych czy tam potępiających wpływach — takimi zawsze wpływy się okażą, jakimi są skłonności doznającego ich człowieka. — W zasadzie musimy uznać, że miłość najpiękniejszy kwiat życia ludzkiego rozwija; słusznie jest pożądaną jako szczęście, sprawiedliwie cenioną jako szlachetne uczucie — lecz to wszystko w zasadzie tylko. — Zastosowania mnóstwo przedstawiają wyjątków — są tacy, którzy szczęścia nadużywają — są inni, którzy nawet w szlachetnych nie mogą się ostać uczuciach — są jeszcze inni, którzy w pewnych danych okolicznościach muszą je dla wyższej poświęcić prawdy — bo w naszym światowym chaosie różnie bardzo się dzieje. — Na pozór to się zdaje, że dosyć złe obalić, by się wspiąć ku dobremu — a w rzeczywistości złe nam już takie głębokie pod nogami wykopało jamy, że choć pień jego stary podetchniemy, to na zrównanie gruntu nie wystarcza i trzeba nieraz w dół rzucić ładne dla pięknego — przynależne dla potrzebnego — ulubioną dla ukochanej i uczczoną. — Ha trudno! nie krzyw się na mnie, Henryku. — Praktyka życia od normalnego planu Bożego fatalnie odstąpiła. — Plan Boży dał nam przestrzeń, materiał i zdolnych architektów —

<sup>68</sup>szermierzyć — dziś: szermować. [przypis edytorski]

kiedy się wznoszą kolumny portyków, kiedy rosną ku niebu ostrołuki starych kościołów i sklepienia poważnych bazylik — chwalimy wspaniałość miasta, przyklaskujemy Brunelleschim i Michałom Aniołom — a jednak są chwile historyczne, w których znów chwalimy wspaniałość miasta gorejącego pożogą swych gmachów — przyklaskujemy ludziom, którzy po zgłiszczach rodzinnych pałaców niezachwianą stąpają nogą „*impavidum ferient ruinae*”<sup>69</sup>. Okolicznością? przyczyną, celem i skutkiem wartość wszelkiego faktu sądzić trzeba. — Nikczemny człowiek nigdy miłości nie dozna — ale i prawy człowiek bardzo często wyrzec jej się musi.

— Wyrzec?... och! nie, to szaleństwo — zaprotestował Henryk — właśnie dlatego, by miał co oddać i zburzyć, gdy przyjdzie chwila poświęceń... właśnie dlatego, by się wyróżnił od tych, co wszystko przedsięwziąć gotowi, bo nic nie mają do stracenia...

— No, no, dość już tego, dość tego — zawołała Emilia — wstyďte się moi drodzy, dysputujecie jak średniowieczni scholastycy nad subtelnością wyrażen — a tu między nami siedzi człowiek cierpiący i znękan — tu dusza ludzka zamiera i nikt z was jeszcze nie pomyślał, że przede wszystkim, że najpierwej trzeba duszę i człowieka ratować. — Czy miłość taka czy owaka, możecie sobie później aż do znudzenia snuć długie rozprawy, lecz czy Beniamin pośród was ożyje? czy macie w sercu skuteczne na jego niemoc słowo? o to, to już dawno ktokolwiek powinien był się zatroszczyć.

Beniamin, dotychczas w milczeniu spuszczonej głowę swoją trzymający, wznosił oczy na Emilię — była jakaś obojętna ciekawość w jego spojrzeniu, ale współczucia wdzięcznego nie było — po chwili nawet ciekawość przygasła, zimną martwością zasłzyły źrenice — powieki znów się ku ziemi osunęły i znów nieruchomy, jakoby obcy, jakoby niebyły na miejscu swoim pozostał.

— Masz słuszność, święcie radzisz, Emilko — przywodziła Tekla mówiącej — nie o systematach, o Beniaminie myśleć nam się godzi. — Znajdźmy dla niego użyteczną pracę, to najlepsza pociecha, najmniej zawodne lekarstwo.

— Użyteczną pracę? — podchwyciła Felicja — a cóż ty zowiesz pracą użyteczną? jeśli pewien gatunek zatrudnienia — to mu każ drzewo rąbać lub opis jego podróży drukować — jeśli zaś użyteczną pracą ma być praca moralnie dla bliźnich plonująca, praca, która im światła i ciepła, mądrości i siły ku cnocie dostarcza — to mu żadnych nie dawaj rozkazów. — Możesz z niego bardzo piękną wyrobić kariatydę — możesz biegłego dziennikarstwu przysposobić korespondenta — lecz młody i pełen zdolności Alcybiades już nie zmartwychwstanie — złamał się piękny Greczyn, a bojownik Chrystusowy nie dorósł swej miary — Oho! praca użyteczna!... toć nie ma innej tylko chrześcijańska, ofiarna. — Ofiarna, nie przez cierpienie konieczne, jak sobie wielu dziś wyobraża, jak niejeden tłumaczy i uczy — ofiarna nie przez krzyż, od którego mdleją nam ramiona — ale ofiarna przez krzyż, który utwierdza nas i okupuje ode złego — ofiarna z bogactwa duszy, nie z jej nędzy, ofiarna przez datek i przez prawdziwą, widomą ofiarę. — Dla bliźnich ten jedynie użytecznie pracuje, kto im może ciągle coś z siebie i ze swego dawać — pieniądź, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia. — Cóż ty chcesz, by im dzisiaj przyniósł ten Beniamin upadły, biedny, niekochający, zginiony?

— Niech im da czas swój tylko — odpowiedziała Tekla — na początek ja więcej nie wymagam — niech da godzinę po godzinie, dzień po dniu, lata po latach, a zobaczycie, jak z wolna życiem pierś jego się napelni, światłością myśli rozploną — bo praca dla bliźnich, Felicjo, nie tylko jest samym wydatkiem, ona także ogromny, jedyny może przychód nasz stanowi — ona nie tylko bliźnich, ale głównie nas samych kształci i zbogaca — więcej przyjmujemy, niż nam dać jest podobnym — Oto spróbujcie tylko — dajcie pracować Beniaminowi — choć się zrazu w tę lub ową stronę zachwieje, podtrzymujcie go na tej i na owej stronie. — Sami wkrótce się przekonacie, jaki nam z niego wyrobnik przybędzie.

— Za późno już! za późno — rozbrzmiał jak wyrok surowy głos Seweryny. — Użyteczna praca nie może być ani jako ćwiczenie, ani jako zachęta uważana. Pan Bóg ją tylko na nagrodę<sup>70</sup> dla wybranych swoich zachował. — Spójrzycie dokoła, moi państwo — widzicie, ile to ludzi gimnastykuje się, trudzi, poci, krząta, zwija — a ilu jest takich, którym użytecznie pracować wolno? Garstka maleńka — z krociowego tłumu chętnych

<sup>69</sup>*impavidum ferient ruinae* (...) — cytat z Horacego, *Pieśni* III, 3, 8: ruiny się zwałą na niego, a on nieustraszony nie drgnie. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*nagroda* (daw., gw.) — nagroda. [przypis edytorski]

garstka wyłączona kapłańska... garstka, do której może nawet z nas tu siedzących żaden imienia swego nie dopisze w przyszłości — bo ku temu innych stygmatów i nowych sakramentów trzeba — a wam się zdaje, że ten biedny, ten bezduszny na próżnię swego znicestwienia<sup>71</sup> stygmaty przyjmie właśnie i sakrament otrzyma? — Daremne wasze zabiegi! — Zostawcie go lepiej na tej, którą obrał, przepadłej i odpadłej drodze jego. — Niech się wywiązuje z długów zaciągniętych względem społeczeństwa jedyną, jaką może złożyć nam korzyścią — niechaj grozi i ostrzega straszliwym upadkiem swego przykładem.

— Nie, nie! — z pośpiechem zaprzeczyła Emilia — musi być przecież i dla niego środek jakiś wybawczy — nie godzi się tracić nadziei ocalenia...

— Ach! gdyby ten Beniamin mógł się modlić!... — westchnęła Tekla.

Beniamin westchnął także.

— Ach! gdyby ten Beniamin mógł się we mnie pokochać!... — dźwięcznym półgłosem szepnęła Augusta.

Beniamin, nie wznosząc nawet oczu, równie półgłosem szepnął:

— Fanariotka<sup>72</sup>!...

W tej chwili Henryk zerwał się z miejsca, obie ręce jak do uścisku i pieszczoty ku Beniaminowi wyciągnął:

— Bracie mój! bracie! gdybyś ty miał Matkę!... — zawołał takim przejętym, takiej głębokiej prawdy wykrzykiem, że się jego echo o wszystkie nasze serca odbiło.

— Gdybym miał Matkę! — powtórzył Beniamin i także wstał z miejsca swojego, usta mu drżały, łza w oku błysnęła — gdybym miał Matkę! O pewnie, z potępienia wiekuistego tylko matka wybawić może...

— Więc słuchaj, powiem ci Beniaminie, wszak wierzysz w ducha nieśmiertelność...

Ale Beniamin nie słuchał już — wolnym krokiem ku drzwiom postąpił i wyszedł „nieżegnany, nieżegnający” — a co się z nim później stało? próżno pytać. — Łysy Humboldt od owego wieczoru nigdy przy kominkowym ogniu wśród gromadki naszej miejsca swojego nie zajął.

Przez jakiś czas tylko z jego wspomnienia snuły się zawsze długie dysputy o potrzebie lub o niebezpieczeństwach wyłącznej miłości. — Raz gdy się zdarzyła nowa pod tym względem wątpliwość — nowych do roztrząśnienia przyrzekłam dostarczyć faktów i powiedziałam moim ukochanym, że im odczytam rękopism<sup>73</sup>, który się przypadkowo w moje ręce dostał, a który mógłby niejeden ciemniejszy punkcik rozjaśnić. — Wszyscy na to bardzo chętnie przystali i zaczęłam pierwszy mój odczyt *Książki pamiątek* — drugi bez przerwy po pierwszym nastąpił, trzeci nie bardzo się odwlekał, ale później między odczytem a odczytem coraz dłuższe zapadały odstępy — każdy z nas miał coś ważniejszego, coś zupełnie egoistyczniejszego<sup>74</sup> na myśli, więc i czytania szły nader powolnie — kartek się odwracało niewiele... aż przyszło do tego *na koniec*...

Lecz o tym właśnie „teraźniejsi” moi czytelnicy na końcu się dowiedzą.

<sup>71</sup>znicestwienie — dziś: unicestwienie. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>fanariotka — należąca do jednego z możliwych rodzajów greckich. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>rękopism — dziś: rękopis. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>egoistyczniejszy — dziś forma st. wyższego: bardziej egoistyczny. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zmichowska-poganka>

Tekst opracowany na podstawie: Narcyza Żmichowska, Pisma Gabryelli, tom drugi, nakł. i druk Jana Jaworskiego, Warszawa 1861.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: **Dziewczyna broniąca się przed Erosem, William-Adolphe Bouguereau (1825–1905), domena publiczna**

ISBN 978-83-288-1062-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do **Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.